WOLNA SOBOTA

Kasia Smutniak: Przyjadę do Polski, żeby zagłosować

Sensacja XXI wieku: **Wołoszański kontra PiS**

WYSOKIE OBCASY

Grzebani żywcem, paleni, gwałceni **Mali czarownicy**

FOT. ANDREA GARDINI, PAWEŁ KOZIOŁ / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA **wyborcza**

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Agnieszka Holland

Kto naprawdę obraża polski mundur

FOT. AGATA KUBIS/KINO ŚWIAT

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

9 770860 908167 36>

Sorry, Trump, nie byłeś pierwszy
Kto pierwszy wymyślił mur

Czerwone Gitary
Piosenka o tacie wyklętym

Dmowski
Nie najgorsi ci Moskale

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota–niedziela, 9-10 września 2023 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 210.10402, 1

Nakład 98 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 1f49962744

Agnieszka Kublik

W zdrowym ciele zdrowy duch, panie Jarku

Mens sana in corpore sano – w zdrowym ciele zdrowy duch. I odwrotnie. A to pierwszy z wielu powodów, dla których Kaczyński się myli w sprawie haratania w gałę.

Ale od początku. Prezes PiS był w Kielcach. Stąd jako „jedynka" ubiega się o mandat, pierwszy raz w życiu, bo dotąd o miejsce w Sejmie bił się w Warszawie. No ale wiadomo, stąd startuje „ten ryży". A pojedynki z Tuskiem Kaczyński przegrywał. W 2007 r. Tusk dostał 534 tys. głosów, Kaczyński – 273 tys. W 2011 r. Tusk 375 tys. głosów, Kaczyński – 202 297. Kolejna, trzecia porażka ze „zdrajcą" i „wrogiem" byłaby symboliczna.

I w Kielcach Kaczyński wygłosił myśl: „Musimy mieć odpowiedzialny, dorosły rząd. Nieprzypadkowo tak mówię, bo my przez osiem lat mieliśmy w Polsce rząd niedorosły, rząd chłopców w krótkich majteczkach czy może spodenkach. Nie chcę ich tak bardzo... Nie chodzi o PESEL, tylko o to, co w głowach. Rządzenie to ciężka praca, a nie cygara i dobre wina. Nie haratanie w gałę. To umiejętność właściwego rozpoznania rzeczywistości". „Haratanie w gałę" to aluzja do tego, że Tusk lubił grać w piłkę; on sam niegdyś wylansował to określenie, opowiadając o swoim zamiłowaniu do futbolu.

Kaczyński nie biega i nie harata w gałę. Może dlatego jest taki udręczony, nieszczęśliwy, zgorzkniały i pała chęcią kontrolowania cudzego życia

Myśl, że „haratanie w gałę" uniemożliwia podejmowanie właściwych decyzji, jest głupia i szkodliwa. Bo gdy w zdrowym ciele zdrowy duch, to w chorym ciele chory duch. Sport, czy to haratanie w gałę, czy bieganie – a Tusk obecnie dużo biega – to samo zdrowie. Oto 10 powodów, dla których ludzie, którzy coś uprawiają, lepiej żyją i lepiej się żyje z nimi.

1. Sport poprawia pamięć i koncentrację.
2. Obniża zagrożenie chorobami układu krążenia.
3. Poprawia wygląd zewnętrzny.
4. Usprawnia układ trawienia.
5. Wzmacnia układ kostno-stawowy.
6. Podnosi odporność na stres.
7. Dodaje pewności siebie.
8. Zapobiega depresji.
9. Uszczęśliwia, dodaje energii.
10. Przedłuża zdrowe życie.

Kaczyński nie biega i nie harata w gałę. Nie słyszeliśmy nic o jego aktywności fizycznej. Jedyny sport – tyle wiemy – który go kręci, to rodeo. Cygar też nie pali, nie pija dobrego wina. Może dlatego jest taki sfrustrowany, udręczony, nieszczęśliwy, zgorzkniały, gnuśny. Dlatego pała chęcią kontrolowania cudzego życia od poczęcia aż do śmierci. I chciałby, żebyśmy i my byli sfrustrowani, udręczeni, nieszczęśliwi, zgorzkniali i gnuśni. Wtedy nam będzie wszystko jedno, czy coś się zmieni. ●

Londyn
Show must go on

FOT. YUI MOK/AP

Za ponad 2 miliony dolarów poszedł na aukcji Sotheby's fortepian Yamaha G2 Baby Grand Piano, na którym Freddie Mercury komponował i szlifował legendarne „Bohemian Rhapsody". Słynny dom aukcyjny wystawił 1200 pamiątek po frontmanie Queen – od kostiumów scenicznych i rękopisów piosenek („We Are the Champions" startuje od 200 tys. funtów) po przedmioty codziennego użytku (grzebyk do wąsów od Tiffany'ego od 400 funtów).

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Mathieu Kassovitz
N'abandonne pas!

W środę na francuskie ekrany wszedł film Yanna Gozlana „Visions". Okoliczność nie byle jaka – bo z Mathieu Kassovitzem i Diane Kruger w rolach głównych. Ale tym, co zaprzątało Francję, była nieobecność Kassovitza na premierze. Kilka dni wcześniej miał wypadek motocyklowy: uraz czaszki, złamania nóg i miednicy. 56-letni gwiazdor przygotowywał się do roli na torze pod Paryżem. Na wirażu stracił panowanie nad maszyną. Wprowadzono go w śpiączkę, ma za sobą kilka operacji.

Ten anarchista wychowany na punku, uczestnik antyrządowych zamieszek w latach 80., jest dzieckiem artystów – synem reżysera Petera Kassovitza i montażystki Chantal Rémy, wnukiem węgierskiego rysownika Félixa Kassovitza. Jego córka Carmen też jest aktorką; w chwili wypadku jechała za ojcem.

Na ekranie debiutował w wieku 12 lat u boku samej Jane

FOT. SHUTTERSTOCK

Birkin. W latach 90. kręcił gniewne krótkie metraże. Do historii kina przeszła jego „Nienawiść" (1995) o patologii wieloetnicznych przedmieść Paryża (grał tam skinheada).

Sprawny („Purpurowe rzeki"), rozumiejący historyczny niuans („Jakub kłamca") reżyser to zarazem czołowy amant francuskiego kina (niezapomniany nieśmiały rowerzysta Nino, w którym zakochuje się Amelia ze słynnej komedii romantycznej) i gwiazdor hollywoodzkich produkcji („Gothica", „Monachium"). Kamera kocha jego twardą, zarazem subtelną twarz. ●

Anna S. Dębowska

Andrzej rysuje

Cytat dnia

Współpraca między Niemcami, Francją i Polską powinna nadawać impulsy integracji europejskiej

HORST KÖHLER
były prezydent Niemiec

Rozmowa
▶ Wyborcza.pl/magazyn

Liczba dnia

1 250 do 404

Wzrosła w kartotece berlińskiej policji liczba osób „notowanych, wielokrotnie popełniających przestępstwa, bez szans na legalizację pobytu w Niemczech". Te i inne dane Niemcy dyskutują po kolejnym gwałcie w parku Görlitz i raportach o rosnącej przestępczości obcokrajowców.

• Jak, przyjmując potrzebujących, uniknąć błędów Niemców, Francuzów i Szwedów? Odpowiedzi w tekstach „Uchodźco, rozmawiając ze Szwedem, nie zbliżaj się bardziej niż na metr" i „Wolność, równość, nienawiść. Na przedmieściach Paryża"
▶ Wyborcza.pl/magazyn

2 RP

eprasa.pl 1f49962744

Wykres dnia
Więcej ciepłej wody w kranie

Nie porywają ich wielkie idee: ani – choć wciąż widać takie koszulki – „Bóg, honor, ojczyzna", ani – mimo deklaracji na FB – ekologia, ani – mimo aspiracyjnych statusów „na Insta" – prestiż. Chcą wygodnego miasta, życzliwych sąsiadów i żeby nikt im nie zaglądał do łóżka. Zagadka: marzy im się miks Zandberga z Tuskiem, a wybierają Mentzena z Bosakiem.

- **Badanie „Debiutanci '23"**
- ▶ **Biqdata.wyborcza.pl.**

Deklarowany udział w wyborach
Odpowiedzi w proc., badanie 11-12 maja 2023 r.

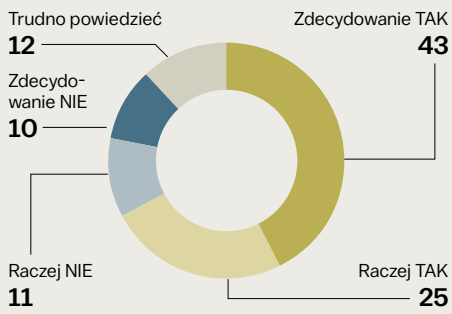

Obawy związane z najbliższą przyszłością
Odpowiedzi w proc.

Program partii marzeń – lista najważniejszych postulatów
Odpowiedzi w proc.

Preferencje wyborcze deklarujących udział w najbliższych wyborach
Odpowiedzi w proc.

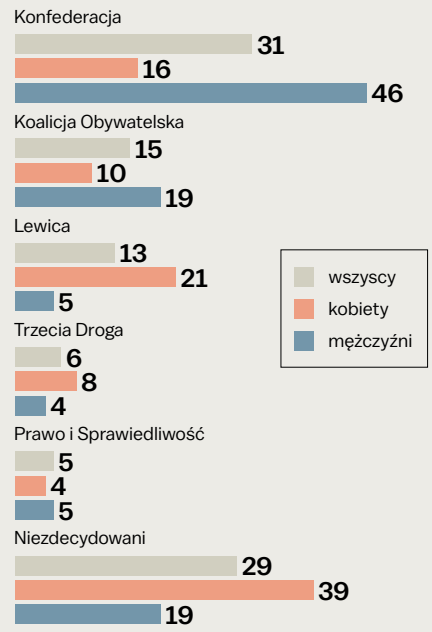

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: RAPORT „DEBIUTANCI '23. PORTRET POLEK I POLAKÓW, KTÓRZY JESIENIĄ 2023 R. BĘDĄ MOGLI PO RAZ PIERWSZY WZIĄĆ UDZIAŁ W WYBORACH", CZERWIEC 2023, LATA DWUDZIESTE DLA CLEAN AIR FUND I PROFEINA

Czarzasty, Biedroń, Zandberg nie wejdą do Sejmu?

Wyborca Lewicy woli Tuska

Co dziś robi nastolatka, która w obronie praw kobiet zorganizowała pierwszy po II wojnie światowej protest w swoim miasteczku? Nic

Gruszczyński

Kilka tygodni temu sztab Lewicy poznał badanie wykonane przez badaczy związanych z cenionym lewicowym think tankiem: aż co trzeci wyborca partii Włodzimierza Czarzastego zamierza przerzucić głosy na najsilniejszego gracza, czyli na Tuska. Ludzie myślą: skoro październikowe wybory będą najważniejsze po 1989 roku, po co marnować głos na partię, która i tak nie ma szansy na samodzielne rządy? Lepiej wzmocnić zwycięski obóz i oddać głos na Koalicję Obywatelską. Czas na Lewicę jeszcze przyjdzie.

Problem w tym, że w tych samych badaniach Lewica dostaje 7 proc. Więc głosy przerzucone na KO oznaczają, że spada pod próg i nie wchodzi do Sejmu. W sztabie zapanowała konsternacja, po kilku dniach temat ucichł, a kampania wróciła na stare tory.

Politycy i polityczki Lewicy potrafią snuć opowieść o Polsce przyszłości, czego dowiodła ich ostatnia konwencja. Jest w niej miejsce dla pielęgniarki zarabiającej godne pieniądze i geja, który może wziąć ślub. Znajdziemy tam rodzinę z trójką dzieci, która otrzymuje od państwa pakiet pomocy ekonomicznej, zdrowotnej i edukacyjnej, i seniorów utrzymujących się z porządnych emerytur. Jest dostęp do aborcji, edukacji seksualnej w szkołach i zielona transformacja. Jest obronność, praworządność i nasza pozycja w Unii.

A w dodatku w języku tej opowieści nie ma zmuszania do nagłych zmian i szokujących postulatów. Lewica jest dojrzałą partią socjaldemokratyczną.

•

Ale porządnie napisany program to nie wszystko. Bo Lewica popełnia podręcznikowe błędy polityczne.

Ma trzech liderów zamiast jednej, wyrazistej liderki. A na kongresie w poprzedni weekend na scenie pojawiło się aż sześć osób, co miało odpowiadać sześciu filarom programowym: prawa kobiet, polityka senioralna, usługi publiczne, świeckie państwo, mieszkalnictwo i praca. Tyle że źle kojarzący się – bo z politycznym cynizmem, kunktatorstwem i tzw. aparatem – Czarzasty na czas wyborów powinien schować się za charyzmatycznym Zandbergiem i pełnym wdzięku Biedroniem w szafie, a na czoło wystawić chociażby rzeczowe Magdalenę Biejat czy Agnieszkę Dziemanowicz-Bąk. Wyborcy uwielbiają wyrazistych liderów, dlatego Tusk ma wiernych wyznawców, dlatego Konfederacji skoczyło poparcie, kiedy za jej sterami zasiadł Sławomir Mentzen.

Lewica nie ma też szczęścia do haseł, bo zaprezentowane kilka dni temu „Mam serce po lewej" jest enigmatyczne, nie wiadomo, czego ma dotyczyć: reklamować kongres kardiologów czy Tindera? Dlatego ostatecznie nikt do końca nie wie, z jakim przesłaniem idzie do Sejmu. PiS przekonuje, że tylko Kaczyński zapewni Polakom poczucie bezpieczeństwa i dowartościuje prowincję. Tusk chce pogonić populistów, a potem udowodnić, że liberalizm może mieć ludzką twarz. Z Konfederacją też mniej więcej gra jest czysta: chce na gruzach III RP stworzyć monokulturowe państwo bez Żydów, gejów, aborcji, ale za to z niskimi podatkami. Tylko Lewica sprawia wrażenie zagubionej.

Przykłady? Czarzasty mówi za każdym razem, że jego partia będzie „współrządziła". Z całym szacunkiem, ale jeśli lider z góry wie, że będzie czyimś koalicjantem, a nie głównym rozdającym, to wysyła zniechęcający komunikat do potencjalnych wyborców. Wyborcy pamiętają mu też tajne negocjacje z PiS w sprawie poparcia dla Krajowego Planu Odbudowy.

Idźmy dalej: z warszawskiej listy kandyduje Jacek Dehnel, który zajmuje się polemiką ze Szczepanem Twardochem. Ten drugi skrytykował ambicje polityczne kolegi. Przypomnę, że wyborów nie wygrywa się na Facebooku. Wielu wyborców opozycji irytuje deklaracja Biejat, która w 2015 r. nie zagłosowała na Bronisława Komorowskiego. Dlaczego więc kandydatka na senatorkę nie wytłumaczy się i raz na zawsze nie zamknie ust krytykom, skoro w tym momencie stara się o głosy osób, które marzą o klęsce Lewicy?

•

Słyszę, że Lewica nie jest dobrze reprezentowana w mediach. A Mentzen był? Pojawiają się zarzuty, że Tusk odbiera tlen politykom z lewej strony. A kto broni Czarzastemu krytykować w cywilizowany sposób liberałów z KO? Niektórzy politycy płaczą, że Lewica ludziom z naszego kraju kojarzy się z internetowymi awanturami, wegetarianizmem i wielkomiejskością. Chryste Panie – odpowiadam wówczas – to zdyscyplinujcie szeregi, idźcie do baru mlecznego na schabowego i ruszcie w teren.

Słyszę, że Lewica nie jest reprezentowana w mediach. A Mentzen był? Że Tusk odbiera tlen politykom z lewej strony. A kto broni Czarzastemu ciekawie występować?

Wielu moich rozmówców zwraca uwagę, że Lewica mogłaby odważniej krytykować program Konfederacji, zajadle atakować, obnażać hipokryzję i nokautować. Do zagospodarowania są też młode kobiety, osierocone po „czarnych protestach". Wyobraźmy sobie nastolatkę, która zorganizowała pierwszy po II wojnie protest w swoim miasteczku. Protest, na który przyszło tysiąc osób, czyli 30 proc. mieszkańców. Wiecie, co ta dziewczyna dzisiaj robi? Nic, ponieważ żadna z lewicowych polityczek do niej nigdy nie przyjechała, nie pokazała, jak należy organizować pracę wokół lokalnych spraw, nie zaproponowała wstąpienia do partii. Mówiąc inaczej: ta kobieta jest zniechęcona, zostanie 15 października w domu.

Wszyscy kilka lat temu byli zgodni, że tylko Lewica może zagospodarować społeczny gniew po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Jeszcze w październiku kilka dużych prywatnych firm ma rozpocząć wielką kampanię profrekwencyjną skierowaną do kobiet. I tak właśnie kończy się rewolucja: prywatny, duży kapitał musi zachęcać do udziału w wyborach młode kobiety, które mają lewicowe przekonania.

Czyżby biznesmeni lepiej niż zaludniający lewicowy sztab i listy socjolodzy, aktywiści i szeroko rozumiana inteligencja rozumieli, że jeśli Lewica nie wejdzie do nowego parlamentu, a ten sam los spotka Trzecią Drogę, to 16 października rano obudzimy się z władzą, która nie będzie miała już żadnych hamulców?

Drogi ratunku są dwie: niech wyborcy Lewicy głosują na listy Lewicy, a sztab wyborczy Czarzastego wymieni strategów. ●

Arkadiusz Gruszczyński

eprasa.pl 1f49962744

CZEKAJĄC NA BARBARZYŃCÓW

Jeśli szuka pan nadziei, to mogę powiedzieć panu tyle:
po wymarciu dinozaurów ostatecznie przecież zaistniały zwierzęta równie fajne albo nawet fajniejsze od nich

eprasa.pl 1f49962744

Z **AGNIESZKĄ HOLLAND**
ROZMAWIA **JĘDRZEJ SŁODKOWSKI**

Jest pani gotowa na kolejną nagonkę?
– Jestem. Wiem, że przy obecnej polaryzacji w Polsce i na świecie zabieranie wyrazistego głosu w sprawach moralnych i politycznych uruchamia reakcje, które nie są polemiką, ale hejtem.

Hejt na panią rozkręca się od tygodni. „Kto sponsoruje to gówno? Rosja czy Białoruś? Trzeba być zaprzańcem, żeby robić taki film w chwili, gdy Rosja prowadzi wojnę hybrydową, wysyłając nam na granicę nielegalnych imigrantów (z krajów, w których nie ma wojny – nie są to żadni uchodźcy). Na Kremlu na pewno to gówno obejrzą i wystrzelą szampany". Albo: „Bojkotować to antypolskie ścierwo! Holland, Ostaszewska, Szczur. Cóż za zbieranina prawdziwych patriotów. Będzie pokazana scena, jak dzieci z Michałowa są palone na stosie i nabijane na pal? Czy może jak Ahmed płynie rzeką 14 dni i gada przez telefon z dziennikarzami TVN?". To nie są wpisy z forów skrajnej prawicy. To komentarze na największym portalu filmowym w Polsce, zamieszczone tam wiele tygodni przed premierą filmu.
– No i co pan chce, żebym na to odpowiedziała?

• **Twórczynie i twórcy filmu „Zielona granica" na premierze na festiwalu w Wenecji. Od lewej: Jalal Altawil, Dalia Naous, Mohamad Al Rashi, Talia Ajjan, Maja Ostaszewska, Agnieszka Holland, Talia Ajjan, Behi Djanati Atai, Katarzyna Warzecha i Tomasz Włosok, 5 września 2023 r.**
FOT. VIANNEY LE CAER/AP

Może jak się pani tego słucha?
– Te głosy są przewidywalne. To wypowiedzi będące efektem rządowej propagandy. Na dokładkę ci ludzie nie widzieli filmu. A nam zależało na tym, by obraz kryzysu na granicy polsko-białoruskiej był zniuansowany.

Ale choćby nie wiem jak pani ten obraz zniuansowała, to i tak przy okazji weneckiej premiery będziemy słuchać i czytać o tym, że szkaluje pani Polskę i obraża polski mundur, popijając szampana na światowych salonach.
– Pytanie brzmi, kto tu naprawdę obraża polski mundur. Ale wie pan, nie chce się wdawać w polemikę z zarzutami na tym poziomie.

Rozumiem, lecz mamy kampanię wyborczą, w której migracja jest jednym z głównych tematów, i gdy te zarzuty padną nie z ust internetowych hejterów, ale np. ministrów Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika czy Zbigniewa Ziobry, których pani piętnuje w „Zielonej granicy", to zyskają one rangę zarzutów, że tak powiem, narodowych. Ziobro już napisał: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland".
– Tak, mówię wprost o odpowiedzialności polityków za śmierć i cierpienie ludzi na granicy. I stawiam pytanie: jak to możliwe, że takie decyzje polityczne można podejmować bezkarnie? To ważna sprawa, ale w moim filmie kwestia odpowiedzialności politycznej jest marginalna.

Niedługo na granicy polsko-białoruskiej i innych granicach UE możemy mieć setki tysięcy ludzi rocznie. I co? Będziemy bombardować łodzie na Morzu Śródziemnym, instalować karabiny w Puszczy Białowieskiej?

Podobnie zresztą jak kwestia geopolityczna. Tak, cała sytuacja wynika z intrygi Putina i Łukaszenki. Ja jednak staram się patrzeć na nią szerzej, wychodząc poza nasz ciasny polski punkt widzenia.

W „Zielonej granicy" skupiam się na człowieku. Na tych ludziach, którzy cierpią przez decyzje Putina i Łukaszenki, ale też Kaczyńskiego i Kamińskiego oraz innych decydentów ponoszących polityczną odpowiedzialność za śmierć, tortury, łamanie prawa i dehumanizującą propagandę wobec migrantów.

Geopolityka i polityka są dla mnie kontekstem dla pytań o to, co zwykli ludzie mogą lub powinni zrobić w takiej sytuacji. Jakie są konsekwencje ich decyzji?

Ci zwykli ludzie to, po pierwsze, migranci, którzy są pionkami w wielkiej geopolitycznej grze, a jednocześnie są przecież żywymi, cierpiącymi, pragnącymi godnego życia ludźmi. To Afgańczycy, Syryjczycy czy Kongijczycy uciekający z miejsc, w których nie mogą czy nie chcą żyć. Wybierając się do Europy, narażają siebie i swoje rodziny na skrajne niebezpieczeństwo.

Nie umiem wyobrazić sobie tego, co myśli ojciec czy matka, których dziecko ginie w puszczy. Pokazuje to pani.
– Oni też muszą się zmierzyć z tym strasznym faktem, że ich dziecko umiera w konsekwencji ich decyzji o emigracji. Trudno mi sobie na przykład wyobrazić, co czują rodzice, którzy wsiadają z dziećmi do dziurawej łupiny i płyną przez Morze Śródziemne. Jak bardzo muszą być zrozpaczeni i zdeterminowani!

Po drugie, to ci wspaniali Polacy, aktywiści, którzy decydują się pomagać migrantom i ciężko płacą za swoje decyzje. Są traktowani przez państwo jak kryminaliści, prezydent nazywa ich „durniami i zdrajcami", muszą działać w konspiracji, no i doświadczają jednej traumy za drugą.

I po trzecie, to funkcjonariusze polskiej Straży Granicznej postawieni w sytuacji, w której muszą robić rzeczy, których nie przewidywali w najgorszych snach. Nikt przecież nie idzie na służbę, myśląc o tym, że będzie oszukiwał biednych, przerażonych ludzi, wmawiając im, że się nimi zaopiekuje, po czym wydawał ich na pastwę Białorusinów. Albo że będzie przepychał kilkuletnie dzieci pod drutami kolczastymi. Albo znajdował w lesie ciała ludzi, którzy zmarli tam w wyniku decyzji ich politycznych przełożonych. Że będzie zmuszony nie tylko nieludzko postępować, ale też łamać prawo, bo metody, którymi posługuje się Straż Graniczna, są w świetle obowiązującego prawa w Europie i w Polsce nielegalne. Co zresztą potwierdziły sądy badające pushbacki.

Podobnie jak pani uważam, że powinniśmy stosować się do międzynarodowych konwencji i respektować wnioski migrantów o azyl, zachowywać się wobec nich tak jak na naród „Solidarności" przystało i że znęcanie się nad tymi ludźmi to tylko młyn na wodę ruskiej propagandy spod znaku „Polacy mordują uchodźców". Mój kuzyn zgadzał się co prawda ze mną, że ludzie, którzy do nas zmierzają, to ofiary wojen, głodu, bezrobocia w swoich krajach, że zasługują na lepsze życie, ale dowodził zarazem, że polskie państwo postępuje słusznie, bo gdyby postępowało inaczej, wpadlibyśmy w pułapkę zastawioną przez Łukaszenkę i Putina, którzy przysłaliby nam tu pół Bliskiego Wschodu i Afryki. Czy można pogodzić te dwa punkty spojrzenia?
– Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś wysuwał takie argumenty. Oni myślą tak, my inaczej – na tym polega demokracja. Można o tym debatować i, owszem, szukać porozumienia, a jeśli nie, to chociaż zrozumienia, lecz tylko wtedy, kiedy będziemy rozmawiać ze sobą z wzajemnym szacunkiem, ale też z szacunkiem wobec ludzkiego życia, także życia migrantów. Z szacunkiem dla istoty człowieczeństwa.

Bo wie pan, dlaczego w ogóle zabrałam się za ten film? Właśnie z szacunku dla ludzkiego życia. Wszystko zaczęło się od mego gniewu na to, co się działo w Usnarzu.

Przypomnę: w Usnarzu Górnym w sierpniu 2021 r. grupa 32 Afganek i Afgańczyków znalazła się w pułapce między polską i białoruską granicą. Polskie służby nie respektowały ich wniosków azylowych, nie dopuszczały do nich pomocy, odcięły od wody, jedzenia, suchych ubrań, lekarstw. Swoją drogą, w tym samym czasie rząd przyjmował innych uchodźców z Afganistanu, gdzie władzę przejmowali właśnie talibowie.
– Usnarz był początkiem, jeśli chodzi o świadomość Polaków na temat tego, co się dzieje na tej granicy i że w ogóle staliśmy się krajem, do którego ciągną migranci. Po raz pierwszy zobaczyliśmy bezwzględnych pograniczników i chyba pogranicznicy po raz pierwszy się tak zachowywali. Przecież wcześniej traktowali tych Afgańczyków humanitarnie, dostarczali im wodę, pożywienie, nawet sami dokupywali dla nich lekarstwa. Aż przyszedł rozkaz, że nie można im nic dawać, nikogo do nich dopuszczać. Jak czują się ludzie, którzy jednego dnia dawali tamtym umęczonym, przerażonym ludziom wodę, a drugiego patrzyli, jak ci sami ludzie muszą pić wodę z kałuży?

Polacy to oglądali dzięki transmisjom dziennikarzy, polityków, aktywistów. Wielu z nich było oburzonych. Trzeba było to ukryć, więc rząd wprowadził stan wyjątkowy, odcinając ogromny obszar Polski od jakiejkolwiek kontroli ze strony mediów oraz organizacji humanitarnych i medycznych. W demokratycznym państwie utworzono ad hoc zonę, w której prawo nie obowiązuje ani mieszkańców, ani media, ani migrantów, ani same władze!

Podkreślam: zona została utworzona nie w obawie przed Putinem i Łukaszenką, ale w obawie przed polską opinią publiczną. Jarosław Kaczyński przecież przyznał, że wojna w Wietnamie została przegrana przez Amerykanów właśnie dlatego, że dopuszczono tam do obecności dziennikarzy.

Pytanie, które sobie wtedy postawiłam, brzmiało: czy w wojnie hybrydowej, którą prowadzą przeciw nam Putin z Łukaszenką, naszą jedyną bronią ma być torturowanie ludzi? Dopuszczanie do tego, że tracą zdrowie i życie? A przypomnę, że w puszczy giną nie tylko ci przysłowiowi rośli mężczyźni wyznający islam, ale również kobiety, dzieci, starcy, chorzy.

Chrześcijanie też. Przy zwłokach Etiopczyków znajdowano święte obrazki.
– Oczywiście. Albo jazydzi.

Nieprawdą jest oczywiście, że ludzie, którzy przedzierają się do nas z Białorusi, nie uciekają przed wojną. Afganistan po przejęciu władzy przez talibów jest w stanie głębokiego konfliktu wewnętrznego. Wojny i rebelie trwają w wielu państwach Afryki. Chaos w Iraku jest konsekwencją polityki Zachodu. Naszej również, bo to myśmy byli sojusznikami Ameryki.

Z patriotycznego obowiązku przypomnę, że mieliśmy nawet własną strefę okupacyjną.

eprasa.pl 1f49962744

– Miło, że pan o tym pamięta.

No i jest oczywiście wojna w Syrii, która wybuchła w 2011 r. i wcale się nie skończyła, a przed którą musiały uciekać miliony Arabów i Kurdów. Uciekali przed reżimem Asada, przed armiami watażków, przed Państwem Islamskim, ale także przed Putinem. Rosjanie w 2015 r. zaangażowali się po stronie dyktatora, obracali w perzynę całe miasta i urządzili sobie, jak się później okazało, poligon doświadczalny przed Ukrainą. Syryjczycy, którzy uciekali z własnych domów przed Rosjanami, są w takim samym stopniu ofiarami Putina jak nasi sąsiedzi z Ukrainy!

Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób.
– Bo sytuacja jest bardziej złożona, niż byśmy chcieli myśleć.

Pytanie, czy dobru Polski i dobru Unii Europejskiej służy to, że traktujemy ofiary konfliktów nie jak ludzi, tylko jak obiekty? Ja bym pańskiemu kuzynowi odpowiedziała, że nie zgadzam się na logikę w duchu „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą", że może ludzi szkoda, ale stawiamy opór Putinowi. Zrobiłam zbyt wiele filmów o historii XX w., by nie pamiętać o tym, jak łatwo przekracza się granicę między geopolityczną koniecznością a relatywizacją ludzkiego życia. Wiemy przecież, że ta relatywizacja może prowadzić do ludobójstwa, więc powinniśmy być tym bardziej uważni. My, Europejczycy, nie jesteśmy immunizowani na ludobójstwo. Przeciwnie, ono jest w naszym DNA.

Dlatego uważam, że ci, którzy mają wrażliwość, nazwałabym ją najogólniej chrześcijańską, bo w końcu należymy do tej kultury i dla mnie ewangeliczny Chrystus jest równie naiwny, jak ja, kiedy... Zaraz, zaraz, tylko żeby nie wyszło, że porównuję się do Jezusa!

Już mam tytuł: „Agnieszka Holland: Jestem Jezusem".
– Ha, ha, ha. Chodzi mi o to, że wierzę w ten pierwotny chrześcijański pomysł na ludzkie braterstwo, w „nie będzie Greka ani Żyda", mimo że wydaje się on szalenie naiwny. Ale do tego dążyliśmy, prawda? Po szczepionce Holocaustu zrozumieliśmy konieczność Europy jako kontynentu praw człowieka, demokracji, końca rasizmów i nacjonalizmów, współpracy i praworządności. Czyż nie dla takiej Europy, takiego marzenia walczą dziś i giną Ukraińcy?

I co mamy zamiar zrobić z tym braterstwem? Jaki mamy pomysł? Bo jak na razie Unia Europejska stosuje politykę strusia: albo udaje, że problemu nie ma, albo znajduje rozwiązania, które są kompletnie nieskuteczne. Takie jak ten nasz płot na granicy albo jak dogadywanie się z Erdoganem czy tunezyjskim autokratą Kaisem Saiedem, żeby przytrzymywali uchodźców w zamian za miliardy euro.

Albo z libijskimi milicjami.
– Co doprowadza do jeszcze większego cierpienia tych, którzy uciekli z domów przed cierpieniem. W wypadku Erdogana akurat jeszcze tak źle nie jest, ale ten deal ma przecież konsekwencje: polityka Unii Europejskiej staje się zależna od polityków o dyktatorskich zapędach.

Tylko że my nic w ten sposób nie załatwimy! Wbrew temu, co piszą dobrzy Polacy na forach czy co mówią niektórzy publicyści, tymi zabiegami nie zmniejszymy potrzeby migracyjnej na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Ich los w swoich ojczyznach się nie polepszy. Oni nadal będą uchodzić, wybierając jedynie taką drogę do europejskiego raju, która wydaje im się najbardziej bezpieczna albo na którą ich stać.

A przecież do wojen, bezrobocia, korupcji dochodzi coraz wyraźniej kwestia klimatyczna – w wielu krajach globalnego Południa może już za kilkanaście lat nie będzie się dało żyć, a jeśli będzie się dało, to w warunkach wojen o wodę.

Dzięki wojnie w Ukrainie uświadomiliśmy sobie, jak może wyglądać efekt motyla w skali globalnej: Ukraina, spichlerz tej części świata, nie może eksportować zboża, którym żywi się Bliski Wschód i Afryka. Uruchamia się domino – w takim Egipcie, Etiopii czy Syrii rosną ceny jedzenia, więc rośnie bieda, więc rośnie potrzeba wyjazdu do Europy, więc migruje coraz więcej ludzi, a Europa jest coraz bardziej przerażona. Zresztą nawet gdyby wojna skończyła się korzystnie dla Ukrainy, to i tak ogromna część ukraińskich pól będzie jeszcze długo zaminowana.
– To, co robi Putin w kwestii zboża, przypomina mi trochę postępowanie Stalina, który w latach 30. wywołał w Ukrainie Wielki Głód. Logika jest ta sama – żywność i głód stają się narzędziem politycznym.

Ale co z tego domina wynika? Ano to, że niedługo na granicy polsko-białoruskiej możemy mieć nie tysiące, ale setki tysięcy ludzi rocznie. Na innych granicach UE także. I co? Jaką mamy realną odpowiedź? Będziemy bombardować łodzie na Morzu Śródziemnym albo instalować karabiny maszynowe w Puszczy Białowieskiej?

Jesteśmy starzejącą się błyskawicznie wyspą bogactwa i pokoju sąsiadującą z regionami, które doświadczają wojen, korupcji, głodu, problemów klimatycznych i są tykającą bombą demograficzną. Według analizy „The Lancet" do końca wieku ludność Polski spadnie do 15 mln, podczas gdy liczba ludności Nigru czy Czadu wzrośnie siedmiokrotnie. Egipcjan ma być 200 mln (dwa razy więcej niż dziś), a Nigeryjczyków aż 790 mln (wobec 200 mln dziś), czyli więcej, niż wówczas będzie Chińczyków. W krajach Afryki Subsaharyjskiej ma mieszkać 3 mld ludzi, czyli 10 razy więcej niż w zachodniej Europie. Nawet jeśli to tylko prognozy, to pokazują dobitnie, jaki będzie trend i jak rosła będzie presja migracyjna na Europę. Ciśnienia muszą się wyrównać, takie są prawa fizyki – różnica ciśnień musi zmiażdżyć mury twierdzy Europa.
– To jest zupełnie jasne, zupełnie jasne!

I chodzą mi po głowie wizje Europy rządzonej przez coraz bardziej skrajnie prawicowe partie, które proponują najprostsze rozwiązania skomplikowanych problemów. Europy, w której mamy białych nadludzi i podludzi z Afryki czy Bliskiego Wschodu oraz inne okropne rozwiązania, o których boję się głośno mówić. Może jako osoba bardziej doświadczona i mądrzejsza mogłaby mi pani te złe wizje przegnać z głowy?
– Nie mogę, proszę pana. Dlatego, że te wizje są logiczne. To znaczy: prawdopodobne.

Ja nie mam odpowiedzi na pytania, jak rozwiązać tak poważne problemy. Ale uważam, że musimy sobie te pytania zadawać. Chyba że godzimy się na to, że zamieniamy Europę w kontynent zimnych morderców.

Jaka jest odpowiedź europejskiej skrajnej prawicy, wiemy. Ale czego boją się chrześcijańscy konserwatyści? Liberałowie? Dlaczego lewica też nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy? Nie tylko nie mają rozwiązań tych problemów, lecz nawet nie chcą się mierzyć z podstawowym: obecna sytuacja jest nie do utrzymania!

I nie da się utrzymać poziomu życia w UE, nie wpuszczając do Europy milionów migrantów. A napływ ogromnych rzesz ludzi z innych kontynentów będzie budził głębokie społeczne lęki. Wyobraźmy sobie, że napływają do nas kolejne miliony Afrykanów, Arabów, Afgańczyków i nadal nie mamy żadnego europejskiego pomysłu na rozwiązanie problemów z integracją, które z tego wynikną. W kolejnych wyborach w kolejnych państwach wygrywają prawicowi populiści, nacjonaliści, faszyści, a Unia Europejska przechodzi do historii jako związek państw szanujących prawa człowieka, trójpodział władzy itd. Europa zamienia się w uzbrojoną twierdzę, nadal szturmowaną przez miliony ludzi. Co zrobią w takiej sytuacji faszyści? Nie będą się patyczkować. Nie będą pertraktować z Erdoganami. Będą budować dla tych ludzi obozy koncentracyjne i komory gazowe. Będą mordować. Znając historię XX w., możemy tę ewentualność przewidzieć jako wysoce prawdopodobną.

> Pytanie, które sobie postawiłam po Usnarzu: czy w wojnie hybrydowej, którą prowadzą przeciw nam Putin z Łukaszenką, naszą jedyną bronią ma być torturowanie ludzi?

No to faktycznie mnie pani nie pocieszyła.
– Może oczekiwał pan ode mnie wizji w stylu kina moralnego niepokoju, a ja panu sprzedałam wizję z „Mad Maxa". Ale to nie koniec. Powiem coś jeszcze: na przełomie lat 30. i 40. w Europie była jednak mocno ograniczona liczba Żydów. Tu tak nie będzie.

Co będzie potem? Myślę, że upadek naszej cywilizacji, porównywalny z upadkiem Rzymu. „Barbarzyńcy" i tak napłyną w końcu do Europy z Południa i przemienią państwa, które dziś znamy, w coś innego. Może piękniejszego i lepszego, kto wie.

Więc jeśli szuka pan nadziei, to mogę powiedzieć panu tyle: po wymarciu dinozaurów ostatecznie przecież zaistniały zwierzęta równie fajne albo nawet fajniejsze od nich.

Nie będę psuł widzom zabawy, ale w najśmieszniejszej scenie „Zielonej granicy" pięknie dostaje się Platformie Obywatelskiej. A jak podobało się pani to, że Donald Tusk w swoim nagraniu z początku lipca zagrał na ksenofobicznej, antymuzułmańskiej nucie, podkreślając, że polski rząd zamierza szeroko otworzyć dostęp do polskiego rynku pracy tysiącom obywateli m.in. „Islamskiej Republiki Iranu" albo „Islamskiej Republiki Pakistanu"?
– Było to bardzo brzydkie, choć rozumiem polityczny sens tego zabiegu, który polegał na wytrąceniu drugiej stronie argumentów.

Nie podobało mi się też, że Tusk mieszał sprawę migracji z potężnymi zamieszkami, które latem wstrząsały Francją. Ludzie, którzy protestowali w tak brutalny sposób na ulicach francuskich miast, to nie świeży migranci zarobkowi, ale obywatele Francji z rodzin, które mieszkają tam od trzech pokoleń. To nie jest problem migracji, ale integracji – francuska polityka asymilacyjna jest nieskuteczna. Potomkowie imigrantów nie są w stanie spełniać swoich aspiracji, bo ich szklany sufit jest zawieszony niezwykle nisko.

Ta demagogia mi się nie podobała, lecz co do meritum Tusk miał rację, wskazując na hipokryzję władz. Z jednej strony PiS prowadzi bardzo liberalną politykę dotyczącą migracji zarobkowej i w 2022 r. wydał 130 tys. pozwoleń na pracę obywatelom państw muzułmańskich, a projekt dalszej liberalizacji, o którym mówił Tusk i który został po jego spocie wycofany, przewidywał kolejne ułatwienia dla obywateli właśnie choćby Iranu, Pakistanu, Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy Turcji. Z drugiej strony rząd szczuje na uchodźców i organizuje referendum w sprawie ewentualnej konieczności przyjęcia... Pamięta pan, o ilu migrantów chodzi w unijnej propozycji?

O śmiesznie małą liczbę – 2 tys. rocznie. Przy czym, po pierwsze, nie byłaby to, jak straszy PiS w pytaniu, „obowiązkowa relokacja", bo zamiast przyjęcia można wybrać zapłacenie 20 tys. euro od osoby do unijnego funduszu na politykę migracyjną albo udzielić wsparcia w polityce migracyjnej UE o tej wartości, np. wysyłając swoje służby w jakieś gorące miejsce. Po drugie, Polska i tak byłaby z tego na razie zwolniona jako kraj, który przyjął milion Ukraińców. Po trzecie, w razie pogorszenia się sytuacji w Ukrainie lub rosnącej liczby migrantów przenikających do nas z Białorusi reforma byłaby Polsce na rękę.
– No więc tu mamy absurdalną liczbę 2 tys. osób, które można przed przyjęciem sprawdzić przez wywiad, a zarazem przyjmujemy dziesiątki tysięcy migrantów, których nikt nie sprawdza. Jeśli politycy PiS straszą nas terrorystami, to zadajmy sobie pytanie, w której grupie będą terroryści? W tej, która naraża życie, płynąc przez morze albo przedzierając się przez puszczę, czy w tej, która przylatuje do kraju docelowego samolotem?

Zapytałem młodszych kolegów, jakie jedno pytanie zadaliby Agnieszce Holland. Powiedzieli: „Nie pytaj jej już o ten PiS, my naprawdę wiemy, że jest zły. Zapytaj, jak to zrobić, żeby nikogo nie pozostawić samemu, może nawet wpuścić wszystkich migrantów, ale jednocześnie nie doprowadzić do rozpadu społeczeństw". No to pytam.
– To trzeźwe pytanie, bo jak już powiedzieliśmy, ten napływ będzie oznaczał kulturową zmianę, i to nie w tę stronę, w którą Europejczycy by chcieli. Będziemy musieli mierzyć się w najbliższych latach z głębokimi zmianami kulturowymi wywołanymi zmianą proporcji demograficznych, innym postrzeganiem ról genderowych, stosunkiem nowo przybyłych do kobiet czy społeczności LGBT. To są prawdziwe lęki, lecz nie mam na nie rozwiązania. Ja mogę je tylko wyczuwać i nazywać.

Ale mogę mówić też, że torturując, obrażając i mordując tych ludzi, nie osiągamy żadnego realnego rozwiązania, abstrahując już od obrzydliwości i niemoralności tego typu zachowań.

Nie wiem, czy słyszał pan o przypadku młodej Etiopki, której ciało w lutym odkryto na przedmieściach Hajnówki.

Chodzi pani o 28-letnią Mahlet Kassę? To przy niej znaleziono modlitewnik z obrazkami chrześcijańskich świętych.
– Dziewczyna źle się poczuła, nie była w stanie dalej iść. Jej towarzysze, widząc, że nie dadzą rady jej pomóc, postanowili wyjść z lasu i wezwać pomoc, choć wiedzieli, że polskie służby zapewne zastosują wobec nich nielegalny pushback. W końcu przyjechała do nich Straż Graniczna. Mężczyźni błagali o ratunek dla Mahlet, pokazywali pogranicznikom, gdzie ona leży. Oni co prawda tam pojechali, ale nie wysiedli z auta i wywieźli mężczyzn na granicę. Ci, kiedy po kilku dniach nie mieli od niej sygnału, zaalarmowali z Białorusi aktywistów z Podlaskie-

eprasa.pl 1f49962744

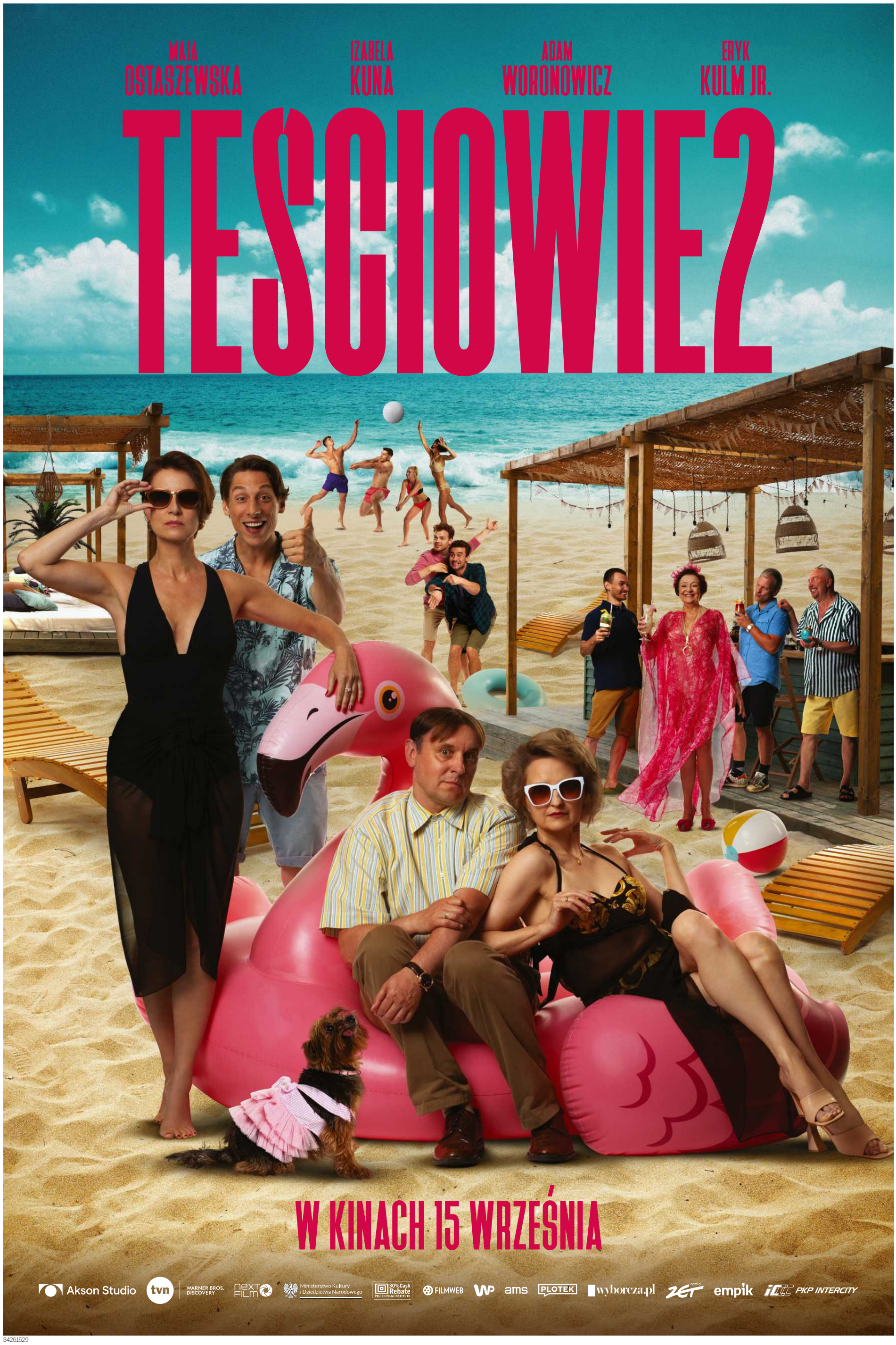

eprasa.pl 1f49962744

go Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego. Ekipa Piotra Czabana, dziennikarza, który zajął się ratowaniem ludzi na granicy, znalazła ciało w tym samym miejscu, w którym koledzy zostawili Mahlet osiem dni wcześniej.

Umierającej kobiecie nie udzielono pomocy, a to jest najzwyczajniej w świecie karalne według kodeksu karnego. Jeśli kiedyś dojdzie do jakichś normalnych procesów w tej sprawie, winni powinni zostać osądzeni.

Ale czemu o tym opowiadam? Bo obejrzałam w sieci jej pogrzeb. Jej ciało zostało przetransportowane do Etiopii. Pogrzeb był manifestacją sprzeciwu wobec takiego traktowania Etiopczyków i ludzi w ogóle. Zebrało się na nim kilka tysięcy ludzi, a mowa siostry tej zmarłej była bezpośrednim oskarżeniem polskich służb mundurowych.

Tak więc to nie jest tak, że wszyscy na świecie wiedzą, że Putin i Łukaszenka dokonują zbrodniczych, nieludzkich czynów, a PiS-owska propaganda skutecznie wypierze nasze polskie brudy. Postępowanie polskich władz ma konsekwencje – buduje na świecie nasz obraz jako Polaków, buduje obraz Europejczyków. A ja nie chcę takiego obrazu Polski i Europy. Nie zgadzam się też na taki obraz polskich służb mundurowych, do których mam szacunek.

Cieszę się, że pani to mówi. Urodziłem się za późno, by pamiętać pałowanie za komuny, i nawet mimo że nie jestem specjalnym miłośnikiem żadnych mundurów, to mam wdrukowany jakiś szacunek wobec ludzi na tzw. służbie. I nie mogę przyzwyczaić się do myśli, że faceci z orłem na mundurze przerzucają ciężarną kobietę przez drut kolczasty. Co pani też pokazuje.
– Wie pan, Polacy są zwykłymi ludźmi.

O nie! Naprawdę?
– Przykro mi, że zdradzam panu tę tajemnicę.

W każdym kraju propaganda może doprowadzić do tego, że w ludziach budzi się przyzwolenie na to działanie, a u niektórych budzą się też instynkty sadystyczne. Szczególnie jeśli są one usprawiedliwione politycznym czy ideologicznym przyzwoleniem ze strony autorytetów politycznych czy duchowych. Ja wiem, że Kościół zabierał głos w sprawie kryzysu na granicy, sama bym się pod niektórymi wypowiedziami podpisała. Ale był w tym, że tak delikatnie powiem, dość oględny. Jeżeli Kościół jest tak skuteczny w osiąganiu innych celów u tej władzy, na przykład w sprawie prawa antyaborcyjnego, to nie rozumiem, dlaczego z jeszcze większą determinacją nie broni życia ludzkiego nie tylko już poczętego, ale nawet narodzonego.

A wracając do pana pytania, rozumiem pana szok, lecz ja się zachowaniu polskich strażników czy żołnierzy nie dziwię. Bo w ogóle nie dziwię się złu. Wie pan, nie dziwię się temu, co robili esesmani, co robili żołnierze Putina w Buczy i co robili Czerwoni Khmerzy w Kambodży. Człowiek ma w sobie potencjał zła, który łatwo jest uruchomić. Bardziej dziwi mnie to, skąd bierze się bezinteresowne dobro, którego też jesteśmy świadkami na granicy.

Świetnie pokazuje pani, że kiedy funkcjonariusze państwowi łamią prawo, ignorując prośby migrantów o azyl albo wyrzucając ich na Białoruś, w rolę funkcjonariuszy państwa wcielają się aktywiści. Bo to oni starają się postępować zgodnie z prawem, co widać, kiedy ich liderka, grana przez Monikę Frajczyk, wymachuje bezradnie w stronę mundurowych stosami dokumentów.
– Nasi aktorzy – Piotr Stramowski, który gra jednego z aktywistów, i Maja Ostaszewska grająca napływową mieszkankę, która staje się aktywistką – sami pomagali na granicy.

A na plan, który urządziliśmy w prywatnych lasach pod Warszawą, bo do Puszczy Białowieskiej nikt by nas oczywiście nie wpuścił, przyjeżdżali na konsultacje aktywiści z Grupy Granica.

A pani jeździła na granicę?
– Nie. Usnarz był w sierpniu 2021 r., a już we wrześniu wzięłam się do pracy. Podzieliliśmy się zadaniami. Do zespołu scenariuszowego zaprosiłam Macieja Pisuka, scenarzystę m.in. „Jesteś Bogiem", a potem Gabrysię Łazarkiewicz, moją siostrzenicę, która skończyła reżyserię w Gdyni, ale na razie z powodzeniem zajęła się pisaniem; wygrała konkurs na słuchowisko, pracuje przy serialach. Zaczęliśmy rozległą dokumentację. Śledziliśmy media – głównie TVN, OKO.press – z reportażem Szymona Opryszka na czele, z którym sam wybrał się na szlak ze Stambułu przez Mińsk do Puszczy Białowieskiej, no i pańską gazetę. Decydujące były materiały z waszej białostockiej redakcji, dzięki którym mogliśmy widzieć własnymi oczami obrazy, które się tam rozgrywają.

Nasza białostocka fotoreporterka Agnieszka Sadowska, która od początku dokumentuje ten kryzys, robiła wstrząsające zdjęcia stóp uchodźców – odmrożonych, zmaltretowanych, ze spuchniętą, odłażącą od wilgoci skórą. Takie stopy wracają kilkukrotnie w pani filmie.
– Dobrze pan skojarzył. Na granicę pojechał Maciej, odbywał różne podróże, nawiązywał kontakty, rozmawiał z wieloma mieszkańcami i aktywistami. Udało się nam też dotrzeć do kilku strażników granicznych, którzy oczywiście zastrzegli sobie pełną anonimowość. Docieraliśmy również do migrantów, głównie tych, którym udało się przedostać do Polski lub na Zachód.

Zebraliśmy więc taką ilość materiału, jaka tylko była możliwa, i dokonaliśmy selekcji dramaturgicznej. Wtedy też podjęliśmy decyzję, żeby całość opowiadać epicko, to znaczy, żeby film pokazywał mniej więcej tę samą historię z czterech różnych perspektyw – uchodźców, strażnika, aktywistów i mieszkanki. Mieliśmy świadomość, że jeżeli uda nam się to sfinansować i potem nakręcić, to od razu trzeba to zrobić z rozmachem, by pokazać te różne prawdy, bo kolejnej okazji może szybko nie być.

Każde wydarzenie, które pokazujemy, ma źródło w prawdziwych wydarzeniach. Na wszystko mamy papiery, chociaż nie wszystkie możemy ujawnić.

A czy kluczowa dla dramaturgii całej historii postać pogranicznika Jana, grana przez Tomasza Włosoka, jest wymyślona od zera czy zakorzeniona w jakimś realnym, wahającym się strażniku?
– Postać jest wymyślona, ale ma korzenie w wielu osobach. Także tych wciąż będących na służbie. Bo nie wiem, czy pan wie, ale odkąd zaczął się kryzys, wielu strażników przeszło na wcześniejszą emeryturę.

Nie wiedziałem. Jak wielu?
– Nie umiem panu podać liczb. Ale to był wątek, który powracał w rozmowach z pogranicznikami, a przede wszystkim z mieszkańcami, którzy przyjaźnią się z pogranicznikami. To są małe miejscowości, wielu ludzi się tam zna od czasów dziecięcych. Wszyscy o sobie wszystko wiedzą.

Trzeba też panu wiedzieć, że Straż Graniczna była aż do tego kryzysu czymś w rodzaju wizytówki polskich służb mundurowych. Fajnie było być strażnikiem granicznym! Coś o tym wiem; serial „Wataha", którego bohaterami są bieszczadzcy pogranicznicy, reżyserowała przecież moja córka Kasia Adamik.

I kiedy zaczął się kryzys, wielu strażników poczuło się niekomfortowo w sytuacji, w której muszą robić rzeczy, które nie jest fajnie robić: przepychać ludzi za druty, okłamywać ich, łamać prawo.

A co oni myślą o tym łamaniu prawa?
– Oni oczywiście wiedzą, że to nielegalne, ale jednocześnie mówi im się: róbcie to, jesteście kryci, włos wam z głowy nie spadnie, naród murem za mundurem! Jednak pogranicznicy nie wiedzą, czy wiatr nie zacznie wiać pewnego dnia z innej strony i czy komuś nie przyjdzie za to zapłacić. I po ponad 30 latach wolnej Polski wiedzą już, że jeśli komuś przyjdzie zapłacić, to na pewno nie będą to politycy. Przypomnę, że akurat służby w Polsce nadzorują ministrowie Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, którzy zostali uznani za winnych przekroczenia uprawnień przy aferze gruntowej z 2007 r., w której próbowali skompromitować Andrzeja Leppera, ale uratował ich prezydent Duda, ułaskawiając, zanim w wyższej instancji zapadł prawomocny wyrok.

Jeśli człowiek jest w miarę wrażliwy, ma własne dzieci, to potwornie drogo kosztuje go przeciskanie dzieci pod drutem kolczastym. Stąd zaczęły się tam pijaństwa. Z naszych informacji wynika, że zdarzały się na tym tle samobójstwa. Jeden z mych mieszkających tam znajomych, wychodząc z psem, natknął się na ciało mundurowego z przestrzeloną głową, właśnie zabierane przez służby. Kiedy wracał, pies zatrzymał się przy bramie i zaczął zlizywać z niej ludzki mózg.

Pamiętajmy więc, że na stres pourazowy cierpią nie tylko uchodźcy, nie tylko aktywiści gnębieni przez aparat państwa, ale także pogranicznicy. Zwłaszcza że przed kryzysem pogranicznicy akurat z tego odcinka nie mieli właściwie za dużo roboty. Wiadomo, szedł przemyt, lecz nie ludzie, bo tego pilnowali akurat sami Białorusini. Aż nagle zaczęła się robota 24 godziny na dobę, i to bardzo niewdzięczna. I w tym też widać całkowitą nieudolność naszego państwa.

Do roli uchodźców zaangażowała pani aktorów, którzy w części także są uchodźcami. Czy dla nich to był tylko job, czy coś więcej?
– To profesjonaliści. Ale owszem, ten film był dla nich zarazem ważniejszy niż większość filmów, w których występowali. Mieli poczucie, że dają głos swoim braciom i siostrom, że spełniają wobec nich obowiązek. A kiedy mówiliśmy o filozofii naszego filmu, ustaliliśmy, że najważniejszym naszym celem jest danie głosu tym, którzy go nie mają.

Słyszałem, że na Jalalu Altawilu, syryjskim aktorze, który w „Zielonej granicy" gra głowę rodziny próbującej przebić się do Polski, ciąży w Syrii wyrok śmierci.
– Tak, przed wybuchem wojny domowej 2011 r. był tam popularną postacią, oprócz reżyserowania i grania w teatrze występował też w serialach. Wsparł antyreżimową rewolucję, chodził na demonstracje w Damaszku. Policja się nad nim znęcała. Dziś ma bazę we Francji, ale działa też w obozach dla uchodźców syryjskich na Bliskim Wschodzie, prowadząc animacje terapeutyczne dla dzieci.

W filmie jego ojca gra Mohamad Al Rashi, który również jest dziś uchodźcą politycznym we Francji. I także był w Syrii znanym aktorem, a do tego wygląda tak samo jak jego ojciec, który był wielką gwiazdą, więc wszyscy go z ojcem mylili. Myśmy się szybko zgadali, bo od razu zdradził nam, jak strasznie jest podniecony, że przyjedzie grać do Polski. Jednym z jego największych doświadczeń było granie w „Emigrantach" Mrożka lata temu w Damaszku. Opowiadał, że Mrożek stał się dla niego intelektualną latarnią morską. Odpowiedziałam, że moim teatralnym debiutem reżyserskim – w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie – byli w 1976 r. właśnie „Emigranci". A potem, w latach 80., sama zostałam emigrantką polityczną we Francji. Rozmawialiśmy z Mohamadem o tym, jak podobne były nasze doświadczenia, lęki, kłopoty, frustracje, tęsknoty. Poczuliśmy ogromną wspólnotę wynikającą z czysto ludzkiego, ale też artystycznego doświadczenia.

A dzieci, które grają wnuki postaci granej przez pana Mohameda?

1 RP

Jeśli człowiek jest w miarę wrażliwy, to potwornie drogo kosztuje go przeciskanie dzieci pod drutem kolczastym. Zdarzały się na tym tle samobójstwa

FOT. AGATA KUBIS / KINO ŚWIAT

eprasa.pl 1f49962744

– Również są emigrantami z Syrii. Tajim i Talia to także rodzeństwo poza ekranem. Przeszli przez sześć pushbacków.

Zatrudniła pani dzieci, by odgrywały tak traumatyczne doświadczenia?!
– Oczywiście nigdy nie wzięłabym ich, gdyby chodziło o Puszczę Białowieską. To były pushbacki na granicy syryjsko-tureckiej. Tam też się to dzieje, choć nie wygląda aż tak dramatycznie, bo nie ma bagien i siarczystego mrozu. Choć one przeszły przez te pushbacki jako mniejsze dzieci, to jest w nich doświadczenie tego strachu, że się nie uda, że wygonią, że przepchną. Jakkolwiek smutno by to brzmiało, to jest też niestety dla nich stan normalny, podobnie zresztą jak dla milionów dzieci syryjskich. One nie znają innego dzieciństwa.

Po obejrzeniu „Zielonej granicy" miałem taką przewrotną refleksję, że to jest dokładnie taki film, o jakim od ośmiu lat marzy minister Gliński. Bo pokazuje, że chociaż część Polaków czyni zło bliźnim innych ras, to inni z kolei z poświęceniem ich ratują. Jest międzynarodowa obsada. Jest premiera na słynnym festiwalu. No i to film historyczny, a Gliński ma na tym punkcie hopla. Czy pani miała tę właśnie refleksję, że kręci pani film historyczny – w tym sensie, że historia dzieje się teraz?
– Miałam dokładnie tę refleksję! Zrobiłam kilka filmów o historii bardziej odległej – trzy filmy o Holocauście, „Obywatela Jonesa" o Hołodomorze. I kiedy zobaczyłam, że historia dzieje się na naszych oczach i nagle stwarza sytuacje, w których te zagrożenia i wybory, o których kręciłam tamte filmy, się aktualizują, to wiedziałam, że powinnam o tym opowiedzieć. To był imperatyw. Poczułam, że po latach spokoju nadchodzą do nas czasy bezpośrednich zagrożeń. A to było jeszcze przed atakiem na Ukrainę.

Miałam poczucie, że trzeba opowiedzieć tę historię teraz, zanim to wszystko się ucukruje i zanim za 20, a może 40 lat aktywiści, którzy dziś biegają po lasach, będą uznani za polskich Sprawiedliwych i nagle się okaże, że wszyscy wtedy pomagali.

Skoro przywołuje pani Sprawiedliwych, to muszę powiedzieć, że oglądając „Zieloną granicę", nie mogłem odgonić myśli o Zagładzie – do głowy napływały mi sceny z książek, filmów, fotografii, którymi każdy, kto trochę interesuje się historią Polski, w tym kraju nasiąka. Ot na przykład scena rozgrywająca się na polu, na które wypada słaniająca się na nogach Afganka, błagając pracującego rolnika o wodę. Rolnik daje jej butelkę i zaraz łapie za telefon. Natychmiast przypominają się o opowieści o Żydach wiezionych pociągami do obozów śmierci i chłopach sprzedających im wodę podczas postojów. I denuncjujących tych Żydów, którym udało się uciec z transportu.
– Nie jesteśmy wcale pewni, do kogo rolnik dzwoni. Ale ktokolwiek to jest, Afganka wyczuwa zagrożenie i ucieka.

Katarzyna Surmiak-Domańska opisała niedawno w „Dużym Formacie", że pojawiła się już w Puszczy profesja szmalcowników: „Oni polują na ludzi w lesie i żądają okupu za niepowiadomienie straży. Szmalcownik potrafi też nagle wyrosnąć nad grupą aktywistów zajmujących się człowiekiem i stać. Na pytanie, czego chce, odpowiada, że niczego, ma przecież prawo stać. Na ponowne pytanie odpowiada, że może sobie pójść, ale to będzie kosztowało 400 zł".
– Donosy się zdarzają. Ale zdarza się także, że mieszkańcy dają wodę, pozwalają naładować telefony i powerbanki, nie dzwonią na służby. Nie ma reguły.

Tych skojarzeń jest oczywiście więcej. Uchodźcy kryjący się za paczkami w furgonetce jak Żydzi w mieszkaniach. Pogranicznicy wmawiający zmaltretowanym migrantom, że jadą do Niemiec, byle ich tylko załadować na pakę, choć zaraz wyrzucą ich przez druty na Białoruś, z całym zachowaniem proporcji, muszą kojarzyć się z niemieckimi strażnikami opowiadającymi w obozach bajki o kąpieli itd.
– Nam też się to tak kojarzyło na planie, ale czy z powodu tych daleko posuniętych skojarzeń mieliśmy tych scen nie kręcić? Oczywiście, że nie. Wszystko, o czym opowiadamy, zostało udokumentowane. Te wydarzenia miały miejsce. I uderzyło mnie, że w granicznych sytuacjach ludzie zawsze zachowują się jakoś podobnie.

Do tych skojarzeń odnosili się też w rozmowach z nami mieszkańcy, szczególnie napływowi inteligenci, tacy jak filmowa Maja Ostaszewska – psycholożka Julia – która przeprowadziła się na Podlasie z Krakowa po śmierci męża. Kiedy nagle za płotem widzą wychudzonego, wygłodzonego człowieka z płonącymi ze strachu oczami, to im się natychmiast kojarzy z jednym. Kiedy widzą, jak na pakę ładuje się błagających i płaczących ludzi o śniadej cerze – też.

A ciekawe, z czym panu skojarzyła się scena, w której auto aktywistów zatrzymuje policjant i patrząc na Julię, mówi: „A pani jakaś taka ciemna. Ciekawe, czy mówi pani po polsku?", podejrzewając, że jest migrantką. A Julia zaczyna odmawiać „Ojcze nasz".

Z testem na bycie Polakiem katolikiem i przepytywaniem ukrywających się po aryjskiej stronie Żydów z pacierza. To też z życia wzięte? Ktoś naprawdę odpowiedział policjantowi modlitwą?!
– Tę sytuację opisały nam niezależnie od siebie dwie aktywistki. Ciekawe, że nasi młodsi aktorzy nie rozumieli rzeczywistego sensu tej sceny. To znaczy, że mimo stosów książek, filmów i naukowych opracowań, o których pan mówił, historia Holocaustu nie jest w Polsce tak dobrze znana.

Na co pani liczy? Że ci, którzy myślą inaczej od nas, zmienią zdanie po obejrzeniu filmu?
– Ta druga strona nie jest monolitem. Z badań, które kiedyś widziałam, wynikało, że tylko 25 proc. ludzi jest bezwzględnie i zawsze przeciwna pomaganiu migrantom, a dalej postawy się różnicują w zależności od różnych czynników. Najważniejsze, żeby ludzie w ogóle na ten film poszli. Jeśli ktoś nie jest kompletnie zablokowany w apriorycznym oczekiwaniu, że ma się z „Zieloną granicą" nie zgodzić, to będzie miał szansę na przemianę.

Mnie nie chodzi o to, żeby kogoś przekonać. Mam przekonywać do tego, że człowieczeństwo się liczy i że powinniśmy być bliźnimi wobec bliźnich? Jeżeli przez 2000 lat istnienia chrześcijaństwa to permanentne przekonywanie nic nie dało, to jeden film nic tu nie zmieni. Nie przemieni nas w aniołów. Ale może chociaż dotknie. I skłoni do zadania sobie podstawowego pytania: co mam zrobić wobec tej sytuacji?

No dobrze, to co mamy zrobić? Pani zrobiła film i bierze na siebie hejt. Ja redaguję teksty o uchodźcach i przelewam kasę organizacjom wspierającym migrantów. A co mają zrobić inni? Przecież nie rzucimy wszystkiego i nie pojedziemy na granicę.
– Przelewanie pieniędzy to już całkiem dużo. Aktywiści gonią resztkami sił.

Pomyślmy też o tych setkach czy tysiącach uchodźców, którzy są w Polsce. Niektórzy z nich spędzają długie miesiące w zamkniętych ośrodkach, gdzie doznają ogromnej traumy, bo te ośrodki w większości są jak więzienia albo nawet gorsze od nich. Można im choćby wysłać paczkę. Tym, którzy dostali azyl i mieszkają w tym samym mieście, można pomóc się integrować – zaproponować pomoc, pouczyć języka, zaprosić na herbatę.

Mamy też do odegrania rolę jako obywatele. Polska polityka migracyjna nie istnieje. Skoro politycy unikają tego tematu, to my musimy na nich naciskać, by się tym zajęli. Skoro rząd PiS wpuszcza tysiące pracowników z obcych kultur, musimy zacząć mówić o integracji, żeby ci ludzie poczuli się u nas może nie jak u siebie, bo to jest bardzo trudne, ale żeby poczuli się godnymi współmieszkańcami, żeby mogli nauczyć się języka, mieć szansę na wykształcenie siebie albo swoich dzieci. Muszą mieć perspektywy. Ta polityka zawiodła we Francji i dlatego co parę lat płoną centra miast.

Jest takie wspaniałe zdanie, które psycholożka Julia wypowiada do swojego pacjenta Bogdana, świetnie kreowanego przez Macieja Stuhra jako coś w rodzaju własnej karykatury rodem z prawicowych fantazji – zamożnego mieszczanina, którego aż rozsadza nienawiść do „rasistowskich pojebów w rządzie". To zdanie brzmi: „Bogdan, ja nie jestem w stanie prowadzić terapii narodowej". A czy myśli pani, że jest ktoś, kto byłby w stanie ją poprowadzić?
– Swego czasu taką personą był polski papież, ale dziś nikogo takiego nie widzę – i chyba dobrze.

Sami powinniśmy stać się taką zbiorową osobą, która przeprowadza Polskę przez tę terapię. Ja, kręcąc „Zieloną granicę", zgłaszam swój akces jako cząstka tej zbiorowej osoby.

Czyli „Polaku, lecz się sam"?
– Polaku, zadbaj o innych, a zadbasz też o siebie. ●

IGRZYSKA WOLNOŚCI

Za dwa tygodnie dowiemy się, co dalej

• Siedem scen i niemal 500 prelegentów, z tak gorącymi nazwiskami jak **Jonathan Littell** czy **Anne Applebaum** – największy festiwal idei w Europie Środkowo-Wschodniej odbędzie się w łódzkim Centrum Nauki i Techniki EC1 między 15 a 17 września. Hasłem 10. edycji Igrzysk Wolności jest „Punkt zwrotny", bo – jak mówią organizatorzy - właśnie on „zbliża się dla całego regionu, demokracji, praworządności oraz modelu kapitalizmu". A zawiera się w nim wiele: nadchodzące wybory, wojna w Ukrainie czy kryzys klimatyczny i ekonomiczny.

• Do Łodzi zjeżdżają intelektualiści ze świata nauki, kultury, polityki i biznesu. **Mark Galeotti**, czołowy ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa, opowie o Putinie i przyszłości geopolityki. Ekonomistka prof. **Deirdre Nansen McCloskey** o tym, jak przekonać ludzi do wolnego rynku. **Michael Ignatieff** wskaże głównych wrogów wolności. **Anne Applebaum** zastanowi się, czy środek ciężkości Unii przesuwa się na wschód i co dalej z sojuszem transatlantyckim. Spotkamy się również – między innymi – z najważniejszą literacką rzeczniczką Ukrainy **Oksaną Zabużko** i z **Jarosławem Kurskim**, autorem najgłośniejszej tegorocznej książki biograficzno-historyczno-eseistycznej „Dziady i dybuki". Zapraszamy

Joanna Żarnoch-Chudzińska
redaktor naczelna „Gazety Wyborczej Łódź"

OGŁOSZENIA

WIĘCEJ NA: NAGRODAGOMBROWICZA.PL / MUZEUMGOMBROWICZA.PL

FESTIWAL „OPĘTANI LITERATURĄ"

PACZKI

9 - 16.09.2023
Radom - Wsola

Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza

Rozmawiać będziemy o debiutach, także tych w innych językach; o życiu literackim, nagrodach i hierarchiach; o literaturze wobec faszyzmu i wszelkiej opresji ideologicznej

NASI GOŚCIE:
Antonia Lloyd-Jones, Monika Gromala, Justyna Sobolewska, Barbara Woźniak, Jerzy Jarniewicz, Piotr Kofta, Błażej Król, Jacek Leociak, Mariusz Lubomski, Michał Nogaś, Jerzy Radziwiłowicz, Piotr Sadzik, Piotr Śliwiński, Jacek Wakar, Andrzej Wolski

OGŁOSZENIE LAUREATKI/ LAUREATA VIII EDYCJI NAGRODY LITERACKIEJ IM. W. GOMBROWICZA 16/09/23

moderatorzy: Wiktoria Bieżuńska, Olga Górska, Urszula Honek, Sabina Jakubowska, Jakub Nowak

Organizatorzy:
Prezydent Radomia
Muzeum Witolda Gombrowicza
Patronat honorowy:
Rita Gombrowicz

Mecenasi:
Krężanowski
ZAKŁADY AUTOMATYKI KOMBUD

Partner strategiczny:
25.Mazowsze
Partner główny:
unidevelopment

Partnerzy:

Patronat medialny:
wyborcza.pl KSIĄŻKI
BOOKLIPS.PL
NOWY ŚWIAT

1 RP REKLAMA 34273588

eprasa.pl 1f49962744

ZNAM TĘ CISZĘ

W ostatnich wyborach nie mogłam zagłosować, bo karty przyszły do Włoch zbyt późno. Tym razem się nie dam. Przyjadę. Ma być policzone.

FOT. ANDREA GARDINI

eprasa.pl 1f49962744

Wiem, że nie jestem na tyle silna, żeby przetrwać jako matka i kobieta w sytuacjach, które widziałam na granicy.

Z **KATARZYNĄ SMUTNIAK***
ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**

Byłaś na granicy polsko-białoruskiej. Najpierw realizowałaś reportaż dla włoskiej telewizji, potem swój film dokumentalny „Mur". Czy po takim doświadczeniu da się wrócić do życia, które wiodło się wcześniej?
– A po co wracać? Wszystko zależy od tego, czym było twoje życie wcześniej. Na pewno inaczej teraz patrzę na świat, zmieniła mi się, po raz kolejny w życiu, hierarchia wartości. Inaczej też dzielę się moim czasem.

Po głębokim doświadczeniu emocjonalnym i psychologicznym nie ma już powrotu do tego, co było. I trzeba znaleźć równowagę. A widziałam wiele osób, które tego nie potrafiły, także was, dziennikarzy. Ja nie jestem dziennikarką, nie jestem reporterką.

Dlaczego więc postanowiłaś nakręcić „Mur"?
– Z głębokiej potrzeby. Chciałam wykrzyczeć, co się tam dzieje. To film dla mnie bardzo osobisty, bo nie potrafiłam tego opowiedzieć na sucho, bez emocji, z garścią statystyk powtykaną to tu, to tam. Bo jak, kurwa, to opowiedzieć inaczej, pokazać coś, co się nie mieści w głowie?

Mogłam tylko postawić na szczerość. A czy zrobiłabym to rok wcześniej, czy pół roku wcześniej, czy zaraz po rozpoczęciu kryzysu na granicy... Mam wrażenie, że nigdy nie ma dobrego momentu, żeby o tym w Polsce rozmawiać. Poczułam, że powinnam to zrobić, bo mam możliwość spojrzenia na to z zewnątrz, z innej perspektywy.

Bo od lat nie mieszkasz w Polsce.
– Wyjechałam zaraz po maturze, teraz mam 44 lata. Większość mojego życia spędziłam za granicą, ale moim sercem i centrum mojej uwagi zawsze była Polska. To charakterystyczne dla Polaków, którzy wyjechali. Są połączeni ze swoim krajem, a z czasem ta więź się wzmacnia. Podobnie jak potrzeba zrozumienia, kim się jest, powrotu do korzeni. Pomyślałam, że ja też mam prawo się zastanowić, kim jestem. Nasz kraj ma trudną historię, przez lata słyszałam, że nie mogę ocenić sytuacji dobrze, bo tu nie mieszkam. Brałam to za pewnik.

Co się zmieniło?
– Zrozumiałam, że sama mogę sobie prawo do opowiadania nadać. I że moim atutem jest właśnie to, że mogę opowiadać z dystansu. Sytuację na polsko-białoruskiej granicy śledziłam od samego początku, właściwie od upadku Afganistanu. Informacje czerpałam ze zweryfikowanych kont w mediach społecznościowych obecnych na granicy reporterów, aktywistów. Kiedy w listopadzie 2021 r. kryzys eskalował i w okolicy Kuźnicy pojawiła się fala migrantów, zaproponowałam mojemu koledze, włoskiemu reporterowi, żebyśmy tam pojechali.

*Katarzyna Smutniak

• aktorka, modelka, we Włoszech gwiazda. Na koncie ma role filmowe m.in. w produkcjach „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie", „Oni" i „Oni 2" Paola Sorrentina, „Pozdrowienia z Paryża", „Słodki koniec dnia". Wielokrotnie nagradzana przez włoską branżę filmową, wyróżniona też na Festiwalu Filmowym w Locarno. Dokument „Mur" to jej reżyserski debiut. 7 września miał premierę na Festiwalu Filmowym w Toronto.

I co zobaczyłaś?
– Kiedy przyjechaliśmy późnym popołudniem, było już ciemno. Wyobrażałam sobie, że na miejscu będzie mnóstwo ludzi – i to nie reporterów, ale przywiązanych do drzew aktywistów, zwykłych ludzi leżących plackiem na ziemi w ramach protestu.

A uderzyła mnie totalna cisza. I to było najbardziej szokujące. Nie działo się nic. Przed checkpointem stało może z dziesięć aut, a w nich siedzieli znużeni dziennikarze z laptopami na kolanach. Tego, co działo się po białoruskiej stronie, zobaczyć się nie dało, chyba że na ekranie telefonu. To był dla mnie szok. Byłam w kontakcie z chłopakiem z Iraku, któremu nie udało się granicy przekroczyć i ostatecznie do Iraku wrócił, ale pamiętam, że on też był w szoku. Był święcie przekonany, że po polskiej stronie dużo się dzieje, a na migrantów czekają autokary, które zabiorą ich do Niemiec.

Ta cisza została ze mną na długo. A potem zorientowałam się, że to coś, co dobrze znam.

Skąd?
– Wszyscy ją znamy. To znużenie tematem, odwracanie się w drugą stronę, kiedy ktoś potrzebuje pomocy, podejście „nie nasz problem". Mieszkam we Włoszech długo, ten kraj zmaga się z kryzysem migracyjnym w znacznie większej skali. Tam również panuje cisza. W ostatnich dniach fala migrantów się nasiliła, zwłaszcza na Lampedusie, która całkowicie się zmobilizowała, by ratować ludzi na Morzu Śródziemnym. I mogą to robić legalnie, choć to też jest problem, bo docierają tam rocznie setki tysięcy migrantów, dla których nie ma miejsca i żaden inny kraj nie chce ich przyjąć.

To dlaczego mieszkańcy Lampedusy pomagają?
– Na Lampedusie mieszkają rybacy, którzy wyznają prawo morza: trzeba ratować ludzkie życie za wszelką cenę, ponad wszystko. Dla nich to proste i oczywiste. Las także jest ogromny i niebezpieczny, jeśli ktoś nie potrafi w nim przeżyć, to zginie. W moim filmie starałam się ten ogrom pokazać. Ale w lesie nie obowiązuje takie same prawo jak na morzu, bo nigdy nie było takiej potrzeby. Teraz jest. I nieliczni ludzie przy granicy polsko-białoruskiej reagują instynktownie, jak ci włoscy rybacy, pomagają, bo tak trzeba. Każdy z nich podejmuje decyzję za siebie. Czy chce ratować innych, zwłaszcza kiedy to nielegalne?

Twój idealizm wzmocnił się na granicy polsko-białoruskiej czy zginął w boleściach?
– Wzmocnił się. Reportaż, który zrobiłam dla telewizji, odbił się we Włoszech sporym echem, lecz nie miałam złudzeń, że coś zmieni w sensie politycznym. Udało mi się jednak namówić kilku włoskich parlamentarzystów na wyjazd na granicę polsko-białoruską, biegałam po sympozjach politycznych, żeby się dowiedzieć, co mogę zrobić, i w końcu zrozumiałam, że nie mogę zrobić absolutnie nic.

No to jak twój idealizm mógł się wzmocnić?
– To mnie zmobilizowało do zrobienia czegoś, co ma mocniejsze fundamenty. Zrozumiałam, że nic nie zmienię, ale mogę opowiedzieć innym, co się na granicy dzieje. Bo to umiem, jestem aktorką, żyję ze snucia opowieści.

Na początku napisałam dokument w sześciu odcinkach. Tematem tego serialu miały być mury i sytuacja migrantów we Włoszech miała zostać opowiedziana w jednym z odcinków. Kiedy już byłam gotowa, żeby kręcić, Rosja napadła na Ukrainę. Zastanawiałam się, czy robienie serialu ma sens, czy mury kogokolwiek w tej sytuacji zainteresują. Temat granicy polsko-białoruskiej zniknął z mediów. A ja dostałam obsesji na punkcie tego budowanego właśnie w Polsce muru. Jedyne, co wiedziałam, to to, że nie można do niego podejść. Gdzie się zaczyna, kończy, jak bardzo jest długi – to wszystko było zagadką.

Polacy masowo pomagali Ukrainie, ale migranci na granicy polsko-białoruskiej ich podzielili. Dlaczego?
– Cały czas się nad tym zastanawiałam. Wielu moich znajomych i członków rodziny pomagało uchodźcom z Ukrainy, ta fala niesienia pomocy dawała niesamowicie pozytywną energię. A jednocześnie stała się murem oddzielającym nas od tego, co działo się kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ od granicy Polski z Ukrainą. Czy chodzi tylko o kolor skóry? Na granicę z Białorusią nie przychodzą jedynie migranci z ciemniejszą karnacją. To ludzie z całego świata. Czy udajemy, że ich nie widzimy, bo przekraczają granicę nielegalnie, a uchodźcy z Ukrainy legalnie? Wiemy tylko to, co zostało nam powiedziane w mediach.

Poza tym wojnie w Ukrainie można przypisać twarz. To twarz Putina. Wojna z Syrii wydaje nam się bardziej odległa, wręcz abstrakcyjna, niewiele się o niej u nas mówi, a jeśli już, rzadko nazywamy to wojną. Lecz czy to wystarczy, żeby podzielić ludzi, którzy potrzebują pomocy?

Poznałaś wielu, którzy nie dzielą.
– Można ich nazwać aktywistami, można uznać, że to po prostu ludzie, którzy robią swoje. W moim filmie występują ludzie z całego świata, rzadko są to profesjonalni aktywiści, częściej stali się nimi z potrzeby serca. Są dla mnie bohaterami. Zwłaszcza teraz, kiedy rozmawiamy w kółko o tym, że nie ma już autorytetów. A dzielnych ludzi nie brakuje, tylko nie afiszują się swoim bohaterstwem. Każdy, kto podejmuje decyzję, by pomagać innym, ratować życie i ponosić tego konsekwencje, jest dla mnie bohaterem.

Moja fascynacja murami zaczęła się w dzieciństwie. Jeden z nich, ten oddzielający Litzmannstadt Ghetto od reszty Łodzi, widziałam z okna mieszkania mojej babci, którą w „Murze" odwiedzam.

W szkole podstawowej poznałam wiersz Czesława Miłosza „Campo di Fiori", który bardzo ze mną rezonował. Nie wiem dlaczego, bo żadna ze mnie poetka, poezji nie czytam i rzadko ją czuję. Ale to jest wiersz o kontraście między życiem a śmiercią, pomiędzy wyborem a biernością. I pomiędzy punktami widzenia.

Jaki jest twój?
– Jestem pilotem, odkąd skończyłam 16 lat, i wbrew obiegowej opinii w lataniu najfajniejsze nie są adrenalina czy wysokość, ale właśnie ten inny punkt widzenia, o wiele szerszy. Sprawia, że możesz odnieść się do swoich problemów z góry, ocenić sytuację na zimno. I w „Murze" chciałam to pokazać, spojrzeć z góry na teren przy granicy polsko-białoruskiej i ten bezmiar lasu.

Wychodzę z założenia, że nie ma sensu łapać za kamerę, jeśli nie chce się dać widzom czegoś osobistego. Dzielenie się z nimi sobą sprawia, że są skłonni zastanowić się nad sobą i swoimi wyborami. Zrobiłam ten film, żeby ktoś po jego obejrzeniu pomyślał, po której stronie historii chce się znaleźć. Bo ona nas osądzi, co do tego nie mam wątpliwości.

Twoich bohaterów też?
– Chciałam, żeby byli różnorodni. Jest więc włoska aktywistka, która do pomocy podchodzi racjonalnie, przygotowuje się do tego, wie, że musi w pewnym momencie się odciąć i naładować baterie. Jest Mariusz, który pracuje na budowie, ma troje dzieci i jego obsesją jest ratowanie życia. Jakub, który mówi po arabsku, jest tłumaczem, chciał pomóc i ta pomoc go wciągnęła, ale wie, że to prowadzi do głębokiej traumy. Zosia, która na granicy nigdy nie była i zajmuje się tylko i wyłącznie najgorszym: odbieraniem telefonów od migrantów umierających w lesie i wysyłaniem tam ludzi. Nie śpi, bo wie, że jeśli ona nie odbierze, to nie zrobi tego nikt. I Ewa, która nie chciała pokazać swojej twarzy, mieszka przy granicy, jej salon stał się magazynem. Boi się, jak jej zaangażowanie zostanie odebrane we wsi. Chciałam ich pokazać, bo to z nimi możemy się identyfikować, nie z politykami czy gadającymi głowami z telewizji.

Opowiedziałaś tę historię. Co dalej?
– Moje zainteresowanie tematem nie jest przejściowe, na filmie się nie skończy. Przez dwa lata pracy nad „Murem" zbudowałam więzi, które będą trwały.

Połączyłaś się ze mną na Zoomie z Paryża.
– To miejsce, w którym wciąż czuję lęk, sama świadomość, że tu wciąż może się coś wydarzyć, powoduje traumę. Nasze życie po ataku na World Trade Center się odmieniło, weszliśmy w etap lęku przed terroryzmem. Do tego doszedł lęk przed kryzysem ekonomicznym, który też się wydarzył. Zmagamy się z globalnym ociepleniem, wojną. Nasze dzieci nie mogą już planować przyszłości tak jak my kiedyś. Ludzie migrują całymi rodzinami, to również wzbudza nasz lęk. No i do tego wszyscy jesteśmy straumatyzowani latami pandemii.

Co te lęki zmieniły w tobie?
– Zrozumiałam z czasem, że rzeczywistość wokół mnie jest o wiele ciekawsza niż filmy, historie fikcyjne, które jako aktorka opowiadam na ekranie. Pomału przestawały odzwierciedlać to, co czuję. Przestałam czytać scenariusze i skupiałam moją energię na historiach, które są mi bliskie. Dziś rzeczywistość przekracza fikcję i budzi znacznie większe emocje.

Co w czasie realizacji filmu było dla ciebie najtrudniejsze?
– Świadomość, że nie jestem na tyle silna, żeby przetrwać jako matka i kobieta w sytuacjach, które widziałam. Nie pokazywałam ich na ekranie, postawiłam na bohaterów, z którymi widzowie będą się identyfikować. Wiedziałam, że łatwiej będzie im współodczuwać z aktywistami, trudniej z migrantami. Trudne było też to, co zastałam na granicy polsko-ukraińskiej po wybuchu wojny. Zorganizowaną pomoc jaskrawo różną od tego, co działo się na granicy z Białorusią. Wiedziałam wtedy, że muszę skończyć film, że widziałam już wszystko.

Boisz się, jak „Mur" zostanie odebrany w Polsce? Agnieszka Holland ze swoim filmem „Zielona granica" znalazła się na celowniku prawicy.
– Jako aktorka jestem przyzwyczajona do krytyki. Wycieczek osobistych nie biorę do siebie, bo nie pochodzą od osób, które są dla mnie autorytetami, więc nie mogą mnie urazić. W Polsce sporo się mówi o hejcie, we Włoszech znacznie mniej. Nie zastanawiam się nad tym, czego się boję. Zresztą powiedz mi, czego mam się bać? Co ktokolwiek może mi zrobić i co na tym stracę?

Chciałabyś, żeby twój film obejrzeli polscy politycy?
– Chciałabym, żeby go obejrzeli wszyscy, dlatego zrobiłam z niego historię osobistą. Chcę, żeby ludzie po obejrzeniu „Muru" zaczęli rozmawiać. Kibicuję też bardzo Agnieszce Holland i jej filmowi, bardzo się cieszę, że to ona nakręciła „Zieloną granicę", i nie widzę, prawdę mówiąc, nikogo innego, kto mógł to zrobić. Jestem z niej dumna, dumna z tego, że jej film będzie miał premierę w Wenecji. I że to kobieta podjęła ten temat w Polsce.

Będziesz głosować w wyborach?
– Tak, będę musiała przyjechać do Polski, żeby to zrobić. To mnie niesamowicie wkurza, ale jestem uparta i przyjadę. W ostatnich wyborach nie mogłam spełnić swojego obywatelskiego obowiązku, bo karty do głosowania przyszły do Włoch zbyt późno. Tym razem się nie dam. Ma być policzone. ●

eprasa.pl 1f49962744

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

UTALENTOWANY PAN WIPLER

Stworzył trzecią siłę w polityce, marzy o rządzie. Połowę sukcesu już ma: Kaczyński uznał, że jest bardzo groźny

Dominika Wielowieyska

Przemysław Wipler – znany lobbysta pracujący dla wielkich koncernów polskich i międzynarodowych, były poseł PiS i niedoszła nadzieja tej partii, a dziś szara eminencja Konfederacji i patron nowej politycznej gwiazdy: Sławomira Mentzena – chce wrócić do polityki. Bo polityka to jego żywioł i tak naprawdę nigdy z niej nie odszedł.

Wystartuje z pierwszego miejsca na liście w Toruniu. O Wiplerze w kuluarach mówi się, że chce zostać wicepremierem w rządzie PiS i Konfederacji. I że ma swoją grupę parlamentarzystów z różnych klubów, z którymi blisko kooperuje – z tego powodu Jarosław Kaczyński uznał go za bardzo groźną postać.

Gdy po raz pierwszy wysłaliśmy do Wiplera listę pytań na temat jego działalności lobbingowej i kontaktów politycznych oraz możliwego konfliktu interesów, jego odpowiedź brzmiała: z takimi pytaniami nie ma o czym gadać. Ale po kilku dniach odezwał się Michał Krzymowski, wspólnik Wiplera (a wcześniej związany z „Newsweekiem" jeden z ważniejszych dziennikarzy politycznych), i zaproponował spotkanie. Siedzieliśmy we trójkę w restauracji i jedna rzecz rzucała się w oczy: gdy Wipler kategorycznie bez mrugnięcia okiem zaprzeczał niektórym stwierdzeniom i moim informacjom, w tym samym momencie Krzymowski zaczynał się niespokojnie wiercić. Jakby zdradzał w ten sposób, który temat jest dla lobbystów najbardziej kłopotliwy.

Przemysław Wipler do polityki wszedł przebojem. Na początku kariery był związany z Januszem Korwin-Mikkem, potem od niego odszedł. Postacią rozpoznawalną stał się z chwilą startu w 2011 r. z list PiS. Od razu wzbudził zainteresowanie mediów: mówił prosto i przekonująco, trzymając się retoryki liberalnej.

Typowy republikanin: konserwatywny w polityce i w życiu prywatnym. Ma piątkę dzieci. Wieszczoną imponującą karierę polityczną przerywa awantura z 2013 r., kiedy po imprezie poseł wdaje się w bójkę z policjantami, a potem ląduje w izbie wytrzeźwień. Zrzekł się wtedy immunitetu i trzy lata później został skazany, ale wyrok jest już zatarty. Po tej awanturze próbuje wracać do Korwina, ale wkrótce ostatecznie opuszcza politykę i zajmuje się lobbingiem. Z czasów tej ostatniej próby pozostania w polityce ciągnie się za nim jedna sprawa.

Przeciwko Wiplerowi wciąż toczy się postępowanie sądowe w sprawie przywłaszczenia pieniędzy Fundacji Wolność i Nadzieja. Chodzi o lata 2014-17. Polityk był oskarżony o wydawanie pieniędzy fundacyjnych na SPA, telefony komórkowe i konsole do gier. Pieniądze zwrócił, do winy się nie przyznaje. Gazeta.pl informowała, że 4 lipca miała odbyć się kolejna rozprawa, została jednak odroczona do września.

Na brak pieniędzy Wipler nie narzeka. Prowadzi firmę Five Rand wspólnie z Krzymowskim. Spółka jest zarejestrowana w rejestrze firm lobbingowych. Wipler z wieloma politykami PiS jest na „ty". Krzymowski jest uważany za osobę, która w tej spółce obstawia przede wszystkim opozycję i media, choć nie tylko.

Działalność Wiplera jako lobbysty jest bardzo barwna i warta prześwietlenia. A skoro startuje do Sejmu, to pojawia się pytanie, na ile jego współpraca z konkretnymi klientami będzie miała wpływ na aktywność Konfederacji.

Grupa cwaniaków chciała wyciągnąć z NCBR-u – na dwa, moim zdaniem, bardzo mocno podejrzane wnioski – grube miliony. Były dyrektor NCBR-u im to uniemożliwił. Od blisko 2 miesięcy mamy do czynienia z kampanią oczerniania tej osoby, która uniemożliwia ten w mojej ocenie mocny przekręt" – tłumaczył wiosną Adam Bielan w mediach niedługo po wybuchu afery w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Miał na myśli Pawła Kucha, byłego szefa NCBR, który posadę zawdzięczał właśnie Bielanowi.

Zdaniem szefa Republikanów kluczowa do zrozumienia tego, co działo się w NCBR, jest działalność firmy Five Rand Krzymowskiego i Wiplera, którą określił mianem „rzeźników z Nowogrodzkiej". Według lidera Partii Republikańskiej – od lat jednego z czołowych graczy ze specyficznej dla polskiej prawicy kategorii „niby plankton, a wtajemniczony i wpływowy" – są oni znani z czarnego PR-u i lobbingu.

– Oni mają bardzo bogate portfolio. Z jednej strony uczestniczą w tzw. wojnach tytoniowych po stronie jednego z koncernów, z drugiej strony byli bardzo aktywni w blokowaniu ustawy o notariacie, ich klientem jest poważna firma działająca na rynku pocztowym – wyliczał Bielan. Jego zdaniem są połączeni ze wszystkimi aktorami, którzy się wyświetlają w aferze NCBR. – Od kilku tygodni poprzez znajomych dziennikarzy rozpowszechniają w dużej mierze fałszywe informacje, które mają moim zdaniem skłonić Ministerstwo Funduszy do przepchnięcia środków dla dwóch podejrzanych firm.

Pytany o podsłuchy i stenogramy, które pojawią się wokół sprawy grantów, a które do prokuratury przyniósł (ponoć próbując ratować własną skórę) jego partyjny kolega i były sekretarz stanu w resorcie funduszy i polityki regionalnej Jacek Żalek, odpowiada: – To jest materiał, z którym pan Wipler i Krzymowski latali po mieście i starali się wrzucić do zaprzyjaźnionych z nimi dziennikarzy już od wielu tygodni. Żadnych tego rodzaju taśm nie słyszałem.

Bielan twierdził, że „pan Wipler, który dał się niegdyś sfotografować w koszulce z wymiocinami", nie jest w stanie zadbać o wizerunek jakiejkolwiek firmy. – To znana agencja specjalizująca się w czarnym PR-rze i de facto w lobbingu, bo umówmy się, tak poważne firmy jak InPost, British American Tobacco, Allegro, Abris nie wynajmują pana Wiplera, byłego posła wielu partii, człowieka skazanego za pobicie funkcjonariuszki policji – stwierdził w „Graffiti" Polsat News. – To firma, która wykorzystuje fakt, że rząd ma niewielką większość i rozmawia z wieloma posłami.

eprasa.pl 1f49962744

Innymi słowy Wipler może posługiwać się posłami w różnych sprawach, a władze klubu PiS nie mogą z tym nic zrobić, bo mogłyby stracić większość w Sejmie.

Po tym wywiadzie Bielana koncern BAT kończy współpracę z Five Rand. Z kolei Allegro zapewnia, że z firmą Wiplera nie współpracuje i nie współpracowało.

Afera NCBR miała dwie odsłony: najpierw Radio Zet poinformowało, że 55 mln zł ma dostać 26-latek, który założył działalność po ogłoszeniu naboru do konkursu, z kapitałem w wysokości 5 tysięcy złotych. Z kolei 123 miliony przyznano białostockiej firmie Piotra M., która przynosiła straty już od roku założenia, a Piotr M. to znajomy Żalka. Suma 123 mln zł przekraczała dopuszczalny limit dotacji. Potem „Wyborcza" ujawniła, że z NCBR wyłudzane są pieniądze na „słupy". A obie sprawy łączy ten sam krąg osób pracujących lub współpracujących z tą instytucją. Europejski urząd ds. nadużyć OLAF wszczął śledztwo, bo afera dotyczy unijnych pieniędzy. Wokół sprawy chodzą też polskie służby.

Do dymisji został zmuszony Żalek, który jako wiceminister odpowiadał za NCBR. Był tam oddelegowany przez Bielana jako szefa Republikanów. Jednak panowie się pokłócili: Bielan zarzucał Żalkowi ochronę ludzi odpowiedzialnych za przekręty i łączył frakcję Żalka z Wiplerem, Żalek nie był mu dłużny i zarzucał, że Bielan planował zasilenie ludzi Partii Republikańskiej pieniędzmi z NCBR. Pewne jest, że Żalek odpowiada za promowanie słynnego „kabla, od którego zależy niepodległość Polski" (projekt za 123 mln), choć się od tego odżegnywał. Szymon Jadczak z Wp.pl wrzucił na Twittera fragment przemówienia Żalka na konwencji Republikanów poświęcony temu cudownemu projektowi.

Po występie Bielana w RMF FM Wipler i Krzymowski najpierw napisali list do niego w prześmiewczym tonie w stylu: „Adam, przecież tyle razy bywałeś naszym gościem, jesteśmy na »ty«, dziękujemy za reklamę". Ale zapowiedzieli też pozew. Przygotowują go jednak dopiero po pół roku od słynnego wywiadu europosła. Domagają się przeprosin i sprostowania informacji, że to oni stoją za atakiem na Bielana i inne osoby, które chciały powstrzymać kradzież pieniędzy z NCBR. Właściciele Five Rand żądają w sumie 400 tys. zł zadośćuczynienia.

Wipler i Krzymowski mówią, że biuro poselskie Bielana nie chce odebrać pozwu. Bielan się tylko śmieje: – Długo się zastanawiali nad tym pozwem. Publicznie byli naciskani w tej sprawie i żeby zachować twarz, to w końcu pozew napisali. Nie obawiam się procesu, to będzie dobra okazja, by zadać wiele pytań Przemysławowi Wiplerowi, opinia publiczna dowie się wielu ciekawych rzeczy.

Czy w wojnie o to, kto weźmie odpowiedzialność za aferę NCBR, Wipler kieruje poczynaniami Żalka i zapewnia mu usługi PR?

– Przyjaźnię się z Jackiem Żalkiem od dawna – mówi „Wyborczej" Wipler. – Jest osobą, bez której nie powstałaby frakcja republikańska, i został bardzo skrzywdzony, a PiS zachował się wobec niego wyjątkowo nie fair. Ponieważ uznali, że jedyną osobą, która poniesie konsekwencje za aferę, będzie człowiek, który poszedł z informacjami o wykrytych nieprawidłowościach do prokuratury i do NIK – dodaje. Ale zaprzecza, że zajmuje się PR-em Żalka.

Przed aferą Bielan był w dobrych relacjach z Wiplerem. Problem pojawił się, gdy wybuchła afera NCBR. Bielan przekonał i premiera Mateusza Morawieckiego, i prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, że on z aferą nie miał nic wspólnego, a odpowiedzialność spada na Żalka. Władze PiS uwierzyły Bielanowi, skoro znalazł się on w sztabie wyborczym PiS. A Żalek stracił posadę i jest na marginesie. Tymczasem Wipler jest uważany za osobę, która Żalkiem sterowała w różnych sprawach.

Gdy w 2020 r. Jarosław Gowin torpedował pandemiczne „wybory kopertowe", a potem został wyrzucony z PiS, Bielan otrzymał zadanie od Kaczyńskiego, by odciągnąć od Gowina posłów Porozumienia i uratować większość PiS w Sejmie. Ta operacja po części się udała. Przy Gowinie zostali nieliczni, a Bielan stworzył partię Republikanie, która wchodzi w skład Zjednoczonej Prawicy.

Wipler stwierdził w rozmowie z „Wyborczą", że główną rolę w tej akcji odegrał Żalek. W swoim domu przeprowadził rozmowy z wieloma posłami, przekonując ich do pozostania w PiS.

– Razem z Jackiem Żalkiem uczestniczyłem w rozmowach i konsultacjach, gdy rozpadało się Porozumienie – mówi Wipler. – Partia Gowina rozpadła się dlatego, że chciał on przejść na drugą stronę barykady i obalić rząd. Więcej o swoich planach na ten temat mówił liderom opozycji niż swoim wiceprezesom i członkom władz.

Innymi słowy, lobbysta pomógł obrać Gowina z posłów. A z racji swoich zasług przy budowie Partii Republikańskiej miał dobre relacje z jej członkami.

Lista posłów, którzy składali interpelacje zgodne z poglądami Przemysława Wiplera, jest długa. Opisaliśmy interpelacje i działalność Kamila Bortniczuka, Łukasza Mejzy, Jacka Żalka, Małgorzaty Janowskiej, Włodzimierza Tomaszewskiego. W sprawie papierosów elektronicznych interpelację napisała też Dominika Chorosińska, oprócz tego zajmowała się edukacją domową, tak jak Bortniczuk. A to też należało do sfery zainteresowania Five Rand.

Kluczowa rozgrywka dotyczyła wojny koncernów tytoniowych. Po jednej stronie barykady było m.in. British American Tobacco, po drugiej – najsilniejszy w branży Philip Morris International. Posłowie z prawej strony składali rozmaite poprawki, zbieżne z interesami jednej bądź drugiej strony.

A zaczęło się od tego, że kilka lat temu wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski z Solidarnej Polski w liście do ministra finansów zaproponował wzrost akcyzy na tzw. wyroby nowatorskie, czyli podgrzewacze do tytoniu. Poprawka uderzała w jedną firmę – Philipa Morrisa, który jest liderem rynku podgrzewaczy. Ówczesny klient Wiplera, British American Tobacco, to główny konkurent Morrisa. Romanowski to bliski znajomy Wiplera, był świadkiem na jego ślubie.

Rząd jednak dokonał manewru, który zakłócił plan wiceministra, a mianowicie zaproponował ustawę, która proporcjonalnie uderza w obu graczy.

Nieoficjalnie lobbyści Morrisa komentowali tak: – Ktoś wypowiedział nam wojnę, próbując zwiększyć akcyzę na tytoń podgrzewany, a skończyło się na ustawie, która uderza w nas wszystkich. Sami są sobie winni i teraz próbują zablokować nowe przepisy.

Ale zablokować się nie dało, bo sam Kaczyński zapowiedział, że jeśli ktoś się zatrzaśnie w toalecie w czasie głosowania nad akcyzą, to będą wobec niego wyciągnięte surowe konsekwencje. Tu więc Wipler sukcesu nie odniósł, ale założyciele Five Rand mieli chwalić się w prywatnych rozmowach, że skutecznie pomogli BAT w minimalizowaniu wizerunkowych skutków awarii, która miała miejsce pod koniec zeszłego roku. Po tejże awarii w fabryce British American Tobacco do kanalizacji miejskiej spłynęło kilka tysięcy litrów oleju opałowego. Augustowska prokuratura prowadziła śledztwo.

W 2021 r. po moim tekście o aktywności posłów, którzy przypadkiem mieli identyczne poglądy jak Wipler, w klubie PiS była dyskusja na temat bliskich relacji z lobbystą. Włodzimierz Tomaszewski dopiero teraz przyznał „Wyborczej", a wcześniej władzom partii, że poprawki „tytoniowe" w interesie BAT dostał od Żalka, który mu powiedział, że to poprawki rządowe. Tomaszewski stwierdza dyplomatycznie, że informacja „nie potwierdziła się".

– Żalek był bardzo aktywny w sprawach ważnych dla Five Rand. Miał naciskać na rządową agendę KOWR [Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa], by zmienili brokera ubezpieczeniowego na firmę, która była klientem Five Rand – mówi mój rozmówca. Szefowie KOWR nie odpowiedzieli na nasze pytania. Wipler zaprzecza, aby starał się załatwić cokolwiek w KOWR, mówi, że nikogo tam nie zna.

– Żalek jest uważany za osobę niezbyt poważną, ale użyteczną. Szczególnie dla Wiplera. Wszyscy się trochę z Żalka podśmiewali. Kiedyś – z pomocą Piotra M. – usiłował przekonać władze partii, że polski bank musi wziąć udział w transferze skarbu szacha Iranu i Polska sporo na tym zarobi, był z tym nawet w NBP. Padł ofiarą jakiegoś oszusta. A gdy Kaczyński zaprosił Żalka na Nowogrodzką, żeby mu podziękować za pracę i jakoś rozstać się z nim łagodnie po aferze NCBR, to Żalek wciąż go przekonywał, że projekt z kablem jest wspaniały i że zaraz przyprowadzi ambasadora Brzezinskiego, który prezesowi o tym zaświadczy – słyszę od moich rozmówców.

Po odejściu Żalka z ministerstwa media zostały zalane propozycjami wywiadów z nim, gdzie „ujawniał szokujące informacje" o NCBR, oraz materiałami broniącymi byłego wiceministra, ale przede wszystkim atakującymi Bielana – który uważa, że za tą akcją stoi Wipler. Żalek nie chciał o tym wszystkim porozmawiać z „Wyborczą", choć dzwoniliśmy do niego i wysłaliśmy SMS z prośbą o spotkanie.

Już wcześniej Wipler był na cenzurowanym na Nowogrodzkiej. W 2020 r. Kaczyński forsował tzw. piątkę dla zwierząt. W ustawę, która miała m.in. ograniczyć hodowlę zwierząt futerkowych i niehumanitarny ubój rytualny oraz zakazać trzymania zwierząt na uwięzi, prezes PiS bardzo zaangażował się emocjonalnie, uważał ją za sprawę osobistą – a jednak część klubu się zbuntowała. Na Nowogrodzkiej panowało przekonanie, że buntownikami sterował Wipler, który miał pracować dla firmy futrzarskiej. Była to grupa około 20 osób z posłem Bartłomiejem Wróblewskim na czele. Kaczyński miał zażądać, aby wszyscy podpisali zobowiązania, że nie mają nic wspólnego z Wiplerem.

Zapytałam o to Wróblewskiego. – Nie komentuję sytuacji wewnętrznych. Proszę mnie nie wrzucać do magla. Nic nie potwierdzam i niczemu nie zaprzeczam.

Kaczyński miał mówić współpracownikom, że Wipler jest niebezpieczny i trzeba mieć na niego oko. Służby zaczęły się interesować lobbystą. Pojawiły się informacje, że niedaleko siedziby Five Rand lata dron, który filmuje wszystkich wchodzących lub wychodzących.

– Czy miał pan Pegasusa w swoim smartfonie? – pytam Wiplera.

– Nie odpowiem na to pytanie. Mogę natomiast powiedzieć, że posłowie, którzy się ze mną przyjaźnili, musieli zerwać kontakty ze mną, bo wiedzieli, że to będzie wykorzystane przeciwko nim.

I dodaje: – W przyszłości chciałbym jako poseł zrobić przegląd działań służb: wobec kogo były stosowane techniki operacyjne i czy było to zgodne z prawem. CBA powinno zostać w obecnym kształcie zlikwidowane, trudno nie odnieść wrażenia, że momentami działa jak zorganizowana grupa przestępcza łamiąca prawa obywatelskie. Uważam tak na podstawie docierających do mnie informacji. Mam w tej sprawie informacje również od byłych funkcjonariuszy służb.

Wipler, od chwili gdy znajduje się na czarnej liście Kaczyńskiego, musi obstawiać te rejony Zjednoczonej Prawicy, które są mniej zależne od Nowogrodzkiej. A to Solidarna Polska i właśnie Republikanie oraz sporadycznie posłowie PiS, co do których Nowogrodzka jeszcze się nie zorientowała, że wykazują zbieżność poglądów z Wiplerem.

Z aktywności w mediach społecznościowych lobbysty można domniemywać, że bardzo docenia też firmę InPost Rafała Brzoski. Ale drogi InPostu i Wiplera już się rozeszły, choć Five Rand miał być pomocny w lobbowaniu na rzecz przepisów w prawie budowlanym, umożliwiających stawianie paczkomatów bez żadnych pozwoleń. Wipler rozmawiał o tym z odpowiedzialnym wówczas za budownictwo wiceministrem Arturem Soboniem.

– W ministerstwie oficjalnie przyjąłem Rafała Brzoskę i Przemysława Wiplera. Rynek był zaniepokojony wyrokiem wojewódzkiego sądu administracyjnego w sprawie paczkomatów i innych tego typu obiektów, z którego wynikało, że na ich stawianie trzeba będzie spełniać wymogi na miarę pozwolenia na budowę. To absurd. W nadzorze budowlanym i ministerstwie dostrzegliśmy ten problem i już wcześniej się tym zajęliśmy. Gdy Rafał Brzoska pojawił się w ministerstwie, prace nad przepisami trwały i wizyta obu panów nie miała na to wpływu. I ja ich o tym poinformowałem. Po spotkaniu został złożony formalnie wniosek lobbingowy, który jest dołączony do druku sejmowego nr 121 z roku 2019 – wyjaśnia wiceminister.

– Chce pan powiedzieć, że Wipler przekonał właściciela InPostu, że to on załatwił w rządzie korzystne przepisy, spieniężył swoje zabiegi, ale tak naprawdę ministerstwo przygotowało je samo z siebie?

– To pani interpretacja, w każdym razie, co łatwo sprawdzić, z propozycji legislacyjnych Wiplera nie skorzystaliśmy – wyjaśnia Soboń. Podkreśla, że zdrowy rozsądek nakazywał urzędnikom przygotowanie przepisów, wedle których stawianie takich obiektów nie wymaga pozwolenia na budowę.

Ustawa lobbingowa przewiduje, że „organy władzy publicznej są zobowiązane niezwłocznie udostępniać w Biuletynie Informacji Publicznej informacje o działaniach podejmowanych wobec nich przez

> My chcemy odsunąć PiS od władzy, nie chcemy też dopuścić do powrotu Tuska. Chcemy zmiany pokoleniowej w polskiej polityce. Nie będę spekulował o żadnych wariantach rządowych

eprasa.pl 1f49962744

podmioty wykonujące zawodową działalność lobbingową, wraz ze wskazaniem oczekiwanego przez te podmioty sposobu rozstrzygnięcia".

Do tego ustawa nakazuje, by dokumentować takie „podejmowane kontakty". Ze screenów przesłanych nam przez wiceministra Sobonia wynika, że Wipler zgłosił się oficjalnie jako zainteresowany lobbysta, ale z tych dokumentów nie dowiadujemy się, że doszło do spotkania Sobonia z Wiplerem i Brzoską.

Moi rozmówcy przekonują, że liczne spotkania i zdjęcia Rafała Brzoski z prezydentem Dudą i jego żoną to także efekt zabiegów Wiplera, bo nadal – mimo niechęci Kaczyńskiego – ma on wiele kontaktów w obozie PiS.

Rzecznik InPostu Wojciech Kądziołka napisał: „Przemysław Wipler był jedną z wielu osób i firm, z którymi współpracowaliśmy przy różnych rozwiązaniach. Obecnie nie mamy żadnych relacji biznesowych. Nasza współpraca była transparentna i zgodna z wszelkimi wymogami prawa, w tym w zakresie lobbingu. Co najważniejsze zarówno przed jak i po nowelizacji ustawy prawo budowlane, Paczkomat nie był »budowlą« tzn. nie wymagał pozwolenia na »budowę« ani zgłoszenia, a nowelizacja – która jedynie uściśliła przepisy – nic w tym zakresie nie zmieniła. Ponadto sekwencja zdarzeń, która miała miejsce, jasno wskazuje, iż dopiero po pojawieniu się rzeczonego projektu prowadzony był dialog z organami władzy, co jest kwintesencją prowadzenia procesów legislacyjnych w sposób jawny i przejrzysty".

Kolejna operacja lobbingowa dotyczy ustawy o cyberbezpieczeństwie, która od sześciu lat nie może wejść w życie, oraz aukcji na częstotliwość 5G, która idzie jak po grudzie. Chodzi o to, że chińskie firmy dostarczające sprzęt telekomunikacyjny obawiają się, iż nowa ustawa pozbawi ich dostępu do polskiego rynku. W ich interesie jest, by opóźnić wejście ustawy w życie i samą aukcję. Zależy im, by w czasie aukcji nie stosowano procedur, które przewiduje projekt o cyberbezpieczeństwie. Z kolei minister ds. cyfryzacji Janusz Cieszyński zapewnia w rozmowie z „Wyborczą", że te procedury będą stosowane niezależnie od tego, czy Sejm zdąży przed końcem aukcji uchwalić przepisy. Bo tego wymagają dyrektywy Unii Europejskiej.

Gdy ustawa wejdzie w życie, dostawcy sprzętu i oprogramowania będą mogli zostać poddani procedurze sprawdzającej. Ryzyko dla cyberbezpieczeństwa będzie oceniać rządowe kolegium do spraw cyberbezpieczeństwa, na czele którego stoi premier. Kolegium sprawdzi m.in., czy „dostawca sprzętu lub oprogramowania znajduje się pod wpływem państwa spoza UE" oraz „prawodawstwo tego państwa w zakresie ochrony praw obywatelskich i praw człowieka".

Chiny nie należą do państw gwarantujących stabilne otoczenie prawne zgodne ze standardami demokratycznymi. Pekin wykorzystuje firmy do swojej polityki zagranicznej i wywiadowczej. To istotny element konfliktu pomiędzy USA a Chinami. Amerykanie chcą, by ich sojusznicy trzymali koncerny chińskie na dystans.

Tymczasem na sejmowych stronach można znaleźć mnóstwo ciekawych interpelacji, które świadczą o żywym zainteresowaniu tą sprawą posłów, głównie Konfederacji, choć nie tylko. Przy czym są one wyjątkowo zbieżne z interesami chińskiego lobby. Poseł Jacek Tomczak z PSL napisał interpelację w sprawie aukcji na częstotliwości 5G. Jego zdaniem Urząd Komunikacji Elektronicznej organizuje ją z rażącym naruszeniem prawa. O Tomczaku pisaliśmy już przy okazji identyfikowania grupy o tych samych poglądach co Wipler.

Narodowiec Robert Winnicki z Konfederacji zatytułował interpelację wymownie: „w sprawie budowy infrastruktury sieci 5G i nacisków ze strony USA". W innej zajął się zagrożeniem „przepisami umożliwiającymi delegalizację serwisu TikTok".

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Konfederacja składa mnóstwo interpelacji w obronie chińskich firm, w tym TikToka.
Wipler żywo się interesuje groźbą wykluczenia chińskich graczy, jego wspólnik rozmawia z posłami o ustawie o cyberbezpieczeństwie, a lider Konfederacji Sławomir Mentzen zyskuje niewiarygodne zasięgi na TikToku

Za chwilę okaże się, że zamiast komisji badającej wpływy rosyjskie przydałaby się komisja badająca wpływy chińskie na wynik wyborów w Polsce

Jest też zbiorowa interpelacja w sprawie TikToka z 2020 r. podpisana przez Artura Dziambora, Korwin-Mikkego, Jakuba Kulesze, Winnickiego i Michała Urbaniaka. – To ja pisałem tę interpelację, nie pamiętam, kto mi zasygnalizował tę kwestię, ale żaden lobbysta mi nic nie podpowiadał, tym bardziej Wipler. Ja po prostu uważam, że wyrzucenie TikToka z Polski jest szkodliwe, bardzo lubię to medium społecznościowe – tłumaczy Dziambor.

Aktywny w sprawach chińskich jest też Andrzej Szejna z SLD. Gdy jakiś czas temu pojawiła się nowa wersja projektu o cyberbezpieczeństwie, to właśnie na wniosek Szejny zwołano posiedzenie komisji spraw zagranicznych poświęcone potencjalnym konsekwencjom ustawy. Szejnę interesują też kwestie związane z przemysłem tytoniowym. – Moja znajomość z Michałem Krzymowskim datuje się z czasów, gdy był dziennikarzem, Wiplera znam z czasów studenckich. Ale w tych sprawach z nimi nie współpracowałem – zapewnia poseł.

Ciekawa jest interpelacja Kamila Bortniczuka w sprawie przedłużającej się procedury przetargowej na budowę kolejnych odcinków autostrady A2. Tak się składa, że odcinek Groszki – Gręzów miała budować chińska firma Stecol Corporation. Zapytaliśmy ministra sportu, co go zainspirowało do obrony interesów akurat tej firmy, wysłaliśmy pytania do ministerstwa, ale odpowiedzi nie otrzymaliśmy. Bortniczuk wcześniej występował na naszej liście posłów, których interpelacje są zgodne z poglądami Wiplera.

Jak widać, chińskie firmy mają sporo obrońców w Sejmie. Wipler zapewnia, że dla żadnej nie pracuje. Huawei także zapewnia nas, że z lobbystą nie współpracuje. – Sprawa ma się inaczej. Five Rand nie współpracował z Huawei. Były inne firmy pośredniczące, i to spadło akurat na Krzymowskiego – mówi mi osoba z kręgu Konfederacji.

– Nie mam wątpliwości, że ustawa o cyberbezpieczeństwie interesowała Krzymowskiego, ponieważ rozmawiał o tym ze mną – mówi mój rozmówca. – Rozmawiam z dziesiątkami osób dziennie na różne tematy. Nie jestem w stanie wykluczyć, że kiedyś w którejś z rozmów wątek ustawy o cyberbezpieczeństwie się pojawił, ale nie przypominam sobie w tej chwili żadnej konkretnej dyskusji – odpowiada mi Krzymowski.

– Czy w kręgu twoich zainteresowań zawodowych był projekt ustawy o cyberbezpieczeństwie?

– Tak jak ty nie ujawniasz swoich źródeł, tak ja nie informuję, czym zajmuję się zawodowo. I proszę nie interpretować tego jako potwierdzenia.

Jednocześnie dziennikarz śledczy Radosław Gruca ustalił, że w tle dymisji Żalka pojawiają się też zastrzeżenia służb wobec jednej z osób forsowanych przez niego na stanowisko kierownicze w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Chodzi też o związki z lobby chińskim. Gruca dodaje, że jeśli okaże się, że Wipler lub jego współpracownicy realizowali zadania dla chińskich podmiotów, Żalek może mieć jeszcze większe przykrości, niż mógłby sobie wyobrazić. – Kompletne bzdury – komentuje Wipler.

Jeden z moich informatorów tłumaczy: – Żalek jest uważany za człowieka Wiplera. To on jako minister doprowadził do nominacji pewnej osoby na kierownicze stanowisko w NCBR. Już po fakcie nominacji ABW przysłała info, że nie rekomenduje tej osoby do pełnienia tak wysokiej funkcji, ale bez wyjaśnienia, na czym polegają zastrzeżenia. A mogły być dwojakiego rodzaju: albo ta osoba była podejrzewana o udział w wyciąganiu pieniędzy z NCBR, albo chodziło o to, że współmałżonek pracuje dla chińskich firm. Bielan zażądał od Żalka, aby ją usunąć. W każdym razie osoba ta była w kręgu urzędników, którym po wybuchu afery NCBR służby zajęły telefony i laptopy.

Choć Wipler mówi „Wyborczej", że nie pracuje dla żadnej chińskiej firmy i nie inspirował „chińskich" interpelacji, jego aktywność na Twitterze świadczy, że temat żywo go interesuje. W 2019 r. pisał, że nastąpił ciekawy zwrot akcji, gdy Trump wykreślił Huawei z czarnej listy. „U nas to idzie tak powoli, że nie zdążyli »wyrzucić« Huawei, a wielki brat zdążył się dogadać". Innym razem cytował informację Reutersa, że Niemcy finalizują pracę nad zasadami aukcji na 5G i nie wykluczają Huawei. „Niemcy. Suwerenny kraj. Zobaczymy, co zrobi nasz rząd...".

Dwa lata temu pisał na Twitterze: „Konflikty dyplomatyczne z USA, Niemcami, Rosją, Czechami? Mało! Wojna gospodarcza z Chinami? Wreszcie przeciwnik na miarę polskiego rządu...". Odpowiedziała mu Marzena Paczuska (bliska PiS dziennikarka i menedżerka TVP, obecnie w Poczcie Polskiej i w KRRiTV) screenem artykułu z „The Times": „Huawei »infiltrates« Cambrigde". Wipler nie odpowiedział.

Zainteresowania Wiplera – sądząc po jego wielu wpisach – zazwyczaj koncentrują się na tematach, które dotyczą działalności jego firmy. Janusz Cieszyński powiedział „Wyborczej", że Wiplera zna, zdarzyło się, że rozmawiali, jednak żadna rozmowa nie dotyczyła ustawy o cyberbezpieczeństwie ani innych kwestiach związanych z pracą w ministerstwie. Stwierdził, że prace nad ustawą trwają długo, bo jest wiele sprzecznych interesów. Jego zdaniem stwierdzenia, że ustawa uderza w Chiny, jest nadinterpretacją, a jego intencją nie było wykluczanie z rynku kogokolwiek.

Podsumowując: rząd chińskich firm nie wyklucza, ale pozostawia sobie pole manewru, w razie gdyby okazało się, że jakiś gracz jest przyłapany na realizowaniu zadań, np. szpiegowskich.

– Jedno jest pewne. Chińskie firmy nie oszczędzają na lobbingu. Zatrudniły maksymalną liczbę firm lobbingowych i PR-owych, które mają jakiekolwiek kontakty wśród polityków i dziennikarzy. Oni idą szeroką ławą – mówi jeden z moich rozmówców. – Zresztą wiele spraw nie załatwiają bezpośrednio lobbyści, robią to za pomocą różnych stowarzyszeń i organizacji, aby samych siebie nie eksponować – dodaje inny.

Jeden z dziennikarzy opowiada, że biuro sprzedaży dostało ofertę opublikowania artykułu od jednej z chińskich firm. W artykule nie wymieniano jej nazwy, nie dotyczył też cyberbezpieczeństwa. To był tekst o tym, że kraje, które zdecydowały się na wojnę gospodarczą z Chinami, bardzo na tym straciły. – My odmówiliśmy, ale po kilku dniach widziałem ten artykuł w innym medium.

– Dzwonił ostatnio znajomy, od razu powiedział, dla kogo pracuje, chciał mnie skontaktować z mocodawcami w sprawie ustawy o cyberbezpieczeństwie. Porozmawiałem uprzejmie, odmówiłem spotkania i napisałem notatki do ABW i MSZ – relacjonuje mi osoba z obozu rządzącego.

Wokół aukcji na częstotliwości 5G bywa gorąco. W czerwcu Ministerstwo Cyfryzacji oficjalnie poinformowało o wszczęciu kontroli w Urzędzie Komunikacji Elektronicznej dotyczącej zamówienia publicznego na obsługę prawną aukcji. Dodatkowo zawiadomienie do prokuratury i NIK złożył senator niezależny (niegdyś PO) Stanisław Gawłowski, który przeprowadził kontrolę parlamentarną.

Moi rozmówcy przekonują, że to część kampanii lobby prochińskiego, które chce odwlec aukcję, a senator podjął inicjatywę pod wpływem Krzymowskiego z Five Rand. – Znam Michała Krzymowskiego, ale nie rozmawiałem z nim o tym, moja interwencja nie ma z nim nic wspólnego, była związana z informacją o wykluczeniu kancelarii prof. Chmaja [specjalizująca się w telekomunikacji kancelaria prawna, która startowała w przetargu na obsługę aukcji 5G] i dziwnych kryteriach przy wyborze firmy obsługującej tę aukcję – zapewnia mnie Gawłowski.

Jeden z moich rozmówców przedstawia taką sekwencję zdarzeń: Konfederacja składa mnóstwo interpelacji w obronie chińskich firm, w tym TikToka, Wipler żywo się interesuje groźbą wykluczenia z rynku chińskich graczy, jego wspólnik rozmawia z posłami o ustawie o cyberbezpieczeństwie, a podopieczny Wiplera i jeden z liderów Konfederacji Sławomir Mentzen, osoba mało znana, zyskuje nagle niewiarygodne zasięgi właśnie na TikToku. – Oczywiście gdyby Menzten nie podobał się odbiorcom,

eprasa.pl 1f49962744

to nie osiągnąłby sukcesu. Ale ten algorytm na TikToku bardzo mu sprzyjał. Ale może to przypadek.

Za chwilę okaże się, że zamiast komisji badającej wpływy rosyjskie przydałaby się komisja badająca wpływy chińskie na wynik wyborów w Polsce. Zastanawiające jest też to, że od sześciu lat rząd PiS nie może uchwalić ustawy o cyberbezpieczeństwie, a aukcja na 5G się ślimaczy. Dodajmy, że Komisja Europejska właśnie upomniała Ministerstwo Cyfryzacji, że resort nie powiadomił jej ani krajów członkowskich o wdrażanych przepisach o cyberbezpieczeństwie.

Można domniemywać, że zbieżność zainteresowań posłów z tym, co głosi Wipler, jest przypadkowa. Ale sejmowe praktyki skłaniają do konkluzji, że przydałaby się nowelizacja ustawy lobbingowej. Zarówno poseł, senator, jak i urzędnik powinni informować publicznie o tym, że na fakt złożenia danej poprawki lub interpelacji miały wpływ kontakt czy pomoc konkretnej grupy lobbingowej. Lobbing to niezbędny element demokracji, każda branża ma prawo bronić swoich interesów, ale ważne, aby działania były jawne i przejrzyste.

Odkąd na scenę wkroczył Sławomir Mentzen, zajmując stanowisko lidera, które okupował do tej pory Korwin-Mikke, Wipler bardzo się uaktywnił. Jest uważany za osobę, która steruje karierą Mentzena, szefa partii Nowa Nadzieja (to obecna nazwa partii KORWiN), która stanowi obok narodowców część Konfederacji. Mentzen wylewnie dziękował Wiplerowi za pomoc po objęciu stanowiska.

Kilka tygodni temu Mentzen ogłosił, że Wipler wraca do polityki i wystartuje w Toruniu zamiast brata Mentzena, któremu prokuratura zarzuca udział w grupie przestępczej. Chodzi o nielegalną działalność hazardową i unikanie podatków.

A Wipler rozpoczął tour po mediach, w których jest przedstawiany jako jeden z liderów Konfederacji. To budzi złość w partii. On sam się już zorientował, że za bardzo się rozpycha, dlatego w Polsacie zaczął hamować dziennikarza: – Nie jestem jednym z liderów Konfederacji, jestem liderem toruńskiej listy.

Niemniej wiele osób – szczególnie we frakcji narodowców – jest złych, że Wipler przyszedł na gotowe i zaczyna zarządzać partią. W czasie tego samego występu w Polsacie Wipler starł się z Ryszardem Petru. Ekonomista oraz twórca i były szef Nowoczesnej – a obecnie kandydat Trzeciej Drogi na posła – przypomniał mu jego działalność lobbystyczną i bliską współpracę z PiS oraz dorzucił stary cytat z Wiplera, który zarzekał się, że do polityki nie wraca. Punktował, że Konfederacja dziś twierdzi, że nie zrobi rządu z PiS, ale jej liderzy mówili różne rzeczy, a potem robili coś odwrotnego.

Wiplera to zirytowało, bo uważa, że sklejanie Konfederacji z PiS nie służy jego ugrupowaniu i w kampanii trzeba przekonać wyborców, że konfederaci nie planują koalicji ani z PiS, ani z Koalicją Obywatelską. W kuluarach mówi się jednak, że Wipler spotkał się potajemnie z premierem Morawieckim. Lobbysta temu kategorycznie zaprzecza. Dla konfederatów fatalną wiadomością było ujawnienie maili ze skrzynki ministra Michała Dworczyka, zaufanego Morawieckiego, z których wynikało, że Dworczyk dogadywał się z narodowcami w różnych sprawach i relacje między tymi dwoma formacjami są bliskie. Politycy kolegują się, choć oficjalnie krytykują się nawzajem.

Przemysław Wipler ma nadal firmę lobbingową. Dziś nie do końca było wiadomo, czy jest lobbystą, czy politykiem, czy też jednym i drugim. A może wybiera politykę, a Michał Krzymowski w porozumieniu z nim nadal będzie zarabiał na lobbingu. – Jeśli zostanę posłem, to zrezygnuję z udziałów w firmie – deklaruje lobbysta.

W maju Wipler założył Fundację Dobry Rząd. Członkami, prócz niego, są dr prawa Jarosław Szczepański i Maciej Żukowski, były urzędnik resortu finansów, dziś menedżer w PKO BP. Wipler powiedział, że przewodniczącym rady programowej fundacji jest Mentzen. Pytanie jednak, czy przypadkiem firmy współpracujące z Five Rand nie są proszone o wpłacanie pieniędzy na rzecz fundacji. W ten sposób stałaby się ona wehikułem do finansowania kampanii Wiplera czy Konfederacji. Nie wiemy, czy nie dochodzi do konfliktu interesów, bo gdy Wipler znajdzie się w Sejmie, będzie miał przemożny wpływ na politykę Konfederacji – bo poseł powinien być arbitrem w rozstrzyganiu konfliktów pomiędzy różnymi grupami interesu, a nie reprezentantem jednej z nich, czerpiącym z tego korzyści finansowe. – Fundacja Dobry Rząd ma tylko dwóch sponsorów: mnie i drugiego założyciela. Nikt inny nie wpłacił pieniędzy na jej konto – zapewnia Wipler.

W wywiadach lobbysta nie stroni od tematów, które są istotne dla niego i jego klientów. Już po ogłoszeniu startu w Radiu Wnet wiele mówił o odnawialnych źródłach energii i wiatrakach. Atakował PiS za to, że zablokował ich rozwój. Ale wiatraki i tzw.

Siedzieliśmy we trójkę w restauracji i jedna rzecz rzucała się w oczy: gdy Wipler bez mrugnięcia okiem zaprzeczał niektórym moim informacjom, w tym samym momencie Krzymowski zaczynał się niespokojnie wiercić

ustawa odległościowa to ważny dla Wiplera temat nie ze względu na interes publiczny. Wipler zainwestował swoje pieniądze w ten biznes. A konkretnie w firmę Figene, która mieści się w tym samym budynku co agencja Wiplera i Krzymowskiego. Robert Koński, wiceprezes zarządu Figene, figuruje na stronie Five Rand jako partner tej firmy. Z naszych informacji wynika, że Wipler chwali się, że to był doskonały interes i akcje spółki wystrzeliły od czasu, gdy je kupił.

Lobbysta pytany o Figene nie chce ujawnić, w jakich spółkach ma udziały. – Gdy zostanę posłem, to wtedy zgodnie z prawem opublikuję oświadczenie majątkowe. Dziś nie jestem zobligowany przepisami, by ujawniać takie dane.

Wipler mówił też we Wnet o problemie e-commerce. Pytanie, skąd jego zainteresowanie tematem handlu w sieci. Bielan twierdził, że klientem lobbystów jest Allegro, Allegro zaprzecza. Ale symptomatyczne jest to, że Wipler piętnuje przepisy korzystne dla konkurentów Allegro.

– Nie mówimy o tym, kto jest lub nie jest naszym klientem ani jakie działania podjęliśmy na jego rzecz, bo obowiązuje nas zasada poufności zawarta w umowach. Gdy zostanę posłem, przestanę prowadzić działalność gospodarczą. Oddzielam sprawy publiczne od lobbingu – deklaruje.

– Moi rozmówcy twierdzą, że pańskim celem jest objęcie stanowiska wicepremiera w rządzie PiS–Konfederacja.

– My chcemy wywrócić stolik. Chcemy odsunąć PiS od władzy, nie chcemy też dopuścić do powrotu Tuska. Chcemy zmiany pokoleniowej w polskiej polityce i utrwalenia podziału na linii Konfederacja kontra reszta klasy politycznej. Nie będę spekulował o żadnych wariantach rządowych. ●

Kim są konfederaci, „kuce Korwina" i sieroty po wszechpolakach? Książka Marcina Kąckiego **„Chłopcy. Idą po Polskę"**, wyd. Znak. Literanova, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

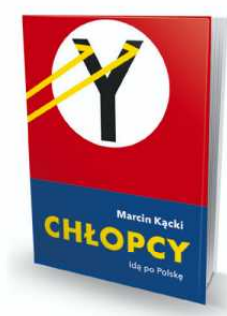

Kto komu wymierza policzki

Na wakacjach we Francji myślałam o polskiej Lewicy i o Romanie Giertychu.

Magdalena Czyż

Gdy byłam na wakacjach we Francji, usłyszałam ładną historię o pewnym mniej znanym pisarzu francuskim, który – młody i niedoświadczony – zadebiutował w 1942 roku w pewnym kolaborującym z hitlerowcami piśmie.

Gdy się zorientował, do kogo przystał, odszedł z redakcji. Niedługo po tym spotkał się z pewnym bardzo znanym francuskim pisarzem związanym z ruchem komunistycznym. Ów powiedział znamienne słowa: „Nieważne, skąd przychodzisz, ważne, dokąd zmierzasz". Młody pisarz związał się po tym spotkaniu z komunistami. Gdy w '56 ruskie tanki wjechały do Budapesztu, młody pisarz jednoznacznie odciął się od komunistów. Stary pisarz równie jednoznacznie i bardzo ostro go zaatakował, wypominając debiut w profaszystowskiej redakcji i uzasadniając obecność ruskich tanków w Budapeszcie. Młodszy odpowiedział mu: „Nieważne, skąd przychodzisz, ważne, dokąd zmierzasz".

Słuchając tej historii, myślałam o drodze polskiej Lewicy i o Romanie Giertychu oraz jego intelektualnej i politycznej drodze. Nie musiał na nią wchodzić. Miał już zapewnione miejsce w panteonie prawicy polskiej. A jednak dokonał rewizji swojego myślenia na temat Kościoła i dokonuje rewizji swojego myślenia politycznego. Nie wiem, dokąd go ta droga doprowadzi, czy się na niej nie zatrzyma lub nie skręci w jakąś niebezpieczną ścieżkę. On też tego nie wie, bo nikt, kto odważa się na rewizję swojego myślenia, tego nie wie.

Polki już mogą zacząć ćwiczyć ściąganie majtek, kucanie i kasłanie. Bo to im właśnie nasza Lewica zamierza zafundować

Wiem natomiast, na jaką ścieżkę skręciła Lewica w Polsce po tym, jak przeczytałam wypowiedzi jej liderów o starcie Giertycha z listy KO.

„Więc gratuluję wszystkim koleżankom i kolegom z PO i KO, którzy od kilku lat próbowali zmieniać twarz tej partii, deklarując, że jest bardziej postępowa, europejska, światowa. W polityce warto dotrzymywać słowa. Ja wiem jedno: w świętokrzyskim mamy świetnego kandydata Andrzeja Szejnę z Lewicy i to będzie człowiek, który będzie punktował Romana Giertycha" – zadeklarował Krzysztof Śmiszek na antenie Radia ZET.

Czyli Lewica na ostatniej prostej kampanii zamierza atakować Giertycha z KO, który dostał miejsce w Świętokrzyskiem od Tuska po to, aby atakował Kaczyńskiego. Ciekawe, czy po tej wypowiedzi Śmiszka ktoś będzie miał jeszcze wątpliwości, która partia chce odsunąć PiS od władzy. A która PiS w tej kampanii zamierza pomagać.

Dalej: „To przede wszystkim policzek dla kobiet i mniejszości" – oświadczyła Martyna Jałoszyńska z Lewicy.

Nie słyszałam, żeby Jałoszyńska się choćby zająknęła, gdy Czarzasty mówił do Gabrieli Morawskiej-Staneckiej, iż ją odstrzeli za to, że ta ośmiela się wypowiadać w mediach bez jego zgody. To nie był policzek dla kobiet?

O Macieju Gduli, który „odczuwa dysonans" w związku z obecnością Giertycha na liście KO i ten dysonans wyraża na antenie pisowskiego radia PR24, nie chce mi się już nawet pisać.

Jeśli Lewica tak zamierza ustawiać kampanię, to po wyborach wszyscy będziemy mogli zapomnieć o związkach partnerskich, małżeństwach jednopłciowych, prawach osób LGBT, a kobiety w Polsce już mogą zacząć ćwiczyć ściąganie majtek, kucanie i kasłanie. Bo to im właśnie nasza Lewica zamierza zafundować. ●

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 1f49962744

Ostatnia bitwa pana od historii

KANDYDUJĘ Z POWODÓW MORALNYCH

Sensacja XXI wieku: Bogusław Wołoszański startuje do Sejmu. „Polska jest jak roślinka, o którą trzeba dbać".

Piotr Głuchowski

Rynek w Piotrkowie Trybunalskim, 22 sierpnia br., godzina 13. Trzydzieści osiem stopni w słońcu, żadnego drzewa, nawet krzaka, który mógłby dać cień. Na spotkanie z sejmowymi kandydatami Koalicji Obywatelskiej startującymi z okręgu nr 10 (Piotrków, Skierniewice, Tomaszów) przyszło troje mieszkańców.

Reszta to ubrani na biało i ozdobieni wlepkami serduszkami działacze i kandydaci Platformy z posłem Cezarym Grabarczykiem i Bogusławem Wołoszańskim na czele. Plus szóstka dziennikarzy, w tym ja.

Konferencję zaczyna Grabarczyk: Telewizja Polska zdjęła z anteny program „Sensacje XX wieku". Bo się boją naszego kandydata. Chcieliby go wymazać! Ale my się nie damy: października piętnastego pogonimy Kaczyńskiego!!

– Pogonimy!!!

Działacze biją brawo, przechodząca ukosem przez rynek kobieta rzuca w ich kierunku: „Darmozjady!".

Do mikrofonu podchodzi Wołoszański.

– Długo nie przyjeżdżałem do Piotrkowa, bo nie chciałem się smucić, widząc upadek mego rodzinnego miasta, patrząc na te wszystkie obdrapane budynki…

Kamienice w rynku nadal wołają o remont, jedna nawet straszy zabitymi kartonem oknami, ale teraz redaktor jest gotów przyjeżdżać: – Jeżeli zostanę wybrany, będę tu co tydzień, żeby was wysłuchać, żeby razem myśleć, co możemy dla Piotrkowa zrobić, jak wyrwać ten region z rąk PiS…

Prezydentem 70-tysięcznego miasta jest Krzysztof Chojniak z partii rządzącej, która ma pakiet kontrolny w radzie miejskiej, a jej listę sejmową w okręgu nr 10 otwiera Antoni Macierewicz. W ostatnich wyborach dostał tu ponad 31 tys. głosów, Grabarczyk – 16 tysięcy. Gdy w połowie sierpnia Donald Tusk obwieszczał wyborczy start Wołoszańskiego, mówił, że nadchodzi „wielki i historyczny pojedynek".

– Zadaniem pana Bogusława będzie zdekonspirowanie lidera tej listy, z którą my walczymy, czyli Macierewicza!

Na razie prorządowe media dekonspirują kandydata KO. Tygodnik „Sieci" z 21 sierpnia poświęcił mu okładkę z tytułem „Tajemnice Wołoszańskiego". W podtytule pytanie: „Czy zdoła uciec przed własną historią?".

Prezentacja kandydatów się kończy, jeszcze dwie osoby proszą o autograf, a trzecia – o wspólne zdjęcie. Podchodzę do redaktora z prośbą o rozmowę. Ten, tradycyjnie przygarbiony i spocony tak samo jak wszyscy, pyta ściszonym głosem, czy zamierzam „obrzucić go gównem".

Tego nie planuję, ale od tematu współpracy telewizyjnej gwiazdy z wywiadem PRL uciec już nie sposób.

Gdy w styczniu 2007 zastępca dyrektora Biura Lustracyjnego IPN historyk Piotr Gontarczyk ujawnił w kierowanej przez Pawła Lisickiego „Rzeczpospolitej", że Wołoszański był w latach 80. kontaktem operacyjnym SB (jedna z najniższych kategorii współpracy), znajomi dziennikarza przeżyli szok.

– Ktoś sobie nawet żartował, że ja sam, będąc bliskim współpracownikiem tajnego współpracownika, powinienem się wytłumaczyć – wspomina Maciej Zakrocki, reżyser, scenarzysta i dziennikarz TOK FM, który przez dekadę współtworzył z Wołoszańskim „Sensacje XX wieku". – W styczniu dwa siedem prezesem telewizji był Bronisław Wildstein, więc tego typu żarty miały swoje ostrze. Szybko się jednak ukazał, już nie pamiętam gdzie, wywiad z Jerzym Dziewulskim…

– …inspektorem policji, a wcześniej milicyjnym majorem i dowódcą jednostki antyterrorystycznej na Okęciu…

– …który wytłumaczył, że w latach 80. każdy, kto legalnie wyjeżdżał do pracy na Zachód, a Wołoszański wyjechał w 1985 jako korespondent TVP do Londynu, musiał coś podpisać. Na przykład zobowiązać się, że będzie informował o próbach nawiązania z nim kontaktu przez „wrogie ośrodki". Sam Bogusław niczemu nie zaprzeczał, podkreślał tylko, że nie współpracował z tą częścią esbecji, która zwalczała opozycję, Kościół. Sprawa szybko przyschła.

I pozostała zaschnięta przez 16 lat – do chwili, gdy Tusk ogłosił start 73-letniego dziennikarza z pierwszego miejsca w miasteczku, w którym ten przyszedł na świat jako drugie dziecko Mariana i Ireny z domu Malinowskiej.

Ojciec Wołoszańskiego był żołnierzem września. Jako dowódca plutonu przeciwpancernego 25. Pułku Piechoty brał udział w walkach pod Częstochową. Po kapitulacji złożył przysięgę AK, działał pod pseudonimem „Orzeł". Po wojnie został nauczycielem i dyrektorem internatu I LO imienia Bolesława Chrobrego w Piotrkowie.

Bogusław był w Chrobrym uczniem piątkowym. Chciał zostać marynarzem. Rozmawiając ze mną, określa to jako „młodzieńcze marzenia", które zostały rozwiane przez przypadkowe spotkanie w pociągu z kapitanem żeglugi. Był już wtedy wysoki na przeszło metr dziewięćdziesiąt, a kapitan wyjaśnił, że do marynarki nie przyjmują kandydatów powyżej 184 cm. Bo to i sprawa miejsca na okręcie, i długości koi, i rozmiaru munduru, kombinezonu ratowniczego i tak dalej. Wołoszański sam się o tym zresztą po latach przekonał, kiedy kręcił program na pokładzie ORP „Orzeł" i wciąż o coś zahaczał głową.

Zamiast do marynarki dostał się więc na prawo. Studiował cztery lata na Uniwersytecie Warszawskim, był seminarzystą – podobnie jak Jarosław Kaczyński – legendarnego prof. Stanisława Ehrlicha, magisterkę obronił w 1971 r.

– W tamtym czasie obowiązywał nakaz pracy – tłumaczył w Radiu dla Ciebie w grudniu 2020 r. – Na uczelni pojawiał się pełnomocnik do spraw zatrudnienia, który wskazywał absolwentowi miejsce, gdzie trzeba było przez dwa lata odpracowywać studia. W moim przypadku był to Wieluń i tamtejsza Rada Narodowa, co mi się nie uśmiechało. Jedynym sposobem uniknięcia nakazu było podjęcie kolejnych studiów, a dziennikarskie podyplomowe trwały akurat dwa lata, więc w sam raz. Zawsze interesował mnie obraz, telewizja… Tak się to zaczęło.

Po obronie drugiego dyplomu – w Instytucie Dziennikarstwa UW – został współprowadzącym w muzyczno-sportowo-popularnonaukowym programie „Telewizyjny Ekran Młodych", z którego później wykluło się pod okiem Mariusza Waltera słynne, wzorowane na zachodnich telewizjach Studio 2, gdzie emitowano takie megahity jak „Właśnie leci kabarecik", „Świadkowie", „Planeta małp" i „Kosmos 1999".

Na antenie TEM prowadzącą – obok Wołoszańskiego – była m.in. Elżbieta Latawiec, dzisiaj Jaworowicz; współpracowali: Janusz Weiss, Bożena Walter, Roma Buharowska. 22-letni Bogusław zaprzyjaźnił się z najważniejszymi osobami w ówczesnej TVP. Gdy w 1972 r. audycję zawieszono (podobno niedostatecznie promowała socjalistyczny model życia), bez trudu znalazł etat w redakcji międzynarodowej. Budynek przy Woronicza będzie jego miejscem pracy do 2005 r.

W 1979 r. rozpoczął studia reżyserskie na wydziale radiowo-telewizyjnym Uniwersytetu Śląskiego. Zrezygnował – jak podaje w oficjalnym biogramie – „ze względu na sytuację rodzinną". Wcześniej, bo 15 czerwca 1976, na urodzinach siostry Jolanty zapałał nagłym uczuciem do znanej mu już wcześniej – ale tylko służbowo – starszej o cztery lata koleżanki z gmachu TVP: Hanny Lilianny Bajer. Jak wyznał po latach magazynowi „Gala", urzekły go jej długie, rozpuszczone blond włosy, które wcześniej – w biurowcu telewizji – upinała w kok.

> W latach 80. każdy, kto legalnie wyjeżdżał do pracy na Zachód, a Wołoszański wyjechał w 1985 jako korespondent TVP do Londynu, musiał coś podpisać

Małżonkowie gnieździli się najpierw w 27-metrowej kawalerce na osiedlu Za Żelazną Bramą, potem Hanna „dostała" wyczekane mieszkanie na Ursynowie. Obraz jak z komedii „Alternatywy 4": nieotynko-

eprasa.pl 1f49962744

FOT. PAWEŁ KOZIOŁ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wany blok tonący latem w piachu, zimą w błocie, a pod nim duma Wołoszańskich: własny mały fiat. Dzisiaj kandydat na posła wozi się lexusem (poprzedni wóz: Porsche Cayenne).

W roku 1979 przyszedł na świat pierworodny Bogusława i Hanny – Michałek. Trzy lata później córka – dostała imię po mamie. Tymczasem tata otrzymał stanowisko zastępcy szefa Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych. Wówczas przygotował serię telewizyjnych audycji „Punkt krytyczny". Temat: wyścig zbrojeń.

– Pokazywał te wszystkie pershingi i cruise'y, które trafiały w muchę z czterystu kilometrów – wspomina Maciej Zakrocki. – Prezentował też uzbrojenie sowieckie. Nie wciskał propagandy, mówił raczej o faktach. Ludzie chętnie go oglądali.

Oglądał również nieżyjący już Jerzy Putrament, jeden z naczelnych propagandystów PRL i członek Komitetu Centralnego PZPR. Jak pisze w „Sieciach" Gontarczyk, to on zamówił u Wołoszańskiego felieton na temat „militarystycznej polityki Ronalda Reagana", czyli ówczesnego prezydenta USA. Materiał o amerykańskich planach zwycięstwa w gwiezdnych wojnach nad Imperium Zła spodobał się tak bardzo, że został przekazany do Głównego Zarządu Politycznego Ludowego Wojska Polskiego, gdzie miano na jego podstawie nakręcić film szkoleniowy. Z tekstem zapoznał się osobiście Wojciech Jaruzelski – pochwalił Wołoszańskiego i to, jak utrzymuje Gontarczyk, otworzyło dziennikarzowi wrota do kariery. Został wytypowany na stanowisko korespondenta TVP w Londynie.

Legalna praca na Zachodzie i przysługujące w związku z tym dewizowe diety (w przypadku Wołoszańskiego 400 funtów na miesiąc) to było marzenie prawie każdego Polaka. Pensja szefa redakcji oświatowej wynosiła mniej niż 400 funtów rocznie.

Gdy szczęśliwy redaktor miał już wszystkie zgody i paszport, dostał od SB zaproszenie na „prywatną rozmowę" w restauracji Budapest przy ul. Marszałkowskiej 21/25. Dzisiaj mieści się tutaj oddział IPN.

Czekający nań esbek zaczął standardowo od tego, że plusy Zachodu nie powinny przesłaniać korespondentowi minusów kapitalizmu, ostrzegał przed możliwością werbunku ze strony imperialistycznych agentur, wreszcie zaproponował nawiązanie współpracy – na co dziennikarz przystał i przyjął pseudonim „Ben".

– Dlaczego się pan zgodził? – pytam.

Redaktor długo milczy, a potem stwierdza, iż w ostatnich dniach przeczytał o sobie tyle bzdur i głupot, że więcej nie będzie mówić. Niech wszystkim wystarczy, że był „w porządku wobec własnego sumienia, że nie zdradził kraju ani żadnego z kolegów".

– Tylko że w tym samym 1985 roku wstąpił pan do PZPR. Rok po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki, czyli w czasie, gdy nikt już nie miał złudzeń co do istoty systemu. Też pan nie powie dlaczego?

Wołoszański zaczyna coś mówić na temat peerelowskiego MSW i natychmiast przerywa. Nie chce dokończyć wątku. Czuję, że najchętniej zakończyłby rozmowę. Strona IPN informuje: „Członków PZPR zasadniczo nie wolno było werbować jako Tajnych Współpracowników bez zgody właściwego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego lub nawet Centralnego. Współpraca z takimi osobami nawiązywana była w [luźniejszej] formie Kontaktu Operacyjnego, Kontaktu Służbowego lub konsultanta". Może więc legitymacja partyjna miała dać redaktorowi korzystniejszą pozycję w relacjach z bezpieką? A może jej przyjęcie było ceną za wyjazd na Zachód? A może to tylko konformizm? Wiemy tyle, że 5 grudnia 1985 o godzinie 7.40 świeżo zarejestrowany kontakt Departamentu I MSW kryptonim „Ben" odleciał – z żoną i dwójką dzieci – z Okęcia do Londynu. Był już wówczas w trakcie pracy nad telewizyjnym cyklem historycznym, który mu przyniesie sławę i pieniądze.

Poznałem go w 1984, gdy Bogusław szukał człowieka do pomocy, a ja szukałem miejsca, gdzie mógłbym odbyć praktykę jako student dziennikarstwa – wspomina Maciej Zakrocki. – Miałem 24 lata i byłem ciekawy wszystkiego: montażu, budowania dramaturgii programu... On był o 10 lat starszy i stał się moim mistrzem. Nauczył mnie solidności, dokładności, poświęcania się pracy.

– Jako członek partii był mocno „czerwony"?

– Zdziwi się pan, ale myśmy o polityce w ogóle nie rozmawiali. Nas nie interesowała wtedy walka z reżimem Jaruzela, tylko walka Wielkiej Brytanii z Hitlerem. Konwoje przez Atlantyk... Byliśmy obaj zakręceni pracą, szukaniem tematów, załatwianiem setek drobiazgów; przeszkodami, które trzeba pokonać, by program stał się faktem.

– Od czego zaczęliście?

– Opisał mi nowy pomysł, czyli to, co się przerodziło w „Sensacje XX wieku". Ministerstwo Obrony Narodowej wydawało wówczas dwie wielkonakładowe serie Żółtego Tygrysa i właśnie Sensacje. To były jeszcze czasy, że nikt się nie przejmował prawami do tytułu. Bogusław chciał robić programy historyczne tak, jak David Attenborough robił przyrodnicze. Jeździć na miejsca akcji, rekonstruować wydarzenia w studiu. Tylko trzeba pamiętać, że to był PRL. Nie było nawet faksu. Gdy mu się trafiła możliwość wyjazdu do Hanoweru z ekipą operatorską, zaczęliśmy myśleć: co tam można skręcić? Szukałem informacji w czytelni wycinków prasowych Polskiego Radia. Przepisywałem je ręcznie, bo ksero też nie istniało. Znalazłem informację o grupie Baader-Meinhof, konkretnie o podpaleniu hanowerskiego domu handlowego. Więc zaczęliśmy od historii RAF.

Lewacka Rote Armee Fraktion była finansowaną przez Moskwę bojówką terrorystyczną, która zabijała ludzi i wysadzała domy. W 1977 r. porwali, torturowali i w końcu zamordowali prezydenta niemieckiego związku pracodawców. Siedem lat później Hanns Martin Schleyer stał się – obok Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof – bohaterem pierwszego z przeszło tysiąca odcinków „Sensacji XX wieku". Oczywiście na temat moskiewskiej inspiracji lewackiego terroru w Republice Federalnej Niemiec nie padło ani słowo.

– Pomiędzy 1984 a 1985 rokiem byłem researcherem, chociaż wtedy nie znałem tego słowa – mówi dalej Zakrocki. – Pisałem dokumentację do poszczególnych odcinków. Momentem, który zmienił moją rolę w cyklu, był wylot Bogusława do Londynu. Z jednej strony pojawiła się możliwość nagrywania scen choćby w sypialni Churchilla czy w Gabinecie Wojennym rządu Wielkiej Brytanii... Z drugiej strony cała praca w kraju, czyli tak zwana postprodukcja, była na moich barkach. „Sensacje" chodziły dwa razy w miesiącu, latałem do Londynu co kilka tygodni, gotowe materiały przewoziłem na kasetach VHS, bo przecież nie można było tego niczym innym przesłać. Nie było internetu. Bogusław mieszkał z rodziną w bardzo fajnym miejscu, opodal Regent's Park i ogrodu zoologicznego, palił wtedy rothmansy i pachniał Zachodem. Miał niewielki budżet w dewizach, do tego oszczędzaliśmy praktycznie na wszystkim. Gdy nie było nas stać na operatora, sam chwytałem kamerę. Z roku na rok byliśmy z Bogusławem coraz bardziej równorzędnymi partnerami i w końcu zaproponował mi współautorstwo cyklu.

– Jakim był szefem?

– Dobrym. Programy robiliśmy porządnie. On powtarzał: robimy dla kolegów, z którymi rywalizujemy. Dla widzów też, ale widza najłatwiej kupić. A koledzy znają się na robocie i kiedy oni pochwalą – możesz czuć się dumny. „Sensacje" były hitem, miliony je oglądały, a to oznaczało, że – jak powtarzał Bogusław – trzeba się starać bardziej. Uważał, i słusznie, że cały zespół programu: scenografka, operatorzy kamer, montażysta – wszyscy winni pracować na niego jako na lidera. Bywał apodyktyczny, lecz rozumieliśmy, że dzięki jego sukcesowi my też mamy sukces. W sumie to był chyba najbardziej fascynujący okres w mo-

Powtarzał: robimy dla kolegów. Widza najłatwiej kupić, a koledzy znają się na robocie i kiedy oni pochwalą – możesz czuć się dumny.
Trafiłem w dobre ręce i odebrałem starą szkołę fachu

eprasa.pl 1f49962744

im dziennikarskim życiu. Kręciliśmy „Sensacje" w całej Europie, a nawet w Japonii.

Stworzyliśmy najpopularniejszy program w dziejach TVP. Mogę powiedzieć: trafiłem w dobre ręce i odebrałem starą szkołę fachu. Bogusław nawet charakter pisma ma nieskazitelny. A ja samego siebie ledwo rozczytuję. Pisałem więc konspekty odcinków na maszynie, a gdy się pomyliłem, wyrzucałem kartkę, by pisać od nowa. Nie mogło być skreśleń – to już by był nieporządek, czyli coś, czego Wołoszański nie akceptował.

Staranny charakter pisma londyńskiego korespondenta TVP można dziś podziwiać w jego IPN-owskiej teczce, w której znajduje się m.in. wykaligrafowany raport o brytyjskiej recepcji odbytego w 1986 roku X Zjazdu PZPR. Jakkolwiek komicznie to brzmi, kontakt operacyjny „Ben" donosił z powagą, iż w angielskiej prasie „zwracano uwagę na to, że Polska stoi przed dalszą modernizacją gospodarki, a zwłaszcza systemu zarządzania, podkreślano przy tym, że reforma gospodarcza ma wielu przeciwników w łonie władz (...). Powtarzały się próby zdyskredytowania wpływu Partii i zaufania społeczeństwa do organizacji partyjnych. Był to bardzo często powtarzany motyw w korespondencjach Rogera Boyesa (The Times). Podsumowując: X Zjazd zaskoczył brytyjskich komentatorów i polityków. Próby przesterowania całej propagandy na sprawy Solidarności nie udały się [choć niestety] w dniu otwarcia obrad The Times wydrukował pierwszą część książki R. Boyesa o Popiełuszce".

Jak widać, kontakt wiedział tyle, ile przeczytał w brytyjskich gazetach. Mimo to SB próbowała go zadaniować ambitnie: z zachowanych w teczce dokumentów wynika, że miał infiltrować Londyńską Szkołę Ekonomii i Nauk Politycznych, Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych i tego typu instytucje. Nic z tego nie wyszło. Obsługujący „Bena" rezydent wywiadu PRL Zbigniew Bako ps. „Brig" meldował centrali, że „źródło unika kontaktów", co prawdopodobnie wynika z braku szpiegowskiego urobku: „wydaje się, że realia brytyjskie przekraczają możliwości [wywiadowcze] źródła".

Centrala miała inne zdanie. Podczas wizyty w Warszawie redaktor przekonał oficera Departamentu I MSW, że jest w trakcie nawiązywania w Londynie kontaktów, z których coś jeszcze będzie.

Gontarczyk, który przeczytał wszystkie akta „Bena", ocenia to tak: „...szeroko informował o spotkaniach z różnymi [zachodnimi] dziennikarzami, przy czym był w stanie podać tylko ich najprostsze charakterystyki, miejsce pracy albo jedynie nazwisko. (...) W świetle dostępnych akt nie ma wątpliwości, czym kierował się, mamiąc swoimi możliwościami funkcjonariuszy wywiadu PRL. Chodziło o jak najdłuższe trwanie w Londynie. [W tym celu] donosił o awanturach u sąsiadów albo o tym, że obserwują go zachodnie służby, a jego [londyńskie] mieszkanie naszpikowane jest aparaturą podsłuchową. Skąd o tym wiedział? Bo jego dziecku nie działał samochód na baterie kierowany radiem".

W drugiej połowie lat 80. serial o „Sekretach XX wieku" przegrywał tylko z cyklem „Sekscesy", w którym pokazywano migawki z filmów porno.

– Mój program zrywał z powszechną w TVP koturnowością – wspominał w RDC Wołoszański. – Przede mną niewyobrażalne było, by występować inaczej niż w garniturze, do tego pod krawatem. A ja miałem skórzaną kurtkę, którą potem uznano za znak rozpoznawczy. I to nie była koncepcja scenarzystki, lecz konsekwencja faktu, że przemysł odzieżowy PRL nie był w stanie wyprodukować okrycia dla kogoś o moim wzroście. Kupiłem więc tę kurtkę za granicą, a dlatego skórzaną, żeby była trwała.

Kurtka – z czasem zamieniona na dłuższą, z tkaniny i w kolorze khaki – mogła się podobać, lecz wyższość „Sensacji" nad pozostałymi programami historycznymi peerelowskiej telewizji wynikała z faktu, że tam przeważały gadające głowy, a u Wołoszańskiego działo się, że hej! Zaczął zatrudniać aktorów, którzy odgrywali historyczne sceny, rekonstruował w oryginalnych plenerach i z pomocą pirotechników całe bitwy, m.in. jedno z pierwszych starć z września '39 – bitwę pod wioską Mokra w powiecie kłobuckim w ówczesnym województwie kieleckim.

– Tam nasza brygada kawalerii trzymała przez cały dzień pod ogniem niemiecką dywizję pancerną – tłumaczył w RDC. – Polacy wspierani przez dwa pociągi pancerne zniszczyli co najmniej kilkadziesiąt hitlerowskich czołgów. W roku 1992 po raz pierwszy podjąłem się inscenizacji: konie miałem trzy, kawalerzystów trzech, pociąg pancerny też miałem, choć z innego okresu, ale dzięki współpracy z muzeum kolejnictwa udało się go przeciągnąć na poligon w Wesołej [dokładnie: w podwarszawskiej Zielonce], gdzie kręciliśmy sceny. W roku 2002 ponownie wróciłem do tego tematu: miałem już do dyspozycji szwadron kawalerii, wiele niemieckich pojazdów pancernych... teraz mi się marzy, by trzeci raz wrócić, ale już z oryginalnymi czołgami.

Głogowski: W rzeczywistości pod Mokrą bombardowały polskie pozycje samoloty szturmowe Hs 123, popularne henschele, oraz dorniery, które działały w pasie natarcia IV Dywizji Pancernej.

Wołoszański: Niemcy stracili 70-80 czołgów i około tysiąca rannych i zabitych. Wołyńska brygada straciła jeden czołg, trzy-cztery samochody pancerne i kilka armat. Zginęło prawdopodobnie 530 oficerów i żołnierzy.

Głogowski: Tak właśnie rodzą się mity. Niemieckie wojska pod Mokrą straciły 24 czołgi i około setki żołnierzy. Do strat po stronie polskiej, podanych poprawnie, należy jeszcze doliczyć około 400 koni.

Kandydat na posła podcastu Głogowskiego nie widział. Streszczam mu zarzuty: Co pan na to?

– Najwyraźniej korzystaliśmy z innych źródeł.

– I kto w końcu ma rację? – pytam Kacpra Śledzińskiego, rocznik 1975, autora wydanej w Znaku książki „Potop '39".

– Ja się wychowałem na „Sensacjach XX wieku" i o Wołoszańskim nie chcę mówić źle, bo on, po pierwsze, dużo wie, ma wiele ciekawych przemyśleń i teorii, ale

W TVP przeważały gadające głowy, a u Wołoszańskiego działo się, że hej! Rekonstruował w oryginalnych plenerach i z pomocą pirotechników całe bitwy, m.in. jedno z pierwszych starć z września '39

W 2021 r. odcinek o starciu pod Mokrą (ten drugi, sprzed 19 lat) wziął na warsztat szczeciński historyk Łukasz Głogowski, rocznik 1977, autor bloga Historia 2.0, który mówi mi, że „Sensacje XX wieku" były dla niego „serialem formującym". Z czasem jednak spojrzał na program krytycznie.

– W latach 80. autora tłumaczyły realia. Nie było dostępu ani do źródeł sowieckich, ani zachodnioniemieckich. W obecnym stuleciu winien się poprawić, tymczasem wciąż robi błędy...

I taki właśnie jest tytuł dostępnego na YouTubie podcastu Głogowskiego: „Bitwa pod Mokrą. Błędy Bogusława Wołoszańskiego".

Oglądam na przemian fragmenty „Sensacji" i komentarz blogera.

Wołoszański: Osiem tysięcy żołnierzy brygady wołyńskiej miało wypełnić ogromne zadanie [bo] z drugiej strony granicy nadjeżdżała niemiecka IV Dywizja, której liczebność była dwukrotnie większa.

Głogowski: Niemiecka IV Dywizja Pancerna liczyła 10 286 ludzi według stanów etatowych i nie cała weszła do walki. Wołyńska Brygada Kawalerii nie liczyła zaś ośmiu tysięcy żołnierzy, ale około 5500.

Wołoszański: W Wielkopolsce stała Armia Poznań i ta armia, skierowana pod Mokrą, mogła zmienić bieg całej kampanii wrześniowej.

Głogowski: Przyznaję, że prostota tej koncepcji mnie oszołomiła. Przypominam, że bitwa pod Mokrą rozpoczęła się w godzinach rannych 1 września 1939. Przerzucenie tam Armii Poznań w takim tempie, by zdążyła wziąć udział w walce, było niewykonalne. To zdanie Wołoszańskiego jest tak pozbawione sensu, że brak mi komentarza.

Wołoszański: Sztukasy [czyli junkersy Ju 87] uderzyły na nasze okopy...

tu ewidentnie rację ma Głogowski. To wynika choćby z 500-stronicowej monografii bitwy autorstwa Andrzeja Wesołowskiego i Juliusza Tyma. Wołyńska Brygada Kawalerii nie liczyła ośmiu tysięcy ludzi, a jej wsparcie przez całą Armię Poznań było niemożliwe z wielu powodów. Ze zniszczonymi niemieckimi czołgami też Wołoszański przesadził. On rzeczywiście robi błędy w programach. Z jednej strony rozumiem, że formuła „Sensacji" wymaga dużego skrótu, bo widzowie są różnie wyedukowani, a każdy powinien zrozumieć. Z drugiej strony: liczbę wojska czy marki samolotów można podać właściwe.

Agenturalna działalność kontaktu operacyjnego „Ben" została zakończona – decyzją niezadowolonego z „uzysków" oficera prowadzącego – po trzech latach. W grudniu 1988 korespondent wrócił do Polski, gdzie właśnie upadał socjalizm. Partia za chwilę wyprowadzi sztandar, ale kariera Wołoszańskiego dopiero się rozpędzi. Po roku 1989 – jak mówią z uznaniem znajomi – redaktor rozwinął „Sensacje XX wieku" w coś na kształt przedsiębiorstwa.

W 1990 r. ukazała się jego pierwsza książka – zapis dotychczas wyemitowanych odcinków. W 1992 w Redakcji Edukacyjnej Telewizji, gdzie kiedyś był wiceszefem, zrealizował cykl pokrewnych „Sensacjom" programów pod tytułem „Encyklopedia II wojny światowej". Ten materiał również wyszedł jako książka.

Prócz tego prezentował (w Radiu ZET) „Sensacje" w formie audio. W 2004 r. wydał powieść wojenną „Twierdza szyfrów", trzy lata później publiczna telewizja zekranizowała ją jako 13-odcinkowy serial. Tymczasem autor zdążył już wydać kolejną opowieść: „Testament Odessy". W sumie sygnował nazwiskiem 23 woluminy, nie licząc 15 zeszytów z serii Sensacje XX wieku wydanych przez oficynę Magnum (dzisiaj część Bellony).

– Łącznie sprzedałem około pół miliona książek – mówi z dumą.

Po roku 2011 nawiązał współpracę z Polsatem – prowadził tam przez cztery lata program o skarbach III Rzeszy. Od wiosny 2014 – na tej samej antenie – zaczął prezentować następny, 12-odcinkowy cykl dokumentalny „Tajna historia XX wieku". Rok później TVP Historia zakupiła pięcioodcinkowy cykl „Przewodnik historyczny Bogusława Wołoszańskiego", zaś same „Sensacje" zostały reaktywowane przez stację National Geographic (formalnie: TVP podpisała w tej sprawie umowę z FOX International Channels).

– Czy te wszystkie działania zrobiły z prawnika historyka, czy raczej biznesmena? – pytam.

Redaktor odpowiada, że nigdy się nie czuł ani historykiem, ani prawnikiem, ani przedsiębiorcą, ani dziennikarzem. Jeżeli już, to najprędzej scenarzystą, reżyserem i pisarzem.

Pisarz jest też dziadkiem dwójki małych Szwajcarów. Jego córka Hanna, która wyszła za francuskiego marszanda, mieszka z mężem w Genewie, gdzie prowadzą dwie galerie sztuki. Ich dzieci – Leo i Saskia – chodzą tam do francuskiej szkoły z wykładowym angielskim.

Syn Bogusława i brat Hanny – Michał – został prawnikiem, jak tata. Kancelaria Wołoszański i Wspólnicy mieści się na 19. piętrze Spektrum Tower przy Twardej.

Sam senior rodu wraz żoną mieszkają w Konstancinie. Ich dom ma 300 metrów.

– Jest pan zamożny, zawodowo i rodzinnie spełniony, po co panu ten start w wyborach? – pytam. – Prawicowy internet wypluwa teraz kolejne publikacje o agencie „Benie". Według serwisu wPolityce.pl doniósł pan na przebywającego w Londynie Kornela Morawieckiego, ojca premiera...

– Co za bzdury!

– ...a prezes IPN Karol Nawrocki napisał właśnie na Twitterze: „Sensacją XXI wieku jest to, że wytrawni agenci komunistycznego wywiadu znudzili się pracą na zapleczu i chcą brać odpowiedzialność za demokrację".

– Niech pan mi tego nie czyta!

– Pan się denerwuje, zamiast leżeć w ogrodzie i patrzeć, jak konto puchnie od tantiem za książki i programy...

W odpowiedzi kandydat zapewnia, że startuje, bo nie chce, aby sytuacja w Polsce toczyła się dalej, jak się teraz toczy. Musimy to zatrzymać, bo będzie katastrofa. Naród został celowo podzielony, Polacy skaczą sobie do gardeł jak nigdy, agresja narasta, społeczeństwo zostało rozbite. A PiS dzieli i rządzi.

Dlatego Wołoszański „kandyduje z powodów moralnych, aby Polska kwitła, a nie zamierała". Boi się również, że wyjdziemy z Unii.

– I to będzie złe?

Owszem, ponieważ Unia gwarantuje nam nie tylko rozwój, ale również pokój. Jeśli opuścimy Wspólnotę, wyjdziemy i z NATO. A on nie chce, aby się powtórzyła tragiczna historia z II wojny światowej, gdy byliśmy sami. Nie chce zniszczenia polskiej inteligencji, polskiej kultury, tego wszystkiego, co osiągnęliśmy. „Polska jest jak roślinka, o którą trzeba dbać".

Maciej Zakrocki zakończył współpracę z Wołoszańskim na początku lat 90.

– Bogusław mi powiedział: umiesz już to, co ja, więcej cię nie nauczę, powinieneś pracować na swoje nazwisko. I miał rację. Gdy teraz się dowiedziałem, że startuje do Sejmu, pomyślałem: kurczę, że mu się jeszcze chce... Ale może on się opozycji przyda?

●●●

Gdy Bogusław Wołoszański dowiedział się, że w tekście będzie poruszany wątek jego współpracy z SB, odmówił autoryzacji wypowiedzi – dlatego je omówiłem. ●

1 RP

eprasa.pl 1f49962744

Nie wypluwam tego, co letnie

Chciałbym, żeby było wstyd być łatwym do skatalogowania.

Marcin Matczak

Jeśli ktoś pisze książkę, ma nadzieję, że ludzie czytają coś więcej niż cyfry na banknotach. Napisałem więc kolejną, choć myślę, że tylko się podkładam i tym po prawej, i tym po lewej stronie. A ziemi niczyjej, gdzie żyją niepodpisujący się pod żadną skrajnością, już nie ma. I jeszcze tytuł dałem pesymistyczny – „Kraj, w którym umrę". Wygląda to na jakieś literackie samobójstwo.

Chciałem jednak zrozumieć, dlaczego chcemy się pozabijać. I wyszło mi, że energia do tej wojny wszystkich ze wszystkimi bierze się ze starcia skrajności. Czy to nowość? Nie, ale dzisiaj okoliczności szczególnie sprzyjają, żeby się radykalizować.

Piszę w tej książce o walkach w klatce, TikToku, o tym, co wspólnego mają Abraham i Bilbo Baggins, o naszej ewolucji w kierunku phono sapiens i o tym, co to oznacza dla demokracji. Ale przede wszystkim piszę o siedmiu zgonach – o śmierci człowieka, tradycji, języka, obiektywizmu, kreatywności, o śmierci Boga i umiarkowania, symbolizowanego przez klasyczny, centrowy liberalizm, który żyje i daje żyć innym w wolności.

Jeśli ktoś pogardliwie mówi o liberalnej „cieciej RP", to jest to albo PiS-owski talib, albo lewicowy aktywista. To jedna z niewielu rzeczy, która ich łączy: nienawidzą libków za to, że są zbyt progresywni, albo za to, że są progresywni za mało, a dodatkowo zbyt kapitalistyczni. Liberalizm jest letni, więc trzeba go wypluć – liczy się tylko to, co populistycznie gorące.

Wiek XX po upadku totalitaryzmów – prawicowego (III Rzesza) i lewicowego (Związek Radziecki) – oddał pole liberalizmowi. Ten przyniósł zmiany społeczne: równouprawnienie kobiet, zniesienie segregacji rasowej, większy szacunek dla mniejszości seksualnych. Ale ten postęp dla lewicy, zwłaszcza po roku 1968, był zbyt wolny. Bo skrajność nie chce zmiany stopniowej – pragnie rewolucji.

Jedną z przyczyn obecnych triumfów prawicy jest lewicowe przekonanie, że sukcesy liberalizmu to prawie nic. Nowa Lewica chciała zmiany totalnej: nie mamy tolerować inności, mamy ją pokochać, nie mamy przekonywać do swoich racji, mamy siłą nawracać. Rewolucja, która zastąpiła ewolucję, teraz napotyka kontrrewolucję. Lepsze jest jednak wrogiem dobrego, a jak się naciska za bardzo, naciskana materia (społeczeństwo) odbija w przeciwną stronę.

Fundamentalizmy wzajemnie się nakręcają. Ale ten prawicowy był w odwrocie. Zatem w sporze, co w tej historii jest jajkiem, a co kurą, wychodzi na to, że kura była jednak lewicowa i to ona zniosła prawicowe jajo.

Odkąd Nietzsche obśmiał chrześcijaństwo, górę wziął kult siły

I lewica, i prawica to komiwojażerowie konfliktu, piewcy „HHS" – hipotetycznych histerycznych scenariuszy: upadku rodziny, katastrofy klimatycznej, adopcji przez pary homoseksualne i pedofilii przez spowiedź. Karmią się ludzkim strachem i emocjami. Podkręcają atmosferę, grając na kwestiach tożsamościowych (na godności wierzących czy mniejszości seksualnych).

Są przekonani o kompletnym zepsuciu drugiej strony, zarzucają sobie talibizm (albo katolicki, albo tęczowy) i przejęcie instytucji: na lewicowy marsz przez instytucje Dutschkego po latach prawica odpowiada swoim marszem.

Nieuświadamianą filozofią populistów – prawicowych i lewicowych – jest postmodernizm i jego teza o manipulacyjności języka i prawa. Język nie komunikuje, ale agituje. Prawo nie jest już racjonalnym sposobem koordynowania naszych zachowań, ale zasłoną dymną, za którą realizuje się czyjś interes: postkomunistów albo patriarchatu. Nie wierzymy już w liberalną racjonalność, tylko w interesy. Nie wierzymy w neutralne media czy szkołę – to teren, który trzeba zdobyć i którego nie można oddać. Przestrzeń neutralna całkowicie się skurczyła – pozostał tylko bitewny front.

Piszę w książce o tym, że wojnę prawicy z lewicą wspiera technologia. Media społecznościowe zmieniają homo rationalis w homo affectus – rodzi się człowiek żyjący wspólną emocją, któremu ze wspólnoty pozostało jedynie współuczestniczenie w oburzeniu albo zachwycie.

Piszę też, że umarły instytucjonalne formy ograniczania ego. W tym religia, która ma – o ile nie jest udawana – ograniczać nasz zwierzęcy instynkt agresji. Odkąd Nietzsche obśmiał chrześcijaństwo jako promujące świadomość niewolnika, kogoś słabego, górę wziął kult siły. Dziś każdy chce być Übermenschem, pokazać moc i dynamizm, masakrować i miażdżyć przeciwników. Za chwilę wszyscy będziemy ze sobą „rozmawiać" jak Kowalski z Kołodziejczakiem, wierząc, że im głośniej krzyczymy, tym silniejsze są nasze argumenty.

W książce apeluję: oddajcie przestrzeń wspólną, w której nie trzeba się deklarować biało-czerwoną albo tęczową flagą, wpiętą w klapę Maryją albo twarzą Che na koszulce. Oddajcie wiarę w to, że człowiek nie musi być czyjś. Że można mówić, nie agitując. Że tradycja może być źródłem mądrości, nie zabobonu. Że otwartość może być zaletą, a nie wadą naiwniaka.

Chciałbym, żeby wzorcem Polki i Polaka stał się ktoś, kogo nie da się zaszufladkować. Żeby było wstyd być łatwym do skatalogowania. Żeby pojedynczość łatki (lewak, katol, libek) była nie tylko winą nadającego, ale i tego, komu łatwo ją przypiąć. Żeby to, że jesteś przede wszystkim feministką, obrońcą Kościoła czy kibicem Legii, oznaczało, że coś jest z tobą nie tak. Że jesteś ubogi. Bo człowiek wielowymiarowy łatwiej znajdzie sojuszników – jeśli jest jeszcze melomanem czy kawoszem, można z nim znaleźć więcej płaszczyzn wspólnych.

Ta książka nie jest pesymistyczna. Piszę w niej, że jeśli ktoś potrzebuje rekomendacji, co robić, niech ratuje to, co umiera: tradycję, język starający się mówić prawdę, umiarkowanie w sobie i w innych. A ratować można przez powracanie: do dawnych opowieści, do wiary w obiektywizm, do kontemplacji, do koncepcji ideału. A przede wszystkim do słowa (Słowa?).

Bez powrotu do naszej najstarszej metody radzenia sobie z rozpadającym się światem – logosu – nie damy rady. Logos to rozmowa zamiast walki, to siła argumentu zamiast argumentu siły. Założenie, że jeśli zmieniam zdanie pod wpływem czyjejś mowy, to znaczy, że myślę, a nie że jestem miękki i ktoś mnie dominuje. Tylko w powrocie logosu, w rehabilitacji słowa nasza nadzieja.

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?" – pyta nasz felietonista w **„Kraju, w którym umrę"** (wyd. Znak). Nowa książka Marcina Matczaka dostępna od 6.09 w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – **„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości"** – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

OGŁOSZENIA

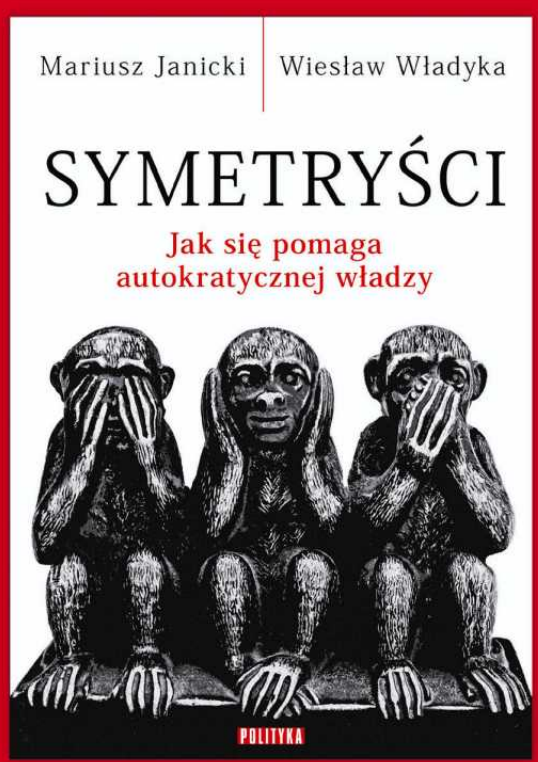

„SYMETRYŚCI.
Jak się pomaga autokratycznej władzy"

Analiza zjawiska symetryzmu dokonana przez autorów tego pojęcia

Nowa książka **Mariusza Janickiego** i **Wiesława Władyki**, zawierająca niepublikowany wcześniej materiał

Szukaj POLITYKI z książką w kioskach, dostępna także w księgarniach oraz na sklep.polityka.pl

1 RP REKLAMA 34269698

eprasa.pl 1f49962744

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

Zmiany w polskich szkołach muzycznych

DARWINOWI DZIĘKUJEMY

Jeden z moich uczniów wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie opowiadał zachwycony: „W tamtej szkole nareszcie mogłem zagrać w zespole. Słuchaliśmy siebie, reagowaliśmy na siebie". I to jest muzyka.

Anna S. Dębowska

„Polska szkoło muzyczna, daj żyć" – apelowała niedawno na łamach „Gazety Wyborczej" Agata Szymczewska, wybitna polska skrzypaczka i pedagog. Szymczewska zwróciła uwagę na wady systemu państwowego szkolnictwa muzycznego w Polsce, które pod względem wielu rozwiązań dydaktycznych znajduje się wciąż w zamierzchłych czasach sprzed 1989 r. „Dzieci idą na egzamin jak na sąd ostateczny" – mówiła Szymczewska, wskazując, że system polegający na egzaminowaniu i ocenianiu źle wpływa na psychikę dzieci i młodzieży.

Jak informuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, któremu podlega 215 publicznych szkół muzycznych w Polsce, system oceniania od 0 do 25 punktów, na którego podstawie formułuje się ocenę roczną na świadectwie szkolnym, wszedł w życie w 2000 r. na wniosek środowiska muzycznego. Punktacja ta nie jest jednak poparta żadnymi konkretnymi kryteriami merytorycznymi, do których mogliby odnieść się uczniowie i nauczyciele. Czy aby nie czas to zmienić?

Ministerstwo Kultury od końca lipca nie odpowiedziało na pytanie „Wyborczej" o to, w ilu nadzorowanych przez nie placówkach dzieci mogą liczyć na pomoc psychologa. Czy Centrum Edukacji Artystycznej kontroluje tę kwestię, czy też zdaje się wyłącznie na inicjatywę dyrektorów szkół?

O wadach i zaletach oceniania i o tym, jak ono wygląda w brytyjskim systemie szkół muzycznych, rozmawiamy z pianistką i pedagożką Julią Kaleńską-Rodzaj* i psycholożką muzyki Eweliną Czają**.

Anna S. Dębowska: Czym jest trema?
JULIA KALEŃSKA-RODZAJ: Słowo „trema" pochodzi z włoskiego i łaciny, oznacza „drżeć", „trząść się". Jest to połączenie ekscytacji i lęku, złożona emocja, która towarzyszy nam, gdy występujemy przed większą grupą ludzi. Jest nieunikniona w zawodzie artysty.

Trema jest zjawiskiem naturalnym. Gdybym rozmawiała z panią, nie okazując żadnych emocji, mogłaby pani podejrzewać, że ma do czynienia ze sztuczną inteligencją – jej przecież nie zadrży głos, na twarzy nie pojawi się rumieniec.

Trema może działać mobilizująco, ważne jest, jak interpretujemy jej objawy, na ile potrafimy je zaakceptować jako naturalną reakcję, przenieść i utrzymać uwagę na tym, co istotne – na zadaniach w utworze, brzmieniu instrumentu. Sytuacja grania na ocenę zawsze podnosi ciśnienie. Na dodatek uczniowie często nie mają odniesienia do kryteriów oceny, które stoją za oceną punktową. Ich naturalny perfekcjonizm nasila tę niepewność. Sprawia, że zanim w ogóle wyjdą na scenę, zaczynają się spinać i krytykować się za pomyłki. To powoduje nerwowość, której mogłoby nie być.

Czy to wymaga pomocy psychologa?
Odczuwanie tremy czy, jak powiedziała jedna z uczennic, „przeżywanie swojego występu" jest naturalne, więc pomoc psychologa nie jest tu potrzebna od razu. Wystarczy wsparcie rodziców i nauczyciela.

Prowadzi pani Krakowski Ośrodek Doradztwa dla Artystów „KODA", zajęcia są nie tylko dla dorosłych, np. uczestników konkursów muzycznych, ale też dla uczniów szkół muzycznych. Bo nie ma pomocy psychologicznej w państwowych szkołach muzycznych?
Zakładałam ośrodek w 2011 roku, kiedy dopiero rozwijała się sieć Specjalistycznych Poradni Psychologiczno-Pedagogicznych działających pod auspicjami Centrum Edukacji Artystycznej. Dziś istnieją one w dziesięciu miastach. Głównym powodem założenia ośrodka było rosnące zainteresowanie rodziców. Ich dzieci, uczniowie państwowych szkół muzycznych, najczęściej w wieku od 10 do 13 lat, zmagały się z tremą.

Dlaczego właśnie w tym wieku?
Jest to trudny czas w życiu dziecka. Gdy miało siedem czy osiem lat, wystarczyło ładnie się ubrać i dobrze się przygotować. Ale z biegiem czasu rozwija się samoświadomość, nastolatek łączy fakty i zjawiska, jest wrażliwszy na ocenę, bo potrafi już spojrzeć na siebie z boku, oczami innych ludzi, zaczyna się porównywać, to rodzi presję. Repertuar staje się coraz trudniejszy, wymagania rosną.

Stworzyłam warsztaty „Zrozumieć emocje – oswoić tremę", z których skorzystało już wiele szkół i akademii muzycznych w całej Polsce. W kilku edycjach rodzice występowali w roli domowych trenerów, uczyli się dawać wsparcie swoim dzieciom, wrażliwcom rzucanym na głęboką wodę.

Młodzi sportowcy mają lepszą opiekę.
Ci z pierwszymi osiągnięciami mają opiekę fizjoterapeuty, dietetyka, psychologa i menedżera, a nasz młody muzyk, aż do dyplomu na uczelni wyższej, ma tylko nauczyciela i rodzica. Dlatego sam musi opanować techniki regulacji emocji i panowania nad tremą.

Tego się w szkole nie uczy?
EWELINA CZAJA: Do niedawna w naszych szkołach nikt nie pochylał się nad psychiką ucznia. Liczyła się tylko technika gry. Jeśli uczeń sobie radził, szedł dalej, jeśli nie – odpadał. I to niezależnie od rzeczywistych zdolności muzycznych. To była „naturalna" selekcja.

Darwinizm w szkole dla wrażliwych dzieci?
E.C.: Starsze pokolenie nauczycieli uczyło właśnie w ten sposób, więc młodsze robi to samo. Mam jednak wrażenie, że coś się zmienia. Nauczyciele w wieku między 30. a 40. rokiem życia są coraz bardziej krytyczni w stosunku do dawnych metod, wrażliwsi na potrzeby własne i innych. Chętniej pomagają uczniowi. Owszem, nauczyciela w państwowej szkole ogranicza natłok zajęć, programu, wymagań, audycji, egzaminów. Podstawa programowa jest dla wszystkich uczniów jednakowa, bez względu na stopień uzdolnień i zaawansowania. Nauczyciel musi wybierać, komu poświęcić więcej czasu – to też może rodzić niepotrzebne napięcia. Mimo to pozostaje jeszcze sporo przestrzeni na komfortowe prowadzenie indywidualnej lekcji z uczniem, bez generowania dodatkowych stresów. Młodsze pokolenie wie, że lekcja powinna młodzieży dodawać skrzydeł, nie je podcinać.
J.K.R.: W edukacji mamy naciski, oceny, ale to my kształtujemy relacje międzyludzkie. Istotne jest, by ta relacja była bezpieczna, by uczeń miał życzliwego nauczyciela, który tworzy przestrzeń do popełniania i naprawiania błędów, a na tym polega nauka.
E.C.: Kiedyś zakładano uniformizację, wszyscy byli uśrednieni i nikomu nie przyszło do głowy się temu sprzeciwiać. A jednak

eprasa.pl 1f49962744

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE

uczniowie radzili sobie różnie, a nie jednakowo dobrze.

Zauważam, że indywidualne podejście do ucznia daje dobre rezultaty. Każdy robi postępy we właściwym dla siebie czasie. Poza wymaganiami, kryteriami, wynikami liczy się kształtowanie osobowości ucznia.

Ale pani prowadzi szkołę niepubliczną, w dodatku opartą na brytyjskim systemie kształcenia muzycznego.
E.C.: Od dziewięciu lat prowadzę w Poznaniu szkołę International Music Education certyfikowaną przez Radę Brytyjskich Królewskich Szkół Muzycznych ABRSM.

Jest to program oparty na ośmiu poziomach, w którym pięć pierwszych odpowiada polskiej edukacji muzycznej I stopnia, a trzy kolejne – szkole muzycznej II stopnia. Jest honorowany na całym świecie. Certyfikat poświadczony przez niezależnego egzaminatora z Londynu pozwala odbyć rzetelną edukację muzyczną i kontynuować ją na studiach wyższych. Jednemu z moich absolwentów pozwoliło to aplikować na studia w Royal Academy of Music w Londynie, inny studiuje kompozycję w Poznaniu.

Uczy się tam bezstresowo? W Polsce wciąż panuje przekonanie, że nieprzymuszony nikt nauki nie chce.
E.C.: Generowanie stresu nie jest dobrą metodą mobilizowania ucznia. Nauczanie bezstresowe nie oznacza braku wymagań. Program brytyjski ma skrupulatnie opracowany syllabus podzielony na poziomy i kryteria. Egzamin odbywa się na zakończenie roku szkolnego i jest bardzo trudny, ale nie jest celem samym w sobie. Jest czteroczęściowy: wykonuje się trzy utwory – jest i klasyka, i muzyka rozrywkowa. Gra się gamy i pasaże. Jest czytanie a vista – odczytanie fragmentu utworu bez uprzedniej znajomości jego treści i test na kształcenie słuchu.

Jasno określone są wymogi punktowe za każdą część. Dzięki temu pedagog wie, jak dobrze przygotować ucznia. Jednocześnie w trakcie roku szkolnego przerabia się znacznie więcej materiału. Organizuję jak najwięcej koncertów, aby uczniowie oswajali się z publicznością, poczuli, że muzykowanie to wspólna przyjemność.

Na czym polega różnica w ocenianiu polskim i brytyjskim?
Uczeń otrzymuje ocenę opisową, która wskazuje na dobre i złe strony występu. Wynik punktowy zostaje podbudowany uzasadnieniem, które jest dla ucznia jasną wskazówką, nad czym warto popracować w przyszłości.

Tymczasem w szkołach państwowych kryteria oceny są uczniowi nieznane. Nie są nawet oficjalnie sformułowane, więc nie można się z nimi wcześniej zapoznać lub odnieść się do nich po egzaminie. Jest tylko skala punktacji od 0 do 25.

Decyduje widzimisię komisji?
J.K.R.: To jest ocena estetyczna. Ta jest zawsze subiektywna i zależy nie tylko od obiektywnych kryteriów, ale też od osobistych upodobań jurora, rodzaju jego wrażliwości muzyczno-emocjonalnej. Ocena punktowa pokazuje uczniowi tylko miejsce w szeregu.

W ramach pracy doktorskiej na podstawie wywiadów z nauczycielami stworzyłam skalę oceny występu muzycznego. To 31 wskaźników wykonania w podziale na cztery kategorie: techniczno-warsztatową, interpretacyjną, odporności psychicznej i „estradowości" wykonania. Może stanowić kanwę do dalszych prac nad ocenianiem występów, aby umożliwić przekazywanie rzetelnej informacji zwrotnej o wykonaniu.

Nauczyciel, który siedzi w komisji, może przecież omówić z uczniem egzamin, wytłumaczyć, co wpłynęło na ocenę.
J.K.R.: U nas jest to dość względne, informacja zwrotna bywa uczniowi udzielana, a czasem nie ma żadnej, i wtedy dzieci patrzą na stopień z perspektywy kary – ocena nie jest wystawiona za to, co umiem, tylko czego nie umiem.

E.C.: Dotykamy drażliwego punktu: czy prowadzący ucznia pedagog jest osobą bezstronną? Czy nauczyciel, oceniając ucznia swojego przyjaciela, nie spojrzy życzliwiej i nie doda punktów? Albo odwrotnie – może odjąć, jeśli z nauczycielem egzaminowanego dziecka łączy go relacja negatywna.

W systemie brytyjskim mamy niezależnego egzaminatora, osobę z zewnątrz. Egzamin odbywa się na koniec roku, gra się przed jedną osobą. Tylko obywatele brytyjscy lub osoby na stałe zamieszkałe na Wyspach mają prawo do przeprowadzania egzaminów, Anglicy bardzo tego pilnują. Egzaminator przyjeżdża z arkuszem, na którym wypisane są kryteria ocen. Ich zakres jest ścisły, bezstronny i niepodważalny. Nic nie jest tu poddane przypadkowi ani układom.

Czasy się jednak zmieniają.
J.K.R.: Polska edukacja muzyczna ma swoje wady, ale próbuje się dostosować do zmian. W „Dzienniku geniusza" Salvador Dali pisał: „Nie staraj się być nowoczesnym. To jedyna rzecz, która – cokolwiek byś uczynił – niestety cię nie ominie". W XX w. działał system, który operował głównie karami i represjami, z jednostką się nie liczył. Wiek XXI oznacza osiągnięcie pewnego poziomu dobrobytu i skupienie się wreszcie na własnym „ja" – co ja potrafię i czego pragnę. W obszarze motywacji uczniowie oczekują nagród i wskazówek, jak być lepszym. To przechodzi na rodziców i nauczycieli, a następnie na grunt szkoły – wspieranie, mniej dotkliwej krytyki. System się nieuchronnie zmienia w stronę umiejętnego zachęcania do pracy.

Dlaczego w takim razie dzieci w państwowych szkołach muzycznych w Polsce wciąż idą na egzamin jak na sąd ostateczny?
E.C.: Formuła egzaminów rocznych w państwowym szkolnictwie artystycznym nie wpływa dobrze na psychikę ucznia. Dziecko wie, że za zamkniętymi drzwiami odbywa się coś, na co ma mały wpływ. Gra samotnie dla pustej sali, po drugiej stronie zasiada komisja z panem lub panią dyrektor szkoły na czele. Żadnej publiczności, bo założenie jest takie, że gra się po to, aby komisja mogła stwierdzić, czy uczeń jest perfekcyjnie przygotowany.

I czego ten obecny system uczy?
E.C.: Kształci wybitnych instrumentalistów, natomiast może być źródłem kompleksów. Ocena z egzaminu nie wzmacnia, sam egzamin nie jest dla ucznia ukoronowaniem roku pracy – komisja nie bierze tego pod uwagę. Ćwicząc, uczeń myśli tylko o tym, żeby na egzaminie się nie pomylić, ponieważ perfekcyjne odtworzenie tekstu muzycznego jest w polskiej szkole ideałem. A przecież ludzie uczą się na błędach.

Lęk przed pomyłką jest chyba nagminny?
E.C.: O co modlą się uczniowie? Żeby nie zapomnieć tekstu. Uczeń tak bardzo się na tym skupia, że często nie wie, co gra. A jak się pomyli, nie wie, jak z tego wybrnąć.

Program brytyjski uczy zwracania uwagi na muzykę – w jakiej tonacji gram, jakie zmiany harmoniczne zachodzą w utworze i jakie to ma znaczenie dla wyrazu muzycznego. U nas uczeń jest nastawiony na odtwarzanie.

Na co zwracają uwagę egzaminatorzy z Wielkiej Brytanii, gdy przyjeżdżają do nas?
E.C.: Brytyjczycy mówią, że nasi uczniowie są wspaniale przygotowani, dlaczego więc są tacy zestresowani? To istnieje nie tylko w muzyce – przenosi się ze szkół państwowych i z tendencji, jakie mamy w Polsce, gdzie egzamin uważany jest za najwyższą wartość. Proszę sobie przypomnieć, jaką czarną legendą obrósł egzamin na prawo jazdy.

A co w muzyce jest ważne – czy właśnie bezbłędność, czy jednak coś innego?
E.C.: Myślę, że dzielenie się muzyką z innymi. Muzyka budzi zachwyt, daje radość – i to też chcemy przekazać. U nas to jednak gdzieś się gubi w procesie kształcenia. Znam takie przypadki – muzyk skończył wyższe studia. Ktoś mu mówi: „Zagraj coś od siebie, zaaranżuj". W odpowiedzi jest bezradność: „Jak to? Tego mnie nie uczyli" – uczyli go mechanicznego odtwarzania tekstu. Albo: „Zagraj coś dla nas, dla gości, prosimy" – w odpowiedzi lęk w oczach. Bo jak usiądę i zagram, to się pewnie pomylę i będzie wstyd. Więc po kilkunastu latach nauki woli nic nie zagrać.

Co można zrobić, gdy dzieci często zaczynają odczuwać pomyłkę jako koniec świata?
J.K.R.: Przede wszystkim uświadamiać, że uczymy się na błędach, zwłaszcza gdy są to zadania tak złożone, jak np. czytanie nut. Jest wysokie prawdopodobieństwo, że przy tej czynności będziemy się mylić, ale to jest rzeczą naturalną, której nie należy się wstydzić ani się za nią potępiać.

> Nauczyciel czasem nie wie, jak powiedzieć uczniowi, że zagrał dobrze. Tu słownik jest ubogi, natomiast bardzo obfity, jeśli chodzi o krytykę

Czy przychodzą do pani dzieci bardzo znerwicowane, którym trzeba pomóc?
J.K.R.: Przychodzą osoby bardzo wrażliwe. Ta wrażliwość sprawia, że niektóre rzeczy stają się dla nich trudniejsze, zwłaszcza jeśli już zapętlili się w negatywnym myśleniu lub karaniu się za błędy.

W naszych szkołach szklanka jest zawsze do połowy pusta, nie pełna?
J.K.R.: To wynika trochę z naszej kultury, która premiuje pokorę i skromność, zachęca do szukania dziury w całym. Ćwiczymy się na co dzień w wytykaniu błędów, robimy to już automatycznie, bez zastanowienia. Nauczyciel czasem nie wie, jak powiedzieć uczniowi, że zagrał dobrze, a tym bardziej to uzasadnić. Tu słownik jest ubogi, natomiast bardzo obfity, jeśli chodzi o negatywną krytykę. Tym bardziej ważne są konkretne kryteria oceny.

Dziecko, którego psychika dopiero się kształtuje, nie powinno mieć nadmiaru negatywnych przekazów w rodzaju „nie radzę sobie", „jestem za mało zdolny". Trzeba zachęcać do samodzielności, wykorzystywania własnego doświadczenia, nie utrwalać biernego czekania na to, co pani lub pan profesor powie.

Czy nauczyciele mają na tyle dobre przygotowanie psychologiczne, aby dobrze pracować z uczniami?
J.K.R.: Utrudnieniem jest dla nich wrażliwość emocjonalna i wyuczony perfekcjonizm. Pracuję w gabinecie z nauczycielami nad zrozumieniem faktu, że uczenie to jest droga – często ważniejsza niż cel. I znów musimy pokonywać głęboko zakorzenione przekonania kulturowe, w których sukces to jest coś osiągniętego przez przypadek. Była nikim, nagle stała się kimś. Nikt go nie znał, został sławnym piosenkarzem. Takie historie dobrze się sprzedają, ale ów człowiek sukcesu musiał przecież pracować godzinami, szukać nauczycieli, budować sieć kontaktów społecznych – tego wszystkiego nam kultura nie pokazuje. Dlatego w naszej głowie utrwaliło się przekonanie: „Albo jestem utalentowany i wszystko łatwo mi przychodzi, albo jestem do niczego".

Ważne jest więc stawianie sobie celów, docenianie własnego wysiłku.

W jaki sposób?
J.K.R.: Podam przykład. Po zagraniu fragmentu utworu na lekcji lub w domu warto zapytać dziecko o trzy rzeczy: „Co ci się spodobało w twojej grze?", „Co możesz jeszcze dopracować?" i „ Jak możemy to zrobić?".

Odpowiedź na pierwsze pytanie często jest dla uczniów wyzwaniem. Pomaga równoważyć krytyczne spojrzenie i zauważać postępy, a w konsekwencji budować stabilną samoocenę. Forma „my" w ostatnim pytaniu pokazuje, że jesteśmy jedną drużyną, wspieramy się i razem podążamy tą ścieżką rozwoju muzycznego.

Co jeszcze jest wadą polskiej edukacji muzycznej?
E.C.: Brak zespołowego muzykowania. Nasza edukacja jest tym skażona. Siedzi nauczyciel zamknięty w klasie z uczniem, tak jakby zakładano, że wszyscy mają być solistami. A przecież granie z kimś w duecie czy większej grupie oznacza, że odpowiedzialność rozłożona jest na kilka osób. To uczy współpracy, wzmacnia poczucie wspólnoty. I pozwala zmniejszyć stres.

U nas problemem jest nawet granie z nauczycielem na cztery ręce na fortepianie. Dziecko się gubi, nie nauczyło się słuchać partnera.

Słychać to potem w grze wielu polskich orkiestr.
E.C.: Muszę przyznać, że w mojej szkole muszę stosować naszą wąską specyfikę. Rodzice zapisują dzieci tylko na śpiew, skrzypce, fortepian i gitarę. A gdzie inne instrumenty? Jeden z moich uczniów wyjechał z rodzicami do Stanów Zjednoczonych na pewien czas. Po powrocie opowiadał zachwycony: „W tamtej szkole nareszcie mogłem zagrać w jakimś zespole. Musieliśmy słuchać siebie nawzajem, reagować na siebie, graliśmy razem". I to jest muzyka. Myślę, że tego naszego modelu „solistycznego" prędko w naszych szkołach nie zmienimy. ●

***Julia Kaleńska-Rodzaj** – muzyk, doktor psychologii i adiunkt w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Specjalizuje się w psychologii muzyki, zwłaszcza w zagadnieniu psychologicznego przygotowania muzyka do występu publicznego. Autorka „Psychologii tremy" (PWN, 2022).

****Ewelina Czaja** – pianistka i pedagożka z kompetencjami psychologa. W 2014 r. założyła w Poznaniu niepubliczną szkołę International Music Education, certyfikowaną przez Radę Brytyjskich Królewskich Szkół Muzycznych ABRSM.

eprasa.pl 1f49962744

FOT. IWONA GÖRKE

Opowieść nauczycielki

CIESZĘ SIĘ każdym dniem tej pracy

Kiedyś nauczyciel miał autorytet i szacunek ucznia ot tak, po prostu. Teraz mamy szacunek, jeżeli go sobie wypracujemy.

Z **JOLANTĄ SKRZYPCZYŃSKĄ***, DYREKTORKĄ LICEUM Z 42-LETNIM STAŻEM W SZKOLNICTWIE, ROZMAWIA **IWONA GÖRKE**

Zaczął się kolejny rok szkolny, w pani karierze już 43. Współcześni uczniowie są wyzwaniem?
– Uczniowie zawsze byli i są wyzwaniem. To indywidualności na różnych etapach rozwoju. Inni w szkole podstawowej w klasach 1-3 i inni w 4-8 czy liceum. Ale te wyzwania są fajne, bo zawsze niosą coś nowego.

Czasami ktoś mówi, że nauczyciele pracują wciąż na tych samych programach, powtarzają treści, mają wszystko opracowane. Nie jest tak. Zawsze, przed każdym nowym rokiem szkolnym, nową klasą, mam tremę. Mam przed sobą nowy zespół ludzi, nawet jeżeli to klasa, którą uczyłam przed wakacjami.

Ale nie było ich w szkole tylko dwa miesiące...
– Młodzi ludzie szybko dorastają, zmieniają się ich poglądy i spojrzenie na świat, czasami sytuacja rodzinna. Ale zawsze są fantastyczni! Bardzo lubię pracować z młodzieżą. W szkole podstawowej też jest fajnie, tam są dzieci przylepy, ale w podstawówce jest inny poziom dyskusji. Z młodzieżą można podyskutować. Młodzi mają jeszcze takie poczucie, że może zmienią świat, więc są często odważni w tym, co robią. Nauczyciel musi mieć dużo pokory w sobie – nie może powiedzieć, że wie wszystko, że jest najmądrzejszy, nie przyznać się, jeżeli czasami czegoś nie wie czy ma inne spojrzenie na daną sprawę.

A najbardziej lubię, gdy maturzyści są już po studniówce, przed ukończeniem szkoły, bo to piękny okres.

Dlaczego?
– Bo są zaskoczeni, że nauczyciele to też normalni ludzie, z którymi można np. przetańczyć całą noc na balu studniówkowym. Mają maturę za pasem i widok samodzielnego życia. To wpływa na ich myślenie. Stają się bardziej dorośli.

Lubię rozmawiać z moją młodzieżą, bo oni mają pomysły, które dorosłemu by nie przyszły do głowy. I są rzutcy, zorganizowani, taki przykład – w kwietniu trwał strajk nauczycieli, a mieliśmy zaplanowany dzień otwarty. Musiałabym go odwołać, gdyby nie przyszedł do mnie samorząd uczniowski z propozycją, że oni wszystko ogarną.

Zaangażowanie uczniów przeszło moje oczekiwanie, wszystko było dopięte i dopracowane do najdrobniejszego szczegółu. Powiedziałam wtedy kolegom, że niedługo możemy okazać się niepotrzebni, czy raczej potrzebni – ale nie jako organizatorzy, administratorzy czy przekaźniki suchej wiedzy, tylko jako mentorzy, gdy życiowe sytuacje wystawią dzieciaki na próbę.

Ten „wy piątek", który rozsławił naszą szkołę, też był pochodną uczniowskiej inicjatywy – ankiety internetowej o bezpieczeństwie i samopoczuciu w szkole. Pozwalam im na ich inicjatywy, które muszą spełniać tylko dwa warunki: nie mogą łamać prawa i krzywdzić drugiego człowieka. Należy wzajemnie szanować naszą wolność.

Pani szkoła znów jest na wysokim miejscu w rankingu przyjazności osobom LGBT+. To zasługa pani, nauczycieli?
– Przede wszystkim młodzieży, ale nasza, jako nauczycieli, także. Tworzymy środowisko, w którym młodzież czuje się bezpiecznie. Jesteśmy otwarci na uczniów, wspieramy, ale nie mówimy, jak mają postępować.

Ranking jest konsekwencją ankiet, które wypełnia młodzież. Nie wiem, jaki procent uczniów wypełnia ankietę. Wiem natomiast, że dobrze wypowiadają się o szkole. To dla mnie najlepsza rekomendacja, bo my jesteśmy dla uczniów. Jak ich nie będzie, to nie będzie nas.

Jedynka jest lewicowa?
– Czasem słyszę, że to lewacka szkoła, ale się nie zgadzam. Mamy młodzież o różnych poglądach, z różnych kultur i zakątków świata. Różnym uczniom udaje się funkcjonować w naszej szkole. Na tych różnicach, czasem skrajnych poglądach, nie budowały się konflikty. Młodzi ludzie mają to do siebie, że się zmieniają, jednego dnia świat widzą tak, drugiego inaczej. Wielu uczniów mających poglądy prawicowe teraz stoi pośrodku albo przy lewicy i odwrotnie, dlatego jak słyszę od niektórych, że nie zmienią poglądów, to mówię: porozmawiajmy za rok.

Jesteśmy szkołą otwartą, jeżeli chodzi o myślenie i tolerancję. Może właśnie to ludziom kojarzy się z lewicowością. Ale u nas nie ma upartyjnienia. Mamy demokratycznie wybierany przez uczniów samorząd, który realizuje swoje pomysły.

Na jednym z lokalnych portali znalazłam następujący, pisownia oryginalna: „dobra ściągawka gdzie nie posyłać swojego dziś dziecka".
– To, gdzie rodzice poślą dziecko, jest ich decyzją. Po pierwszym „Tęczowym piątku" przyszła pani z jednej z organizacji prorodzinnych. Weszła do szkoły i zdziwiona mówi: jaki tu spokój! Na co ja: a czego się pani spodziewała?

***Jolanta Skrzypczyńska**

• dyrektorka I Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Olsztynie, którym kieruje od 13 lat, nauczycielka chemii, odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz Złotym Krzyżem Zasługi, wybrana Olsztynianinem Roku 2018. Jej szkoła jako jedyna w regionie zyskała uprawnienia do przeprowadzania międzynarodowej matury

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Było mi trochę przykro, bo jej dziecko jest absolwentem.

A tęcza to, oprócz symbolu różnorodności osób LGBT+, barwy przymierza człowieka z Bogiem.

Myślałam, że po 42 latach pracy już nic pani nie jest w stanie zaskoczyć. Tyle się zmieniało: ustrój, ministrowie, podstawy programowe. Pani też zmieniała miejsca zatrudnienia i szczeble.
– I ja się zmieniałam i uczyłam. Gdy kończyłam Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, byłam przekonana, że trafię do liceum i będę uczyła w klasie biologiczno-chemicznej. Pojechałam do Olsztyna. Zaczęłam szukać pracy, ale chemika chcieli tylko na zastępstwo, więc zostałam wychowawczynią w internacie szkoły budowlanej. Nie byłam przygotowana. Moim doświadczeniem z internatem było mieszkanie przez rok w internacie, gdy sama byłam uczennicą w szkole średniej.

Praca w internacie nie była moim celem, dlatego przeszłam do szkoły podstawowej, gdzie uczyłam fizyki, matematyki i chemii. Pod koniec lat 80. do liceum wojskowego. A zaraz '89 i kolejny przełom.

Co do ministrów – to zawsze narzekaliśmy. Chociaż były lepsze lata i gorsze, jeżeli chodzi o same zarobki. W latach 90. dawano nam wyrównania, rekompensaty. Zaczęto trochę o nauczycieli dbać.

Gdy pani zaczynała, nie mogła znaleźć zatrudnienia zgodnego z wykształceniem, a dziś odwrotnie – dyrektorzy mają kłopot z zapewnieniem obsady.
– W tej chwili mam całą kadrę, ale dzięki nauczycielom, którzy dochodzą z innych szkół. Układanie planu jest karkołomne nie tylko przez odpływ nauczycieli z zawodu, ale też w konsekwencji nowych zjawisk, takich jak nauczanie indywidualne albo zindywidualizowane ścieżki kształcenia, kiedy uczniowie mają dodatkowo po kilka godzin przedmiotu lub nie chodzą z klasą na jakiś przedmiot, bo mają takie zalecenia z poradni pedagogiczno-psychologicznej.

Nauczyciele pracują dużo. I są zmęczeni. Mam na myśli tych, którzy się rzeczywiście angażują, są nauczycielami z krwi i kości.

Jak rozmawiałam z moim redaktorem przed naszą rozmową, to padło pytanie: dlaczego znikł stary pedagog „pruski" – wymagający, ale zaangażowany?

eprasa.pl 1f49962744

– Proste. Zmieniły się dzieci, zmienili się rodzice, zmienił się świat. Ale nie jest tak, że teraz nie ma wymagających nauczycieli.

Kiedy ja się uczyłam, niektórzy nauczyciele byli mili, ale nie brakowało też oschłych. I myślę, że właśnie to się zmieniło. Uczniowie tych nauczycieli sami zostali nauczycielami i nie chcieli powielać takich wzorców. Można być wymagającym i miłym nauczycielem. Wiem, że niektórym to się gryzie, bo jak jest wymagający, to trzyma krótko, jest dyscyplina i nikt mu nie podskoczy. Rodzice też czasami by takich „pruskich" chcieli, bo jeżeli sami nie ogarniają w domu dzieci, to chcą, by zrobiła to szkoła.

Jak zmienił się współczesny rodzic?
– Częściej za dziecko załatwia sprawę, zdarza się, że w szkole średniej to rodzic z nauczycielem chce ustalić termin poprawy klasówki swojego dziecka.

Żartuje pani?
– Jedna z mam chciała ustalić ze mną, bo jej córka boi się do mnie podejść, kiedy może napisać klasówkę, której nie pisała w pierwszym terminie. Wiem, że każdy myśli o sobie raczej pozytywnie, ale naprawdę nie jestem nauczycielem, którego można się bać. Z klasą tej dziewczyny mam dobre relacje. Ona jest trochę wycofana, ale żeby bała się podejść?

Co pani odpowiedziała?
– Że to córka powinna do mnie podejść i porozmawiać.

Ja rozumiem sytuację uczniów. Kiedy chodziłam do szkoły, wieki temu, jak się było na klasówce, to była ocena, jak się było nieobecnym – oceny nie było. Nie trzeba było jej zaliczać. A teraz wszystko musi być zaliczone. Choć ja akurat nie wymagam, by uczniowie pisali każdą klasówkę. Wychodzę z założenia, że do matury uczeń ma opanować materiał, ale to wymaga od niego odpowiedzialności. Ale jeżeli uczeń chce, żebym mu tę klasówkę koniecznie zrobiła, to on powinien przyjść do mnie, żeby ustalić termin, a nie ja do niego.

Tym bardziej że niektórym uczniom, nawet w klasie maturalnej, zmieniają się pomysły na siebie. Przyszli na biol-chem, ale uznają, że wolą zdawać na maturze historię. Więc ja mogę chemię odpuścić, ale on musi sam uczyć się więcej historii.

Mam pewnie takie stare nauczycielskie myślenie, ale jestem zwolenniczką tego, by wszyscy, którzy kończyli liceum, poszli na studia.

Rozumiem panią. Po liceum nie ma się żadnego fachu w ręku.
– Ale teraz uczniowie decydują się na roczne przerwy albo kompletnie odpuszczają studia. A może to ja mam złe myślenie? W końcu osoby, które zajmują się sprawami informatycznymi, wcale nie muszą kończyć studiów, a mają perspektywę dobrych zarobków. Młodzi ludzie to wiedzą. Pójście na studia im się nie opłaca. Kiedyś ten, kto poszedł, miał pewną pracę, teraz już nie.

Kiedyś nauczyciel miał autorytet i szacunek ucznia ot tak, po prostu. Teraz mamy, jeżeli go sobie wypracujemy. Nie możemy mówić: zrób tak czy tak. Młodzi ludzie potrzebują rozmowy, wsparcia. Czasami uczniowie pytają: a co by pani zrobiła na moim miejscu? Mówię: nie jestem tobą, nie mogę ci powiedzieć, co powinieneś zrobić, ale ja w życiu zrobiłam tak i później miałam takie czy inne tego konsekwencje. Każde nasze działanie wiąże się z konsekwencjami. Tego musimy uczyć młodych ludzi.

Nauczyciel nie jest już jedynym, który posiada wiedzę, nie ma nawet już takiej możliwości, by całą wiedzę przekazać w formie notatki w zeszycie. Podręczniki też są różne. Młodzi ludzie myślą. Na takich przedmiotach jak historia, język polski czy religia pojawiają się problematyczne kwestie i trzeba o nich rozmawiać. Myślę, że dlatego młodzi ludzie odchodzą od religii – katecheci z nimi nie rozmawiają. A młodzi już nie akceptują nieelastycznego podejścia.

Wielu nauczycieli mówi, że ich zawód jest ich pasją, uwielbiają kontakt z dziećmi, młodzieżą, ale odchodzą. Wielu zrezygnowało po nieudanym strajku w 2019 r., kiedy środowisko naprawdę się zmobilizowało, ale władza wzięła na przeczekanie.
– To był trudny czas dla oświaty. Najpierw strajk, za chwilę pandemia. Szkoła przeszła chrzest bojowy w warunkach, których byśmy sobie wcześniej nawet nie mogli wyobrazić.

Kiedyś nawet myślałam, że nie zarabiamy tak źle, mamy pensję pierwszego, ale później poczytałam i zobaczyłam, że ludzie zarabiają dużo, dużo więcej. Teraz najniższa krajowa zbliża się do wynagrodzenia nauczyciela stażysty. Z drugiej strony… Czasem nauczyciele burzą się na wysokość dodatków motywacyjnych, lecz ja myślę, że jak ktoś nie będzie pracował za 10 złotych, to i za 100 nie będzie. Nie wszystko jest kwestią pieniędzy. Są badania, że gratyfikacja finansowa nie jest wymieniana na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o satysfakcję z pracy. Wyżej jest dobrostan, dobra atmosfera, to, czy w pracy można się realizować.

Wydaje mi się, że nie jestem szefem, który mówi: macie robić tak i tak. Są różne przedmioty, są różne podejścia, nie znam wszystkich podstaw programowych. Jak zostałam 14 lat temu dyrektorem jedynki, dziwiło niektórych nauczycieli, że nie mówiłam, co mają robić, jak mają uczyć.

Wcale pani nie mówi?
– Generalnie pozwalam nauczycielom działać w granicach prawa, rozsądku i takiego zachowania, by nikt nam nie zarzucił, że ucznia krzywdzimy.

Nie mówię nauczycielom, że mają np. robić jakieś konkursy. To powinno wychodzić od nauczyciela, bo jak ktoś komuś coś każe, pierwszą reakcją jest opór wewnętrzny. Więc wskazuję kierunek, w jakim ma zmierzać szkoła, ale liczę na nich.

Nie chciała pani nigdy rzucić szkoły?
– Chciałam. To była pierwsza połowa lat 90., powstawały biznesy, ludzie z łóżek polowych, na których handlowali, przenosili się do budek. Postanowiłam, że też chcę inaczej pracować. Może nie od razu zakładać firmę, ale robić coś innego. Bo w domu też była szkoła. Sprawdziany, przygotowanie do lekcji, problemy uczniów zawsze były ze mną. Choćby dlatego, że zawsze miałam wychowawstwo.

I gdzie pani poszła?
Od koleżanki dowiedziałam się, że w agencji reklamowej poszukują pracowników. Byłam osobą dość otwartą i miałam jakieś pomysły, więc spróbowałam. W agencji pracowałam od kwietnia do sierpnia, a we wrześniu wróciłam do szkoły.

Nie sprawdziła się pani? Czy to nie było jednak to?
– Było całkiem przyjemnie, bo po ośmiu godzinach wracałam do domu i nie musiałam myśleć o pracy. Wtedy zaczęły wychodzić plastikowe karty klubowe, miałam chodzić po instytucjach i proponować te karty. Potrafiłam sprzedawać, ale coś mi nie pasowało.

Wtedy miałam około czterdziestki, to taki czas, kiedy ludziom wydaje się, że powinni coś zmienić w życiu. Uznałam, że najwidoczniej tą moją zmianą jest brak zmiany. Bo moim przeznaczeniem jest szkoła.

A czego jeszcze pani redaktor chciał się dowiedzieć?

Różnych rzeczy, ale na razie wrócę do 2019 roku i tego strajku. Pani nie mogła.
– My, dyrektorzy, jesteśmy urzędnikami państwowymi, więc nie możemy strajkować.

Praca w szkole nie przebiegała w normalnym rytmie. Było zagrożenie, że nie odbędą się matury. Trzeba było przygotować klasyfikację, zajęli się tym nauczyciele niestrajkujący. Bardzo trudny czas, bo ludzie poróżnili się. Niektórzy pisali, że kończą strajk, bo jest etos nauczyciela, inni wciąż strajkowali, byli wściekli, bo koledzy co innego mówili w pokoju nauczycielskim przed strajkiem, co innego później. Myślę, że od czasu strajku nauczyciele się zmienili.

W jakim sensie?
– Nie mogę powiedzieć, że się nie angażują w pracę, ale jest coś nieuchwytnego, co wyczuwam i co mi czasami przeszkadza przy zarządzaniu szkołą. To nie są ci sami nauczyciele.

Może ten hejt, który się na nich wylał, od obcych ludzi, ale i od rodziców, coś w nich zniszczył.
– Głosy w społeczeństwie były podzielone, padało wiele przykrych słów, ale też były głosy wsparcia. Myślę, że zależy to od tego, jakie mamy doświadczenia z nauczycielami.

O, o tym dużo mówił mój redaktor…
– …to uważa, że wszyscy tacy są, wrzuca się wszystkich do tego samego worka, a przecież wśród nas, jak i wśród innych grup zawodowych, są różni ludzie. Nie wszyscy jesteśmy idealni.

Nauczyciele dużo stracili, tym bardziej że raczej nie wywalczyli tego, co chcieli. Wrócili do pracy, ale – jak mi mówili – czuli się źle psychicznie.

W oświacie dzieje się źle. Jak zwykle jest niedofinansowana, dezorganizowana przez ciągłe zmiany, brakuje nauczycieli, psychologów, ale doszedł nowy czynnik chaosu, stresu i lęku, czyli minister, który jaki jest, każdy widzi. Nawet zostawiając na boku kwestie ideologiczne, sama kindersztuba resortu pozostawia sporo do życzenia. Na przykład minister obiecuje jednorazową wypłatę 1125 zł brutto na 250-lecie Komisji Edukacji Narodowej, co jest czymś trochę jak splunięcie – a nauczyciele się nie buntują.
– Od strajku nauczyciele się zmienili mentalnie. Uczniowie nas wspierali, przychodzili do szkoły, rysowali serduszka, ale byli i tacy, co mieli dość strajku, bo nie mogli np. poprawić oceny. Postawy były różne. Społeczeństwo zobaczyło, jak ważny jest nauczyciel, szczególnie w szkołach podstawowych, bo tam na świetlicach rodzice zostawiają dzieci – ale ta świadomość niekoniecznie przysporzyła nam sympatii. Trochę tak jak świadomość, ile zależy od pielęgniarki czy lekarza, sprawiała, że kiedy w końcu oni nie wytrzymywali urągających warunków i odchodzili od łóżek, że ludzie nie tyle się z nimi solidaryzowali, ile mieli im za złe.

My dostajemy podwyżki, ale one nie są satysfakcjonujące. Nauczyciel stażysta może liczyć na wynagrodzenie niewiele wyższe niż najniższa krajowa. Społeczeństwo ma wobec nauczycieli wysokie oczekiwania, my mamy ogromną rolę w procesie kształcenia młodych ludzi. Wypuszczamy w świat obywateli, którzy będą kształtowali naszą gospodarkę, relacje społeczne, państwo.

A szkoła trochę się zatrzymała w przeszłości.

W jakim sensie?
– Inwestycji. Jedna aktywna tablica to trochę mało. Nie zatrzymamy postępu technologicznego. Mamy sześcioletnie komputery z odzysku, też należałoby pomyśleć o wymianie. Dyrektorzy robią, co mogą, piszą wnioski na różne programy. Ja za pieniądze z wynajmu pomieszczeń szkolnych doposażam szkołę.

A co do tych 1125 zł, to nie znamy szczegółów, czy kwota będzie ozusowana, czy tylko opodatkowana, ile to będzie na tzw. rękę.

Pieniądze mają zostać wypłacone tuż przed wyborami. Wygląda to jak łapówka.
– Nauczyciel z pasją i tak zagłosuje według swoich poglądów, a ten, który przede wszystkim liczy pieniądze, nie da się kupić za tysiąc złotych.

Młodzi ludzie mają to do siebie, że się zmieniają, jednego dnia świat widzą tak, drugiego inaczej.
Wielu uczniów mających poglądy prawicowe teraz stoi pośrodku albo przy lewicy i odwrotnie

Przeszłam przez dwa systemy polityczne, ministrów nie zliczę. Niezależnie od ekipy w kwestii statusu nauczycieli niewiele się zmieniło. Młodzi nauczyciele też mają ideały i oczekiwania, ale szybko się zderzają z codziennością i nawet jeżeli praca w szkole sprawia im przyjemność, znajdują inną, lepiej płatną. I spokojniejszą. Bo dziś do słabych zarobków dochodzi stres większy niż kiedyś.

Kiedyś, żeby rodzic spotkał się z nauczycielem, musiał przyjść do szkoły. Dziś ma Librusa, może odszukać nauczyciela na Facebooku, ma też numer telefonu. I postawę „nauczyciel to usługodawca, więc od niego wymagam". Co jest lepsze niż potulne niewychylanie się z czasów PRL, tyle że każdy wymaga czegoś innego. I podobno, skarżą się nauczyciele, nieraz wymusza to awanturą czy skargami.
– Rodzice rzadziej przychodzą do szkoły. Nawet przed wycieczkami umawiamy się na Teamsie. Tworzą grupy klasowe na Messengerze. Niektórzy nauczyciele, szczególnie starsi, buntują się. Ja też uważam, że nic nie zastąpi rozmowy w realu, ale akceptuję to, że tylko komunikatory pozwalają nam na kontakt, bo świat się zmienił i powinniśmy korzystać z udogodnień.

Widać nas na Facebooku, Messengerze, rodzice piszą i tam do nas. Po „Tęczowym piątku" otrzymałam wiele wiadomości od obcych osób.

Co pisali?
– Jedni obrażali, inni gratulowali. Odpowiadałam wszystkim, wysyłając kilka słów lub uśmiechniętą buźkę. Odpowiedziałam na dwa tysiące maili.

Dwa tysiące?!
– „Tęczowy piątek" wypada w ostatni piątek października, a ja na pierwszy listopadowy weekend miałam zarezerwowany pobyt w Krynicy Morskiej i pamiętam, jak siedziałam do drugiej w nocy przy komputerze. Gdy ktoś pisał, że doznał w szkole krzywdy ze względu na orientację, że wie, jak ważne jest wsparcie, że pozdrawia z zagranicy, odpisywałam: bardzo mi przykro, że przydarzyło ci się coś złego, pozdrawiam serdecznie. A ludzie byli zdziwieni, że odpowiadałam na ich maile.

Naprawdę niemiłą wiadomość dostałam tylko jedną – i to na Librusie, nie w jakimś social medium! – od jednego z ojców. Pytał, kiedy zrobimy czwartki dla lesbijek i pederastów, i pisał jeszcze jakieś inne wulgarne rzeczy.

Co pani odpowiedziała?
– Podziękowałam za głos i życzyłam wszystkiego dobrego. Cokolwiek bym odpowiedziała, tylko by go nakręciło.

Czego można życzyć szkole, nie tylko na ten nowy rok szkolny?
– Jako człowiek i nauczyciel po przepracowaniu wielu lat, podczas których miałam dużo sukcesów i fajnych sytuacji, nie oczekuję, że nagle zaczniemy zarabiać dużo, a szkoła od ręki stanie się nowoczesna. To wszystko są procesy, więc jeśli mam szkole życzyć czegoś, na co mamy wpływ tak od ręki, to tego, żeby młodzi ludzie mogli się w niej realizować, mieli czas na rozwój swoich pasji i z odwagą podejmowali wyzwania.

Bo wbrew wyobrażeniom starszych pokoleń wielu je ma, tylko są tak obłożeni pracą w szkole, że nie mają chwili oddechu. Przekładając na dorosłe realia: przecież to pełen etat, osiem godzin plus nadgodziny, prace domowe, projekty, korepetycje.

I chciałabym, by rodzice nam zaufali.

A nauczycielom czego można życzyć?
– Realizacji pomysłów. Pasji. Cierpliwości. I cieszenia się każdym dniem.

A pani?
– Tego, co każdemu: zdrowia. I żeby chciało mi się jeszcze chcieć. O brak przeciwności nie proszę, bo one się zawsze w życiu pojawiają. Tylko o siłę, bym dawała radę je pokonywać. ●

eprasa.pl 1f49962744

NASZA EUROPA

Francja szuka nowego otwarcia

NASZA PRZYSZŁOŚĆ ZALEŻY

Uderza mnie jeden wspólny wątek ostatnich przewrotów: rozpacz młodych ludzi, zwłaszcza w Afryce francuskojęzycznej. Ci ludzie są wściekli na swoje elity i chcą uciekać. Jest to fatalne dla Afryki, ale powinno także niepokoić Europę

Yves Thréard

LE FIGARO

Jean-Marie Bockel, zwolennik całkowicie nowego otwarcia w stosunkach francusko-afrykańskich, zawsze stanowił osobny głos w debacie o polityce Paryża. Wieloletni parlamentarzysta z ramienia socjalistów, za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego był sekretarzem stanu w MSZ odpowiedzialnym za kraje frankofońskie. Został zmuszony do dymisji za wezwanie do podpisania „aktu zgonu Françafrique" i wykreowania nowej polityki wobec dawnych kolonii. Jego syn, pilot śmigłowców bojowych, zginął w akcji w ramach antydżihadystycznej operacji Barkhane w Mali 25 listopada 2019 r.

Po 56 latach monopolu dynastia Bongo została właśnie odsunięta od władzy w Gabonie – w kraju, który symbolizuje to, co nazywano „Françafrique". Skąd ten kolejny pucz w regionie?
– Nie jesteśmy już w Gabonie Omara Bongo, który był ucieleśnieniem postkolonialnej relacji Paryża z krajami Afryki. Czasy się zmieniły. Mamy tu jednak do czynienia z rewolucją pałacową, to sprawa ściśle wewnętrzna. Francja nie ma z tym nic wspólnego. Syn Omara, Ali Bongo, został obalony po kolejnych uznanych za nieuczciwe wyborach prezydenckich, tak jak w 2009 r., kiedy doszedł do władzy, i tak jak w 2016 r., kiedy został ponownie wybrany.

W 2008 r., kiedy był pan sekretarzem stanu na Quai d'Orsay [adres siedziby MSZ], poprosił pan Nicolasa Sarkozy'ego o położenie kresu „Françafrique". Już wcześniej, za Mitterranda, jeden z pana poprzedników, Jean-Pierre Cot, także zadekretował jej koniec. Cot został zdymisjonowany, a pan musiał zmienić tekę ministerialną.
– Cot przybył do resortu rozwoju i współpracy międzynarodowej z duchem dysydenckim, całkowicie zrywając z polityką afrykańską Francji. Ja nie byłem w nastroju rewolucyjnym. Zgadzałem się z przemówieniem Sarkozy'ego wygłoszonym w Beninie w maju 2006 r. Chciał wówczas zbudować nowe relacje z Afryką, na ile się da uwolnione od bagażu przeszłości. To właśnie to wystąpienie skłoniło mnie do dołączenia do jego rządu, chociaż szybko rozczarowało mnie jego kolejne, w Dakarze w lipcu 2007 r., które było co najmniej niezręczne. Uważałem jednak, że ogólnie jego plan działań w sprawie Afryki jest dobry. Kiedy w styczniu 2008 r. napisałem w prasie, że ta zmiana zachodzi za wolno, wiele osób w Pałacu Elizejskim zgodziło się z tym. Kto chciał mojego odejścia? Przede wszystkim to bardzo bliskie otoczenie biznesowe prezydenta Sarkozy'ego i stare sieci polityczne „Françafrique" zareagowały przesadnie. Wyraźnie im przeszkadzałem.

Czy widział pan walizki z gotówką krążące między stolicami w Afryce a Paryżem?
– Nie, ale pewne jest, że istniały i w mniejszym stopniu nadal istnieją ukryte systemy finansowania, z wieloma pośrednikami i ludźmi w cieniu, którym zależy na utrzymywaniu status quo. Ale te systemy się wyczerpały. Dziś karta się odwróciła. Już nas tam, w Afryce, nie ma, nawet jeśli mogą pozostawać pewne resztki, które jednak nie są specyficzne dla stosunków Afryki z Francją. Czy naprawdę jednak wierzymy, że w stosunkach chińsko-afrykańskich lub rosyjsko-afrykańskich panuje większa przejrzystość?

Mali, Burkina Faso, Niger, Gabon: to już koniec serii?
– Byłoby głupotą przekonywać, że efekt domina jest niemożliwy. Zwłaszcza w niektórych krajach z silnie starzejącymi się autokracjami. Byłoby jednak nieodpowiedzialne z mojej strony, gdybym wymieniał konkretne kraje. Dodam, że zamachy stanu, które miały miejsce, nie przyczyniły się do poprawy sytuacji w tych krajach, wręcz przeciwnie.

Nie wszystkie te zamachy stanu miały te same przyczyny.
– Konteksty są bardzo różne. W przeciwieństwie do Sahelu Gabon nie zmaga się z plagą dżihadyzmu ani pewnym antyfrancuskim wzmożeniem. Jest bogatym krajem, ale ofiarą złych rządów, które pozostawiają większość populacji w ubóstwie, podczas gdy Niger jest biednym krajem, w którym wysiłki prezydenta Bazouma na rzecz skutecznego zarządzania zaczynały przynosić owoce. Sytuacje są całkowicie odwrotne. Nie ma więc żadnych uniwersalnych schematów.

Uderza mnie jednak jeden wspólny wątek: rozpacz młodych ludzi, zwłaszcza w Afryce francuskojęzycznej. Ci młodzi ludzie są wściekli na swoje rządy i chcą uciekać. Jest to bardzo niepokojące dla Afryki, ale także dla całego świata. W 2013 r. brałem udział w przygotowaniu senackiego raportu zatytułowanego „Afryka jest naszą przyszłością". Nadal uważam, że nasza przyszłość rzeczywiście zależy od przyszłości Afryki. I to coraz bardziej.

Jak możemy złagodzić antyfrancuskie nastroje, które narastają w Afryce Zachodniej?
– Te antyfrancuskie resentymenty są niesprawiedliwe o tyle, że francuska polityka w Afryce stale ewoluowała. Pod wieloma względami zgadzam się z Emmanuelem Macro-

Afryka wyprasza Francuzów

Czas puczystów

Jedni winią Francję za wtrącanie się w ich sprawy wewnętrzne, inni za to, że te ingerencje były nieskuteczne. I ogólnie za arogancję.

Robert Stefanicki

O świcie 13 stycznia 1963 r. na ulicy Lome znaleziono ciało Sylvanusa Olympio, pierwszego prezydenta Togo. Zabili go zbuntowani żołnierze, wcześniej walczący w Algierii po stronie Francji, których Olympio z tego powodu nie chciał włączyć do togijskiej armii.

Tak rozpoczęła się długa seria puczów w Afryce. Od lat 60. do końca XX w. na kontynencie miały miejsce średnio cztery wojskowe zamachy stanu rocznie. Z końcem zimnej wojny trend zaczął zanikać, ale ostatnio znów przybrał na sile. Od 2020 r. w siedmiu krajach doszło do 10 zamachów stanu lub ich prób. W Mali (2020 i 2021), Czadzie (2021), Gwinei (2021), Sudanie (2021) i Burkina Faso (2022), tego lata doszedł Niger, gdzie dokonano już czwartego przewrotu od nastania niepodległości, a na dokładkę Gabon.

Nie ma jednego schematu - poza tym, że zamachowcy zawsze twierdzą, że działają dla dobra kraju. Wytykają obalonemu władcy złe zarządzanie, korupcję albo nieudolność w walce z rebeliantami. W rzeczywistości chodzi o interesy jednej kliki kosztem innej. Podziały etniczne, w wielu miejscach Afryki definiujące układ sił politycznych, rzadko odgrywają rolę.

Większość zamachów miała miejsce w byłych koloniach francuskich. Przy aplauzie opinii publicznej junty wyklinają Francuzów i wypraszają ich wojska.

Moskwa dominuje w social mediach

Powody gwałtownej defrankizacji Afryki są złożone. Tłumaczenie tego odreagowaniem traumy kolonializmu byłoby uproszczeniem. W Afryce trudno o kraj, który nie był czyjąś kolonią, a większość jest dziś względnie stabilnymi demokracjami lub autokracjami. Kolonializm francuski nie był też najbardziej zbrodniczy.

Problemem Francuzów jest ich zaangażowanie po dekolonizacji. Uwikłali się w układy z satrapami, którzy dawali gwarancje stabilności i dostęp do surowców. W niektórych dawnych koloniach wojska francuskie odgrywały rolę lokalnego żandarma. Jednak trwająca przez 10 lat misja walki z dżihadystami na Sahelu nie przyniosła zadowalających rezultatów i przypieczętowała koniec „la Françafrique" – jak nad Sekwaną określano strefę wpływów Paryża we frankofońskiej Afryce.

Podejście Francuzów do Afryki zmienia się, stara się być bardziej partnerskie, bez imperialnego sentymentu. Emmanuel Macron pół roku temu w Gabonie powiedział, że kwestie militarne nie będą już priorytetowe. Ale zdaje się, że zmiana przyszła za późno. Gdy Paryż odmawia dogadywania się z puczystami, ci mają już alternatywę: zapraszają rosyjską Grupę Wagnera.

Nie ma dowodów, że Rosja stała za którymś z przewrotów, potrafi natomiast umiejętnie je wykorzystać. Afrykanom jakoś nie przeszkadza, że Rosjanie zachowują się u nich jak kolonizatorzy. Są urobieni propagandą Moskwy w mediach internetowych i społecznościowych, gdzie Francuzi są metodycznie demonizowani.

Opinia publiczna przypisuje Francuzom współodpowiedzialność za niepowodzenia w ograniczaniu ubóstwa i przemocy, za masowe bezrobocie wśród młodych, za 60-proc. wskaźnik analfabetyzmu, za powstania dżihadystów. Jedni winią Francję za wtrącanie się w ich sprawy wewnętrzne, inni za to, że te ingerencje były nieskuteczne. Za wspieranie autokratów albo za próby zerwania z nimi. I ogólnie za arogancję.

Niechęć łatwo zamanifestować, wymachując rosyjską flagą. Chociaż żaden z manifestantów nie wybrałby przeprowadzki do Moskwy, gdyby mógł wybrać Paryż.

Wybory, ale bez wyboru

Wygodnie jest winić zewnętrzne siły, co nie znaczy, że Afrykanie nie mają świadomości podłego stanu swoich elit. Dlatego wojskowe zamachy stanu są tak popularne. Ludzie kibicują puczystom, bo są sfrustrowani cywilnymi przywódcami.

Z definicji przejęcie władzy przez wojsko jest ciosem w demokrację, ale kiedy stan demokracji pozostawia wiele do życzenia, nie szkoda jej tak bardzo. Normą stało się dokładanie sobie przez afrykańskich władców kolejnych kadencji, wbrew konstytucji. Nawet tam, gdzie oficerowie usunęli przywódcę wybranego demokratycznie, jak w Nigrze, to brakowało mu szerokiej legitymizacji.

Według sondażu przeprowadzonego w 2022 r. przez sieć badawczą Afrobarometr tylko 44 proc. Afrykanów uważa, że wybory umożliwiają odsunięcie przywódców od władzy. Ci z Ugandy, Rwandy, Gwinei Równikowej i Kamerunu sprawują władzę od co najmniej dwóch dekad. Dynastia Bongo w Gabonie rządziła przez 53 lata. Dla Afrykanów demokracja oznacza wybory, nie prawdziwy wybór. Nic dziwnego, że tegoroczny sondaż wykazał spadek poparcia dla demokracji w ciągu ostatniej dekady z 73 do 68 proc.

Rośnie za to poparcie dla rządów wojskowych – od 2000 r. podwoiło się, do 22 proc. Rządy generałów poparłby nawet co trzeci mieszkaniec demokratycznej RPA – może licząc, że armia zdołałaby rozprawić się z niedoborem prądu, co jest jedną z największych bolączek tego kraju.

Ugory po juntach

Wierzących, że wojsko poprawi sytuację, czeka rozczarowanie. Politolodzy z Uniwersytetu Florydy przebadali następstwa 32 wojskowych zamachów stanu od 1989 r. W połowie przypadków junty pozostały przy władzy albo bezpośrednio, albo powołując rząd kierowany przez marionetkowego cywila, zaś w drugiej połowie armia wycofała się z rządu – tak było w Nigerii w 2010 r. czy w Tajlandii w 2006 r.

Jednak nawet wtedy rządy cywilne były niestabilne. Szczególnie w Afryce Subsaharyjskiej często zdarzały się próby kontrzamachu stanu podejmowane przez rywalizującą frakcję w armii.

Zbadano też, co ma największy wpływ na powodzenie przewrotu. Kluczowa jest wewnętrzna spójność wojska, to zaś ma związek z tym, jaki był prawdziwy powód puczu. Jeżeli motywem było ocalenie integralności terytorialnej, porządku publicznego lub korzyści materialnych bądź reputacji wojska, to junta zyska poparcie ogółu oficerów.

Drugim ważnym czynnikiem jest zdolność organizacji społe-

1 RP

eprasa.pl 1f49962744

NASZA EUROPA

OD AFRYKI

nem, gdy opowiada się za „nowym ładem" dla Afryki. Musimy jednak pilnie podjąć działania, zmieniając architekturę naszego systemu decyzyjnego. Dlaczego np. nie zlikwidować departamentu ds. Afryki w Pałacu Elizejskim, nie usunąć agendy rozwoju międzynarodowego z MSZ i nie stworzyć jednej jednostki ds. Afryki, która integrowałaby wymiar polityczny, bezpieczeństwa i rozwojowy? Powinniśmy również pozwolić rządom tych krajów wziąć odpowiedzialność za ich wybory i konsekwencje, które się z nimi wiążą, bez wyręczania ich w wielu tradycyjnie dominowanych przez dawne metropolie aspektach. To od nich zależy ich własne przeznaczenie.

Do tego dochodzi nasza obecność wojskowa, która jest regularnie krytykowana. Wielu we Francji jest przekonanych, że operacja Barkhane trwała zbyt długo. Tymczasem bez niej niektóre kraje Sahelu już przestałyby istnieć. Łatwo jest pisać historię post factum. Nie należę do tych, którzy twierdzą, że była to porażka. Nasi żołnierze wypełnili powierzone im misje. Jeśli chodzi o bazy, które mamy w Afryce, takie jak Libreville, Dakar i Abidżan – już Sarkozy pracował nad rewizją umów w zakresie bezpieczeństwa. W każdym przypadku osobno musimy sprawdzić, czy bazy można zamknąć, czy też można znaleźć nowe formy współpracy wojskowej. Nawet w Nigrze.

Czy Francja wciąż ma przyszłość w Afryce?
– Jasne. Utrzymuję wiele kontaktów w Afryce, od elit politycznych po zwykłych ludzi, w tym z lokalnymi radnymi w obszarach, które dobrze znam z ram współpracy międzynarodowej. Nadal istnieją realne oczekiwania wobec Francji w Afryce. Do nas należy zaproponowanie i kultywowanie bardziej harmonijnych stosunków, zwłaszcza gospodarczych, w tym eksploatacji surowców, z których dobrze dystrybuowane zyski muszą wzbogacać Afrykę. Afrykanie mają również swoje różnice z Chińczykami, Rosjanami, Turkami i innymi ambitnymi graczami, którzy stawiają im ogromne wymagania i z którymi naprawdę nie wszystko idzie idealnie. I jest jeszcze jeden atut: Francja zajmuje szczególne miejsce w sercach Afrykanów mówiących po francusku. ●

czeństwa obywatelskiego i partii politycznych do mobilizacji przeciwko juncie. Tam, gdzie to się udaje, rośnie szansa, że wojsko odda władzę. Tak było w Egipcie po zamachu stanu w 2011 r. Tylko że reżim wojskowy w cywilnym ubraniu szybko powrócił. W Sudanie też istniał prężny ruch prodemokratyczny, ale przegrał w starciu z armią.

Na ugorze po wojskowym zamachu stanu demokracje nie powstają. Niezwykle rzadko rezultatem puczu jest przywrócenie rządów prawa, swobód obywatelskich, a i gospodarka zazwyczaj cierpi. Puczyści okazują się równie nieodpowiedzialni i skorumpowani, jak reżimy, które zastąpili.

Nie oznacza to, że zamachy stanu nigdy nie stwarzają szans. Po puczu w Mali w 1991 r. udały się wielopartyjne wybory i powstał system, który zapewnił jeden z najwyższych poziomów swobód obywatelskich na kontynencie. Ale ponieważ dyktatura została usunięta przez wojsko, a nie wskutek powstania ludowego, demokracja malijska opierała się na słabych fundamentach, co ułatwiło jej upadek.

Sankcje mają skutki długoterminowe i uderzają w cywilów – armia zwykle zdoła się wyżywić. Z potępień organizacji regionalnych puczyści też niewiele sobie robią. Wspólnota Gospodarcza Państw Afryki Zachodniej ECOWAS zagroziła interwencją w Nigrze, ale to wydaje się mało realne. Bardziej demokratycznym krajom regionu pozostaje świecić przykładem i pilnować, żeby i u nich nie powstały warunki dla zamachu stanu. Czyli lepiej rządzić, dbać nie tylko o własną grupę etniczną, dopieszczać wojsko.

Zachód może mało

Na pomoc rozwojową dla Afryki od lat idą miliardy. Zwiększenie zaangażowania militarnego musiałoby się wiązać z pobłażaniem dla autokratycznych reżimów, a zmniejszenie oddaje pole dżihadystom i Rosji, która nie ma skrupułów. Nawet zwrot wszystkich zrabowanych niegdyś z kolonii dzieł sztuki oraz zębów wyrwanych przywódcom niepodległościowym po ich uprzednim zamordowaniu może co najwyżej doraźnie poprawić Zachodowi PR, ale nie zmieni zasadniczo nastrojów. Pozostaje mieć nadzieję, że wraz z rozwojem społeczeństw – z naciskiem na edukację – demokracja i poparcie dla niej w Afryce będzie rosnąć. O ile do tego czasu będzie jeszcze skąd czerpać wzór. ●

„The New York Times":

Jak straszny jest chiński kryzys?

Chiny czekają być może najpoważniejsze kłopoty w historii, ale nie ma się co cieszyć. Nawet z czysto egoistycznego punktu widzenia powinniśmy martwić się o to, co reżim może zrobić, aby odwrócić uwagę swoich obywateli od problemów wewnętrznych.

Paul Krugman

Chiny – największa lub druga co do wielkości gospodarka świata, w zależności od tego, jak się ją mierzy – wydają się obecnie balansować na krawędzi kryzysu, który wygląda podobnie do tego, przez co przeszła reszta świata 15 lat temu.

Nie jestem w stanie ocenić, czy Chińczykom uda się powstrzymać nastanie tzw. momentu Minsky'ego, czyli punktu, w którym wszyscy nagle zdają sobie sprawę, że niezrównoważony dług jest naprawdę niezrównoważony. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek – z chińskimi urzędnikami włącznie – zna odpowiedź na to pytanie.

Myślę jednak, że możemy odpowiedzieć na inne, bardziej warunkowe: jeśli Chiny będą miały kryzys w stylu 2008 roku, to czy rozleje się on w poważny sposób na resztę świata, w szczególności na USA? W tym przypadku odpowiedź brzmi: zdecydowanie nie. Choć gospodarka Chin jest ogromna, Ameryka jest dziś wyjątkowo mało wyeksponowana w sensie finansowym lub nawet handlowym na chińskie problemy.

Ale najpierw kilka uwag o tym, dlaczego Chiny w 2023 r. przypominają gospodarki amerykańską i europejską z końca pierwszej dekady tego wieku. Kryzys z 2008 r. został wywołany pęknięciem ogromnej, transatlantyckiej bańki na rynku nieruchomości. Skutki zostały spotęgowane przez zakłócenia finansowe, w szczególności upadek „banków równoległych" – instytucji, które działały jak banki, ale były w dużej mierze nieuregulowane i pozbawione sieci bezpieczeństwa zapewnianej konwencjonalnym bankom.

Dziś w Chinach sektor nieruchomości jest jeszcze bardziej rozdęty niż w krajach zachodnich w okresie poprzedzającym rok 2008. I mają również duży, niespokojny sektor tzw. shadow-banking. Borykają się też z pewnymi specyficznymi problemami, zwłaszcza z ogromnym zadłużeniem samorządów lokalnych.

Dobrą wiadomością jest to, że Chiny nie są jak Argentyna czy Grecja – kraje, które są winne duże sumy zagranicznym wierzycielom. Dług, o którym tu mowa, to w istocie pieniądze, które Chiny są winne samym sobie. Zasadniczo rząd krajowy powinien mieć możliwość rozwiązania tego kryzysu poprzez połączenie ratowania dłużników i redukcji długów wierzycieli.

Ale czy chiński rząd jest wystarczająco kompetentny, by zarządzać restrukturyzacją finansową, której potrzebuje jego gospodarka? Czy urzędnicy mają wystarczającą determinację lub intelektualną jasność, by zrobić to, co należy zrobić?

Szczególnie martwi mnie ten ostatni punkt. Chiny muszą zastąpić niezrównoważone inwestycje w nieruchomości wyższym popytem konsumpcyjnym. Niektóre doniesienia sugerują jednak, że najwyżsi urzędnicy pozostają podejrzliwi wobec „rozrzutnych" wydatków konsumenckich, a także niechętnie podchodzą do pomysłu „umożliwienia jednostkom podejmowania większej liczby decyzji dotyczących sposobu wydawania pieniędzy". Nie uspokaja również fakt, że chińscy urzędnicy reagują na potencjalny kryzys, naciskając na banki, by udzielały więcej pożyczek, zasadniczo kontynuując ścieżkę, która doprowadziła Chiny do miejsca, w którym się znajdują.

Po pierwsze, chińska demografia już nie może napędzać gwałtownego wzrostu: populacja w wieku produkcyjnym osiągnęła szczyt ok. 2015 r. i od tego czasu spada. Ale na poziomie fundamentalnym Chiny cierpią z powodu paradoksu oszczędności, który mówi, że gospodarka może cierpieć, jeśli konsumenci oszczędzają za mocno. Jeśli firmy nie chcą pożyczać, a następnie inwestować pieniędzy, które każdy trzyma dla siebie, wynikiem jest spowolnienie gospodarcze.

Istnieją ideologiczne powody, dla których Pekin nie zrobi tego, co oczywiste

Chiny mają niewiarygodnie wysoką krajową stopę oszczędności. Dlaczego? Raport Międzynarodowego Funduszu Walutowego przekonuje, że kluczowymi czynnikami są niski wskaźnik urodzeń – więc ludzie nie czują, że mogą polegać na swoich dzieciach, że będą ich wspierać na emeryturze – oraz niewystarczająca sieć zabezpieczeń socjalnych, więc nie czują, że mogą liczyć na wsparcie państwa.

W rezultacie Chiny mają ogromną ilość oszczędności, które nie mają gdzie się podziać. Historia chińskiej polityki ekonomicznej to historia coraz bardziej desperackich prób zamaskowania tego problemu. Jej ostatni etap to kierowanie nadwyżki oszczędności w stronę monstrualnej bańki na rynku nieruchomości, która jednak obecnie pęka.

Oczywistą odpowiedzią jest zwiększenie wydatków konsumenckich. Nakłonienie przedsiębiorstw państwowych do dzielenia się większą częścią zysków z pracownikami. Wzmocnienie sieci społecznego bezpieczeństwa. A na krótką metę rząd mógłby po prostu dać ludziom pieniądze – wysyłając czeki, tak jak zrobiła to Ameryka. Dlaczego więc tak się nie dzieje? Istnieją ideologiczne powody, dla których Chiny nie zrobią tego, co oczywiste.

Przywództwo kraju cierpi na dziwną mieszankę wrogości wobec sektora prywatnego (samo danie ludziom możliwości wydawania więcej osłabiłoby kontrolę partii); nierealistycznych ambicji (Chiny mają inwestować w przyszłość, a nie cieszyć się życiem teraz) oraz rodzaj purytańskiego sprzeciwu wobec rozbudowy bezpieczeństwa socjalnego, przy czym Xi potępia „ideologię państwa dobrobytu", która rzekomo osłabia etykę pracy.

Rezultatem jest paraliż polityczny, w ramach którego Chiny podejmują połowiczne wysiłki na rzecz forsowania tych samych rodzajów bodźców inwestycyjnych, które stosowały w przeszłości.

Chiny mogą więc mieć kryzys. Jeśli tak się stanie, jak wpłynie to na nas? O ile mi wiadomo, amerykańska ekspozycja na potencjalny kryzys w Chinach jest zaskakująco niewielka.

Ile Stany Zjednoczone zainwestowały w Chinach? Inwestycje bezpośrednie w Chinach i Hongkongu wynoszą ok. 215 miliardów dol. Inwestycje portfelowe – głównie akcje i obligacje – to nieco ponad 300 miliardów dol. Łącznie mówimy więc o ok. 515 miliardach.

To może się wydawać sporą sumą, ale dla gospodarki tak dużej jak amerykańska jest to niewiele. Dla porównania weźmy amerykańskie nieruchomości komercyjne, zwłaszcza budynki biurowe, które stoją w obliczu trwałego spadku popytu ze względu na popularność pracy zdalnej. Otóż amerykańskie budynki biurowe są obecnie warte ok. 2,6 biliona dol. – czyli pięć razy więcej niż nasze łączne inwestycje w Chinach.

Dlaczego tak ogromna gospodarka przyciąga tak mało amerykańskich inwestycji? Zasadniczo, ponieważ biorąc pod uwagę arbitralność, nieprzewidywalność chińskiej polityki, wielu inwestorów obawia się, że kraj ten może być czymś w rodzaju pułapki na myszy: możesz wejść, ale niekoniecznie być w stanie się wydostać.

A co z Chinami jako rynkiem? Są ogromnym graczem w światowym handlu, ale nie kupują zbyt wiele od USA, tylko towary za 150 miliardów dol. w 2022 r., mniej niż 1 proc. naszego PKB, więc chińskie załamanie nie miałoby bezpośredniego wpływu na popyt na amerykańskie produkty. Efekt byłby większy w przypadku krajów, które sprzedają więcej do Chin, takich jak Niemcy i Japonia, a to pośrednio wpłynęłoby na Amerykę. Ogólny efekt byłby jednak nadal niewielki. Chiński kryzys może mieć nawet niewielki pozytywny wpływ na USA, ponieważ zmniejszyłby popyt na surowce, zwłaszcza ropę, co w rezultacie prawdopodobnie zmniejszyłoby inflację.

Nic z tego nie oznacza, że powinniśmy cieszyć się z kłopotów rywali. Nawet z czysto egoistycznego punktu widzenia powinniśmy martwić się o to, co chiński reżim może zrobić, aby odwrócić uwagę swoich obywateli od problemów wewnętrznych.

Pod względem ekonomicznym wydaje się jednak, że mamy do czynienia z potencjalnym kryzysem wewnątrz Chin, a nie globalnym wydarzeniem na miarę katastrofy z 2008 roku. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

© 2023 The New York Times Company

Paul Krugman jest laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, publicystą „NYT", profesorem Uniwersytetu Princeton i London School of Economics.

eprasa.pl 1f49962744

CARACAS WARSZAWIE

Media, samorządy, konstytucja, opozycja – krok po kroku Kaczyński powtarza wszystko, co robił Chávez

Krzysztof Jacek Hinz*

To było na początku 2007 roku. Zajmowałem stanowisko zastępcy dyrektora Departamentu Ameryki w MSZ. Mój gabinet, a właściwie kanciapa na 3. piętrze przy korytarzu między windami, tym tylko różnił się od pokoi koleżanek i kolegów, że był jednoosobowy, ale za to ze stolikiem dla gości. I właśnie przy nim usadowiłem chargé d'affaires ambasady Boliwariańskiej Republiki Wenezueli i towarzyszącego jej funkcjonariusza. Przedstawicielka Wenezueli była niezwykle podekscytowana. Chciała się ze mną bezpośrednio podzielić swoimi przemyśleniami.

– Ambasadorze, PiS jest w podobnej sytuacji jak nasz MVR [Ruch Piątej Republiki], boryka się z tym samym problemem.

Z przyklejonym uśmiechem i kiwając głową ze zrozumieniem, starałem się zachęcić ją do rozwinięcia tej myśli, chociaż porównanie wydało mi się nieco ryzykowne.

– To znaczy?

– No bo obie partie mają przeciwników, którzy drwią sobie z prawdziwego patriotyzmu; gotowi są sprzedać własną ojczyznę. Swoich mocodawców mają za granicą.

Pomyślałem, że właściwie słuszny wniosek wyciągnęła. I nie miałem wątpliwości, że chargé d'affaires poinformowała już w depeszy centralę w Caracas o powinowactwie obu partii rządzących. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, kiedy, spoglądając porozumiewawczo na kolegę z ambasady, dodała: – Przecież my wszyscy z MBR-200 jesteśmy patriotami. I dobrze wiemy, co to oznacza stawać w obronie ojczyzny i wartości narodowych.

Ana Margarita Pino Pasquier kilkakrotnie jeszcze posłużyła się tajemniczym skrótem MBR-200. Miałem wrażenie, że nawiązuje do jakiejś konspiracyjnej działalności. Konfidencjonalny ton zdawał się świadczyć, że chodzi o mit założycielski boliwariańskiej rewolucji. Skojarzyłem, że za tym skrótem kryje się Rewolucyjny Ruch Boliwariański-200, tak nazwany na cześć 200-lecia urodzin wenezuelskiego wyzwoliciela Ameryki Łacińskiej Simóna Bolívara.

Podpułkownik Hugo Chávez założył ten ruch w 1982 roku. W lutym 1992 członkowie tej mającej faktycznie konspiracyjny charakter organizacji podjęli nieudaną próbę zamachu stanu. W 1997 w miejsce MBR-200 utworzyli MVR, który zapewnił Chávezowi zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Organizacja ta stała się trzonem Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Wenezueli (PSUV).

Partyjni funkcjonariusze zaczęli zasilać nowe kadry na wszystkich szczeblach władzy. Ich kodem rozpoznawczym były skróty: MBR-200 lub MVR. Zastąpili również fachowców we wszystkich podległych państwu instytucjach gospodarczych.

W polskim MSZ, w odróżnieniu od wenezuelskiego, nie przeprowadzono jeszcze gruntownych czystek, co miało się stać dopiero po ponownym dojściu PiS do władzy w 2015 roku Na razie na wielu stanowiskach pozostawali jeszcze dyplomaci, którzy awansowali przed rządami PiS. Partia rządząca zapowiadała spóźnioną o co najmniej ćwierć wieku walkę z komunizmem, co wydało się nieco groteskowe, kiedy pani minister obwieściła, że będzie pełnić w MSZ funkcję komisarza, i poleciła dyrektorom przygotowywać „akta" i „przedakta" spraw.

Mimo wszystko mogłem mieć nadzieję, że uda mi się wyjechać do Wenezueli w charakterze ambasadora RP. I tak się stało. Pod koniec października 2007 wylądowałem w Caracas.

Rządy Cháveza zbiegły się z wyjątkową zwyżką cen ropy. Gigantyczne dochody uzyskiwane przez Wenezuelę pozwalały przeznaczać duże środki na programy pomocy społecznej. Przyczyniło się to do poprawy warunków życia najuboższych lub przynajmniej dało im nadzieję na lepsze jutro. Miliony Wenezuelczyków, którzy czuli się zepchnięci na margines życia politycznego, odzyskały poczucie, że ich problemy nie będą zamiatane pod dywan. Oraz poczucie tożsamości obywatelskiej i narodowej.

Eksperci już wówczas ostrzegali, że działania Cháveza miały jedynie doraźny, populistyczny charakter. Pompowanie pieniędzy stało się jedyną receptą na polepszenie warunków życia najuboższych, nie przyczyniało się do strukturalnej poprawy. To jednak miało okazać się dużo później, kiedy po załamaniu się cen ropy i zrujnowaniu gospodarki większość Wenezuelczyków znalazła się w strefie biedy lub skrajnego ubóstwa. Było ich o wiele więcej niż przed dojściem Cháveza do władzy.

Tymczasem zastanawiałem się, jak to możliwe, że przy takich sukcesach programów społecznych coraz niebezpieczniej jest chodzić po ulicach. Jak pogodzić przywracanie godności ludziom z lawinowym wzrostem przemocy.

Według oficjalnych statystyk, które przeciekły do prasy, w 2009 roku Caracas ze wskaźnikiem 230 zabójstw na 100 tysięcy mieszkańców stało się najbardziej niebezpiecznym miastem w Ameryce Łacińskiej. Bardziej niebezpiecznymi stolicami były jedynie Kabul i Bagdad, gdzie trwały operacje wojenne i dochodziło do zamachów. W odróżnieniu też od innych miast latynoamerykańskich w Caracas nie było dzielnic bezpiecznych. W dowolnych rejonach miasta dochodziło do napaści i porwań dla okupu.

Z uwagą śledziłem wielogodzinne przemówienia i monologi Cháveza. Nawoływał najuboższych do brania sprawiedliwości w swoje ręce. Przeciwstawiał biednych bogatym, zaszczuwał przedsiębiorców i dotychczasowe elity polityczne. Miał zupełnie niebywały repertuar epitetów, przywracał słowa zapomniane i wymyślał neologizmy. „Skamieliny, kundelki jankeskie, nieudacznicy, małe fasolki, idę po was" – grzmiał. Tłumy zwolenników nieustannie rechotały. Pośrednio nawoływał do przemocy, uzbrojeni w pistolety motocykliści-bojówkarze stali się postrachem przeciwników naczelnego wodza.

Równocześnie niebywale wzrosła ksenofobia. Wenezuela w XX wieku znana była jako kraj przyjazny emigrantom. Przyjęła tysiące uchodźców i migrantów zarobkowych z Hiszpanii, Włoch i Portugalii. Jeszcze na początku tego stulecia kilka milionów Wenezuelczyków miało europejskie korzenie, często w pierwszym lub drugim pokoleniu. Setki tysięcy miały paszporty państw Unii.

Kraj łączą również bezpośrednie związki z Bliskim Wschodem, bo przecież kilkaset tysięcy Wenezuelczyków ma korzenie syryjskie i libańskie. Setki tysięcy kolumbijskich uchodźców schroniły się tu przed konfliktem zbrojnym w Kolumbii. Wenezuela była przystanią dla tysięcy Żydów, którzy napłynęli głównie z Europy Środkowej, chroniąc się przed Holokaustem i prześladowaniami.

Niespodziewanie w kraju o tak długiej tradycji współżycia różnych grup etnicznych i kulturowych, zbudowanym w znacznym stopniu przez emigrantów, zaczęły się rwać więzy. Coraz częściej demonstrowała się niechęć do obcokrajowców.

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Izraelem niespodziewanie zaczęły się mnożyć akty antysemityzmu. Coraz więcej Żydów opuszczało przybraną ojczyznę. A za nimi setki tysięcy Wenezuelczyków o różnych korzeniach, którzy uciekali z powodu braku bezpieczeństwa i nieznośnych warunków życia. W ciągu ćwierć wieku rewolucyjnych rządów liczba ludności zmniejszyła się z 27 mln do co najwyżej 20 mln mieszkańców. Dokładnie ilu nie wiadomo, bo rząd przestał ujawniać dane.

Po powrocie PiS do władzy w 2015 roku obserwowałem, będąc już w Polsce, zjawiska podobne do tych z Wenezueli: turbopatriotyzm będący zarzewiem ksenofobii i przekonanie rządzącej formacji, że tylko ona reprezentuje wolę suwerena. Wspominałem słowa wenezuelskiej

eprasa.pl 1f49962744

FOT. AP

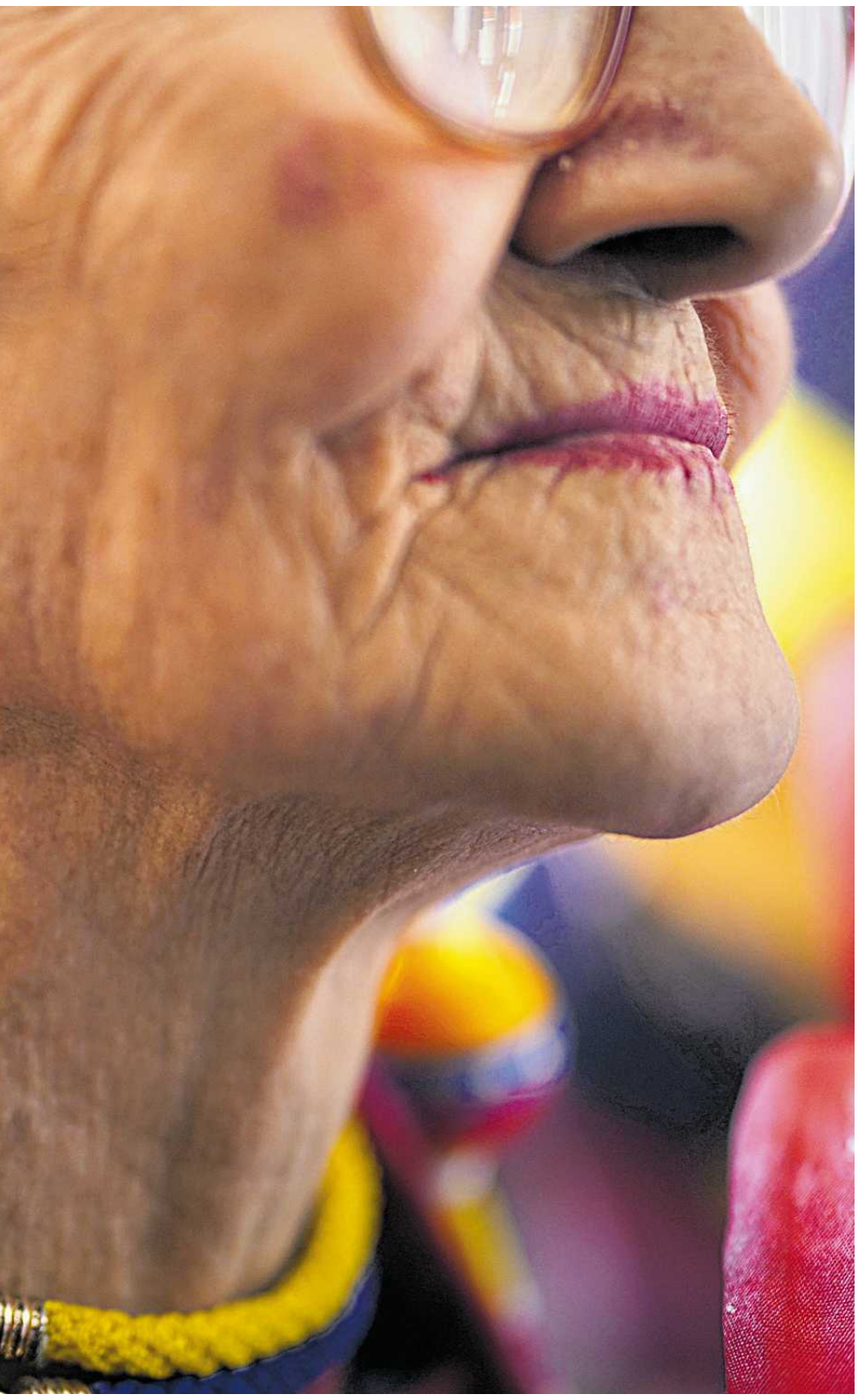

chargé d'affaires: – Jesteśmy w takiej samej sytuacji jak wy. Widziałem, jak przez osiem lat postępował proces niszczenia praworządności i stanowienia prawa na wyłączny użytek rządzących.

Na pierwszy rzut poszedł Trybunał Konstytucyjny i sądy. Dla mnie był to szok. Przecież widziałem w Wenezueli, jak krok po kroku Chávez podporządkowywał sobie wszystkie rodzaje władzy, poczynając od parlamentarnej i sądowniczej.

Kiedy nie udało się zmienić konstytucji na drodze referendum, wprowadzał zmiany tylnymi drzwiami. Łamanie konstytucji stało się codziennością, ale dokonywało się w sposób niedostrzeżony, wydawało się ciągle nie aż tak groźnym balansowaniem na granicy prawa. Eksperci rządowi wciąż znajdowali argumenty o dopuszczalności dokonywanych zmian, a głosy autorytetów prawniczych coraz trudniej przebijały się do opinii publicznej. Nie mogłem uwolnić się od natrętnej myśli, czy aby PiS nie czerpał z tych wzorów.

Podobnie jak Chávez Jarosław Kaczyński postawił sobie za cel całkowite podporządkowanie środków masowego przekazu. Nawet kiedy pozbawiona dostępu do telewizji kablowej co najmniej jedna czwarta społeczeństwa skazana została na oglądanie przekształconej w partyjną szczujnię telewizji publicznej, a gros prasy lokalnej przejął Orlen, prezes PiS wciąż mówił o monopolu prywatnych środków masowego przekazu. Równie niedorzecznie brzmiały zarzuty Chávez, kiedy wszystkie wenezuelskie rozgłośnie i kanały o dowolnej porze dnia i nocy musiały przerywać audycje, żeby nadać program specjalny z udziałem prezydenta, rozpoczynający się zawsze od hymnu narodowego. Reżim odbierał prywatnym mediom koncesje, pozbawiał przydziałów dolarów po oficjalnym kursie, zmuszając do zakupów towarów i usług po horrendalnych cenach wolnorynkowych, lub po prostu je wykupywał.

Masowe demonstracje w wielu miastach nie przyniosły żadnego skutku. W miejsce przejętej najstarszej korporacji radiowo-telewizyjnej RCTV, która słynęła z produkcji hipnotyzujących widzów telenowel, Chávez utworzył telewizję rządową i nadal toczył bój z „monopolem" prywatnych mediów. Po kilkunastu latach nie było już żadnych niezależnych rozgłośni telewizyjnych, radiowych, tytułów prasowych ani portali internetowych.

Skojarzenia z Polską może wywoływać również sposób organizowania wyborów. Za życia Cháveza obserwatorzy nie doszukali się fałszerstw, ale trudno mówić o uczciwości wyborów w sytuacji, gdy obóz rządzący ciągle majstrował przy wytyczaniu okręgów wyborczych. Nie krępował się też ograniczeniami budżetowymi czy czasem antenowym. Mało tego, korzystając z pieniędzy podatników, prowadził kampanię wyborczą non stop. Organizowane co najmniej raz do roku różnego rodzaju wybory (prezydenckie, parlamentarne, samorządowe, uzupełniające) czy referenda (konstytucyjne i odwoławcze) stały się demokratyczną legitymizacją jego rządów. Antagonizując społeczeństwo i uzasadniając konieczność zmian, zapewniały perpetuum mobile władzy.

Podobnie jak w Polsce w Wenezueli rządząca partia karała należące do opozycji władze samorządowe, przydzielając im o wiele mniejsze dotacje niż samorządom Chávistowskim. Ale Chávez poszedł jeszcze dalej. Tak zwana demokracja partycypacyjna polegała na tworzeniu nowych, oddolnych struktur władzy samorządowej (rady komunalne, komuny, miasta komunalne itd.), równoległych do już istniejących struktur.

W Wenezueli powstała nowa, skorumpowana kasta rządzących – boliwariańska burżuazja, boliburguesía. Wzbogacili się dzięki posadom w spółkach państwowych, nacjonalizacji kluczowych sektorów gospodarki, przejmowaniu banków i handlowi narkotykami. Nie wstydzą się swoich fortun, bo – według nich – to nic wobec tego, co dają suwerenowi. Podobne samozadowolenie cechuje w Polsce pisokrację – nową elitę rządzących kolesiów, z których wielu stało się milionerami.

Przecierałem oczy ze zdumienia, kiedy PiS ogłosił zamiar utworzenia komisji do spraw badania wpływów rosyjskich. Zgodnie z pierwotnym założeniem komisja mogłaby pozbawiać arbitralnie wskazanych „agentów wpływów" możliwości zajmowania stanowisk publicznych. Dokładnie w taki sposób w Wenezueli wielu przywódców opozycji pozbawiono na 5-10 lat biernych praw wyborczych. Tylko że tam reżim znalazł inne preteksty, najczęściej finansowe, a orzeczenia wydawała Rada Moralna Republiki – umocowany w konstytucji organ, w którego skład wchodzą obrońca narodu (rzecznik praw obywatelskich), prokurator generalny i kontroler generalny republiki (szef NIK).

Odrzucając jakąkolwiek krytykę ze strony społeczności międzynarodowej, Wenezuela praktycznie zerwała z łączącą wszystkie kraje półkuli zachodniej Organizacją Państw Amerykańskich i wypowiedziała amerykańską konwencję praw człowieka. Ale OPA i tak jest w zasadzie tylko forum konsultacji politycznych. Nie nakłada, tak jak UE, gorsetu zależności gospodarczych i politycznych na wszystkie państwa, które zgodziły się respektować jej zasady. Unia potrafi skutecznie ograniczać możliwości łamania zasad demokracji przez państwa członkowskie.

Jednym z ostatnich aktów tej kampanii było w czerwcu wezwanie wygłoszone przez Antoniego Macierewicza do natychmiastowej likwidacji Komisji Europejskiej. To musiało wprawić w zachwyt Putina, bo przecież rozbicie Unii jest strategicznym celem Kremla. Najbardziej proputinowski troll by się takiej wrzutki nie powstydził.

Dziwi nieco, że rządząca formacja nie chciała zabiegać o unijne środki na Krajowy Plan Odbudowy i Zwiększania Odporności. Mogło się to przecież stać narzędziem jej jeszcze większej dominacji. Być może zniechęcił ją mechanizm nadzorowania przez UE sposobu wykorzystania środków.

Jeśli w październiku PiS zwycięży, opozycja przestanie się liczyć i jedynym przeciwnikiem Kaczyńskiego będzie już tylko UE. Pod koniec obecnej unijnej perspektywy budżetowej, czyli w 2027 roku, Polska prawdopodobnie nie będzie już beneficjentem, lecz płatnikiem netto do budżetu unijnego. I wówczas nadejdzie upragniony przez prezesa PiS, Suwerenną Polskę i przywódców Konfederacji moment na ogłoszenie polexitu. Pod który grunt przygotowują bombardowaniem kłamliwą propagandą.

Ale w największe osłupienie wprawiło mnie pismo skierowane w 2017 roku do MSZ przez Ministerstwo Obrony Narodowej, którym kierował Macierewicz. Departament wojskowych spraw zagranicznych poinformował, że rozważa możliwość otwarcia attachatu wojskowego w Caracas i poprosił Departament Ameryki MSZ o opinię w tej sprawie. Myślałem, że śnię.

Trudno mi było uwierzyć, że pomysł ten był skutkiem aż tak daleko idącej ignorancji. Nawet dla niezbyt uważnych obserwatorów spraw międzynarodowych było oczywiste, że Wenezuela znajdowała się po drugiej stronie barykady. Należała już w pełni do strefy wpływów Rosji. Od ponad dekady obowiązywało embargo USA na dostawy broni i sprzętu wojskowego dla Wenezueli. Nie było więc możliwości prowadzenia jakichkolwiek wojskowych transakcji handlowych bez zaognienia stosunków z Waszyngtonem. Niektóre państwa unijne zamknęły wcześniej ambasady w Caracas, inne nosiły się z takim zamiarem lub ograniczyły kontakty dyplomatyczne. Jeszcze inne przysyłały tzw. dyplomatów na dorobku, bo tych najbardziej wytrawnych odstraszała niemożność realizacji większości celów, ryzyko i trudne warunki pracy.

Niezwykły był również moment, w którym MON snuł plany zacieśnienia współpracy wojskowej z Boliwariańską Republiką Wenezueli. Reżim następcy Cháveza Nicolása Maduro organizował właśnie wybo-

> Osłupiałem, widząc pismo, w którym kierowane przez Antoniego Macierewicza Ministerstwo Obrony Narodowej informuje MSZ, że rozważa możliwość otwarcia attachatu wojskowego w Wenezueli objętej embargiem Waszyngtonu

Dlatego jest główną przeszkodą na drodze do pełnego autorytaryzmu. I dlatego PiS nie spocznie, dopóki nie wyprowadzi naszego kraju z UE, niezależnie od tego, jakim poparciem cieszy się obecnie Unia w polskim społeczeństwie. Stąd też ciągła propaganda antyunijna i dążenie do zohydzania instytucji unijnych w oczach wyborców.

eprasa.pl 1f49962744

ry do Konstytuanty, których celem było całkowite wyeliminowanie opozycji. Trybu organizacji wyborów i wyników głosowania 30 lipca 2017 roku nie uznał cały zachodni świat.

W odpowiedzi na pismo z MON przedstawiłem argumenty mające zniechęcić do otwarcia attachatu. Przypisywałem sobie nawet zasługę, że moja opinia doprowadziła do zarzucenia tego planu. Dosyć naiwnie, bo MON zrezygnował z attachatu, ale w 2018 roku nosił się nadal z zamiarem wystąpienia o dodatkową akredytację w Caracas dla attaché wojskowego, morskiego i lotniczego przy ambasadzie RP w Meksyku.

Może te plany świadczyły o ignorancji ich pomysłodawcy. Podejrzewam jednak, że wynikało to raczej z całkowitego niezrozumienia zasad prowadzenia polityki zagranicznej, jeśli oczywiście wykluczyć inną, o wiele gorszą wersję.

Relacje z państwem, które nie przestrzega prawa i zasad praworządności, wymagają szczególnego podejścia. Oprócz tradycyjnych obszarów współpracy konieczne jest podejmowanie działań sprzyjających przywróceniu demokracji. Służą temu naciski dyplomatyczne, próby podejmowania dialogu i mediacji, a także budowanie koalicji z tzw. like-minded countries, czyli państwami zajmującymi podobne stanowisko. Kiedy to zawodzi, pozostają sankcje i izolowanie reżimu na arenie międzynarodowej.

Zadziwiające, że im bardziej grzęźliśmy w koleinach autorytaryzmu, tym bardziej pryncypialne stanowisko zajmowaliśmy wobec Wenezueli czy Kuby, wychodząc nawet często przed szereg państw unijnych. Niezależnym obserwatorom nasuwa się pytanie, jakie prawo ma Polska do takiego mentorstwa.

Nie ma sensu porównywać sytuacji w Polsce i Wenezueli, która po ćwierć wieku rządów chávistów jest państwem, jeśli jeszcze nie upadłym, to całkowicie dysfunkcyjnym, w którym trudno odróżnić kryminalistów od strażników bezpieczeństwa, handlarzy narkotyków od funkcjonariuszy państwowych i dowódców wojskowych. Cała gospodarka, w tym przemysł naftowy, jest zrujnowana. Kraj jest niewypłacalny. Ubóstwo wzrosło do nieznanych rozmiarów. Większość towarów i usług jest niedostępna.

Taki los nam nie grozi. Bliżej nam raczej do Węgier, chociaż nie jest to zbyt dużym pocieszeniem. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby polski naczelnik kierował się wzorami wenezuelskimi. Ale nieoczekiwane zbieżności między wenezuelską i polską drogą do autorytaryzmu są zatrważające. Być może tak wygląda sekwencja zdarzeń prowadzących do upadku demokracji.

Szczególnie niepokoi postępujące powoli i niepostrzeżenie ograniczanie rewirów wolności. Na końcu tej drogi wezwania do przestrzegania konstytucji na nikim już nie robią wrażenia, uznawane są wręcz za niepotrzebne zawodzenie. Jest naturalną koleją rzeczy, że z upływem lat przeciwnicy rządu tracą wiarę w swą sprawczość, postępuje proces dyspersji, aż w końcu opozycja może przestać istnieć. W Wenezueli opozycja stawała się stopniowo częścią systemu, korumpując się politycznie lub finansowo i tracąc w rezultacie zaufanie.

Trudno uchwycić moment, w którym definitywnie nastaje noc. Ostatnie przebłyski dnia można odnajdywać jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. Jeśli prześpimy ten najważniejszy moment, obudzimy się w końcu w Wenezueli. ●

*Krzysztof Jacek Hinz

• ur. w 1955 r., iberysta, dziennikarz, dyplomata. W latach 2001-05 ambasador w Brazylii, 2007-12 w Wenezueli. Był korespondentem PAP w Hawanie i Meksyku, współpracował z „Wyborczą", „Polityką", Radiem Wolna Europa i meksykańską telewizją Televisa, kierował działem zagranicznym meksykańskiego miesięcznika „GenteSur". Autor książki „Kuba. Syndrom wyspy"

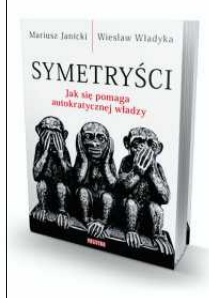

„Symetryści. Jak się pomaga autokratycznej władzy". Książka Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

Tam również **„Gorączka złota. Jak upadała Wenezuela"** słynnego reportera Tomáša Forró

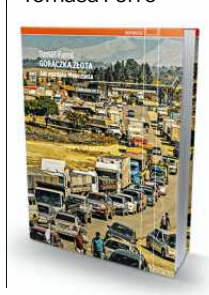

Rykoszet

„Ja to grunt, mówi Donald Bławatek. A polski naród? To dodatek" – oto próbka sejmowej poezji posła sześciu kadencji.

Michał Rusinek

Zgodnie z regulaminem polskiego Sejmu posłanki i posłowie pod koniec każdego dnia obrad mogą wygłaszać tzw. oświadczenia poselskie, poza porządkiem. Jest to swego rodzaju speakers' corner, tyle że nie w Hyde Parku: każdy i każda może tam powiedzieć, co zechce, wyłącznie we własnym imieniu, byle wypowiedź nie przekraczała pięciu minut.

●

Oświadczenia przybierają różne formy publicystyczne, a nawet literackie. Zdarzają się więc wspomnienia, apologie, sentencje, aforyzmy i – wiersze. Miłośnikiem tych ostatnich jest poseł sześciu kadencji Szymon Giżyński (nie mylić z posłem Zbigniewem Girzyńskim), obecnie sekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, niegdyś w Ministerstwie Rolnictwa i Wsi; były pełnomocnik rządu do spraw afrykańskiego pomoru świń i były wojewoda częstochowski, z wykształcenia – polonista.

●

Połączenie Częstochowy z namiętnością do pisania utworów rymowanych zwykle źle rokuje. Poseł Giżyński musi mieć tego świadomość, więc w ramach rzeczonych oświadczeń rzadziej prezentuje teksty własne, częściej parafrazy, parodie lub pastisze. Dokonuje trawestacji utworów cudzych, np. Gałczyńskiego, Kulmowej, Tuwima, Ginczanki. Czasami nazywa je oryginalnie „stopklatkami": „Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Stopklatka pierwsza: Kłopot z listą wyborczą opozycji totalnej: w tym ambaras, żeby pięcioro chciało naraz". Giżyński jest posłem Prawa i Sprawiedliwości, więc opozycja musi być dla niego „totalna" i aż dziw, że nie wykorzystał rymotwórczego potencjału tego przymiotnika. Dziw też, że trawestując fragment „Słówek" Tadeusza Boya-Żeleńskiego, nie dostrzegł rytmu oryginalnego dystychu: „Bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz" (tetrapodia trocheiczna). O ileż lepiej byłoby powiedzieć: „Bo w tym cały jest ambaras, by pięcioro chciało naraz".

●

„Stopklatka druga: Ja to grunt, mówi Donald Bławatek. A polski naród? To dodatek". W tym przypadku mamy raczej do czynienia z własną twórczością i własnym, dość pieszczotliwym jak na polityka PiS, przydomkiem przewodniczącego PO: mógłby być przecież „gagatkiem", rymowałby się tak samo. „Donald Bławatek, wielki pan, krzyknął zwierzętom: »Mam was tam!«. A na to się odezwał jeż: »Przepraszam bardzo, i mnie też?«". To o tyle ryzykowna parafraza fraszki Jana Izydora Sztaudyngera, że w oryginale jest „misio marszałek". Nie wiem, czy miał tego świadomość marszałek Ryszard Terlecki, ale za to wiem, że przynajmniej liczba sylab się zgadza i rytm się nie posypał. W innej „stopklatce" dostało się Platformie: „Gdyby PO wdrażała swój program, pisany nocami, nosilibyśmy spodnie z jedną nogawką, a marynarki z trzema rękawami". To tym razem parafraza fraszki Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Na polskie dramatopisarstwo": „Gdyby krawiec tak szył (ach, Boże, zbaw go!),/ jak tamci piszą czasami,/ nosilibyśmy spodnie z jedną nogawką,/ a marynarki z trzema rękawami". Praca po nocach to jednak domena posłów i posłanek PiS, więc satyryczny pocisk ciśnięty dłonią pana posła trafił rykoszetem w prawą część sali sejmowej.

●

Krytykując Różę Thun, Giżyński posłużył się parafrazą wiersza Joanny Kulmowej „Róża", która w oryginale służy ludowi (Róża Luksemburg?), a u pana posła: „Europejskiej Unii służąc wiernie/ postanowiła stępić dla niej ciernie,/ atoli na dalszych tępoty etapach/ postradała kompletnie barwę, kształt i zapach,/ co równa się unicestwieniu róży./ Tak to jest, gdy się tępo czemuś służy". Tu trzeba przyznać, że parafraza jest pod względem rytmicznym bardziej regularna niż oryginał, czego już nie można powiedzieć o rozmowie Ryszarda Petru z Grzegorzem Schetyną, inspirowanej Mickiewiczem i Gałczyńskim: „Ryszard dziękuje, Grzegorz odpowie:/ »Nie dziękuj, bo z braku laku,/ pierwszy bym pałkę strzaskał na twej głowie,/ gdybyś miał głowę, kociaku«". A także gdy Giżyński, „zapożyczając się u wieszcza i sięgając po oręż obrzędowych inkantacji", podważa wiarygodność słów posła Krzysztofa Brejzy: „Niech spłynie czar na tę izdebkę:/ wprawimy Brejzie piątą klepkę". Należy natomiast docenić śmiałe zdrobnienie Izby, w dodatku Wysokiej.

●

Jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej pan poseł bezpardonowo te rządy krytykował, na przykład poddając „nieznacznej dekonstrukcji" wiersz Juliana Tuwima „Wszyscy dla wszystkich": „Krawiec domy muruje,/ murarz szyje ubrania,/ ale gdzieżby co uszył,/ gdyby nie miał mieszkania./ A i krawiec by przecie/ na robotę nie ruszył,/ gdyby murarz mu spodni/ i fartucha nie uszył./ Szewc powinien mieć buty,/ do piekarza iść trzeba./ No a gdyby nie szewc – piekarz byłby bez chleba./ Tak dla wspólnej korzyści/ i dla dobra wspólnego,/ wszyscy muszą spróbować/ chleba ministerialnego". To nie tyle „nieznaczna dekonstrukcja", ile dość toporna przeróbka, nie dosyć, że niezachowująca stosownej liczby sylab, to jeszcze z dzisiejszej perspektywy brzmiąca wysoce aktualnie. Znów więc rykoszet, choć tym razem z opóźnieniem.

●

Bywało, że Szymon Giżyński posługiwał się w swoich oświadczeniach poselskich nie wierszem, lecz kwiecistą prozą: „Salvador Dalí uważał, iż od rzeźby można wymagać przynajmniej tego, żeby się nie ruszała. Szkoda, że nie można pań posłanek z Nowoczesnej pana Petru, choćby na czas sesji Sejmu, zamienić w rzeźby. Bo z jednej strony nic by nie mówiły, z drugiej zaś – są godne dłuta największych mistrzów: Gianlorenza Berniniego, Antonia Canovy czy Étienne'a Maurice'a Falconeta". Czyli, innymi słowy, pan poseł uważa, że kobiety z partii opozycyjnej („partia" i „Nowoczesna" są rodzaju żeńskiego, więc trzeba było dodać, że jej liderem jest „pan") powinny milczeć, i sprowadza je wyłącznie do funkcji estetycznej, sugerując, że mają piękne ciała. Oto przykład, jak uprawiać bezczelny seksizm, lukrując go warstewką wątpliwej jakości erudycji rodem z Wikipedii.

●

Głównym bohaterem negatywnym w twórczości posła Giżyńskiego jest ostatnio oczywiście Donald Tusk. Do ataków na niego pan poseł werbuje Jana Brzechwę („Łopuch i kwiaty"): „Przemówienie wyborcze Donalda Tuska: »Wszystkich zachwyca, że kwiaty rosną, że kwiaty pachną, że kwiaty kwitną. Czemu Polacy kwiatów nie wytną? Ja tylko wtedy jestem szczęśliwy, kiedy dokoła widzę pokrzywy, osty, łopiany i zielsko dzikie, rzucam na kwiaty ekskomunikę«. Stał Tusk w ogrodzie zły i wyniosły, a kwiaty kwitły, a kwiaty rosły". Werbuje także Aleksandra Fredrę: „Od powietrza, ognia, wojny i od tego człowieka, co się Niemcom nisko kłania, niech nas zawsze Bóg obrania". Trzeba przyznać, że mamy tu do czynienia z dobrze nam znaną retoryką PiS w pigułce, w dodatku pigułce rymowanej, więc łatwiejszej do przełknięcia. Niesmak i poczucie zażenowania są jednak takie same.

●

Tuskowi poświęcił Giżyński także „apoteozy", z których jedna była twórczością własną: „W niemieckiej i ruskiej wierze te same klepie pacierze", a druga, w której zwraca się bezpośrednio do przewodniczącego PO – parafrazą fraszki Mariana Hemara: „Dwie są rzeczy, które czynią z pana typ społeczny o wartości wzoru: brak poczucia własnego komizmu, brak poczucia cudzego humoru". Słusznie, że to parafraza zaledwie fragmentu fraszki „Na jednego naczelnika", bo wiersz rozpoczyna się słowami: „Rada, swada, elokwencja,/ temu kadź, tamtymi trzęś./ Niby – szara eminencja./ W gruncie rzeczy – szara gęś". Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że wcale nie chodziło panu posłowi o Tuska, a i sam „naczelnik" mógłby się rozsierdzić. Jedno jest natomiast pewne: wspomniany brak poczucia własnego komizmu i brak poczucia cudzego humoru doskonale charakteryzują posła Szymona Giżyńskiego. Dodajmy do nich także brak poczucia niestosowności wykorzystywania wysokiej literatury do niskich celów. ●

Już w księgarniach i na Publio.pl zbiór felietonów Michała Rusinka **„Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy"**, wyd. Znak

1 RP

eprasa.pl 1f49962744

Czy możemy tak zmienić rozmowę, żeby uwzględnić w niej wyborców PiS, ale wykluczyć język nienawiści

Jesteśmy na granicy WOJNY DOMOWEJ

Igrzyska Wolności – największy festiwal idei w Europie Środkowo-Wschodniej. Organizują je Błażej Lenkowski, prezes zarządu Fundacji Liberté!, i Leszek Jażdżewski, redaktor naczelny czasopisma „Liberté!", członek rady programowej Europejskiego Forum Nowych Idei.

Katarzyna Stefańska: To dziesiąta edycja Igrzysk Wolności pod hasłem „Punkt zwrotny". Mówicie: „Ten punkt zwrotny jest tu i teraz".

BŁAŻEJ LENKOWSKI: Dla wielu środowisk, które od lat domagają się czy też lobbują za określonymi ideami i za pewną zmianą w Polsce, punktem zwrotnym będą najbliższe miesiące. Okaże się, czy będziemy dalej tkwili w systemie coraz bardziej oligarchicznym i coraz bardziej scentralizowanym, czy też te idee dla nas istotne zostaną wprowadzone.

Jakie zmiany są najbardziej potrzebne?

LESZEK JAŻDŻEWSKI: Polska znalazła się – z własnej woli – na marginesie debaty europejskiej, a jednocześnie w centrum wojny w Ukrainie. I to jest potencjalnie bardzo niebezpieczna sytuacja, bo nie wiemy, jak agresja Rosji będzie się rozwijać. I w jak dużym stopniu po wyborach w Stanach Zjednoczonych będziemy mogli liczyć na wsparcie amerykańskie.

Jednocześnie mamy unikalną szansę jako wschodni Europejczycy. To nie dotyczy tylko Polski, ale całego naszego regionu, który był w jakimś sensie niemy po wejściu do Unii Europejskiej. Dzisiaj nasz region widać i słychać. Po raz pierwszy możemy nie tylko być odbiorcami decyzji największych mocarstw i próbować na nie wpływać, ale sami też możemy narzucać ton w kluczowych, strategicznych sprawach dla przyszłości i bezpieczeństwa Europy.

I to jest dla nas niezbędne z racji bezpieczeństwa i niepodległości Polski. Zaniechanie tego czy wręcz konfliktowanie się z największymi graczami albo niewykorzystywanie tej szansy, która zdarza się raz na pokolenie, jest absurdem.

Natomiast to, co PiS zrobił z debatą publiczną, oznacza, że bardzo ciężko jest prowadzić taką rozmowę na serio w poczuciu, że – po pierwsze – nikt nie słucha środowisk pozarządowych, a po drugie – zagrożenia demokracji są tak wielkie, że bardzo trudno jest myśleć o tym, co będzie za 10 czy 20 lat.

Przygotowujemy serię raportów, które będą propozycją dla nowej władzy, miejmy nadzieję, że będą mieli okazję wcielić je życie. Będzie tam mowa o różnych obszarach: transformacji energetycznej i odejściu od węgla, o zeświecczeniu usług państwowych, o profesjonalnym zarządzaniu i prywatyzacji spółek skarbu państwa. Myślę, że każdy, kto widział, co Orlen zrobił choćby z prasą, ma świadomość tych wyzwań. O tym wszystkim będziemy dyskutować podczas Igrzysk.

Jak zatem prowadzić rozmowę, by być słyszanym?

L.J.: To bardzo duży problem, bo jesteśmy ubańkowieni nawet w ramach niepisowskiej strony debaty. Jest bańka lewicowa, koderska, jest i bańka symetrystów.

Myślę, że sukcesem Igrzysk Wolności jest to, że stworzyliśmy szeroką platformę do wyrażenia bardzo różnych, wcale nie tylko zbieżnych z naszymi, poglądów. Wszystkie debaty IW będą transmitowane w internecie, w social mediach, udostępniane są przez naszych partnerów. W ten sposób możemy te bańki przebijać.

Poza tym nasi paneliści i panelistki to osoby od lewicy przez liberałów po umiarkowanych konserwatystów, wszyscy ci, którzy szanują państwo prawa. Staramy się, by Igrzyska były skierowane do osób z genem aktywizmu, organizacji pozarządowych, think tanków, ludzi, którzy działają i chcą zmieniać rzeczywistość.

Wydaje mi się, że przy wszystkich ograniczeniach – bo przecież nie jesteśmy ekspertami w każdym obszarze obecnym na Igrzyskach – jako Liberté! mamy pewną przewagę konkurencyjną. To umiejętność wytwarzania emocji w ramach debaty intelektualnej, w której na równych prawach uczestniczą zarówno ojcowie i matki polskiej transformacji, jak i cała grupa 40-, 30- czy 20-latków.

Jane Goodall mówiła podczas zeszłorocznych IW, że wierzy w to, że planetę można jeszcze uratować, ale musimy zacząć współpracować. Tylko czy my potrafimy jeszcze współpracować?

B.L.: Jeśli miałbym określić największy problem środowisk opozycyjnych ostatnich 8-9 lat, to byłby nim u liderów brak zrozumienia, że trzeba przede wszystkim łączyć, budować zespoły, wspólnotę, a nie tylko patrzeć na siebie. Czasem egocentryzm i chęć bycia numerem jeden należy odłożyć na bok i współpracować mimo różnic. Po stronie opozycyjnej musimy przejść mentalną ewolucję, by osiągnąć sukces.

> Czasem egocentryzm i chęć bycia numerem jeden należy odłożyć na bok i współpracować mimo różnic

L.J.: Współpraca jest możliwa wtedy, gdy mamy poczucie wspólnej tożsamości – wspólnoty losu, jaką jest naród. Ale też wspólnej przyszłości. Co powoduje konieczność ułożenia się w ramach tej wspólnoty. Ale jeśli zamiast mocnego spoiwa jest poczucie, że drugą stronę możemy wykończyć, wygrać z nią i w jakimś sensie upokorzyć, to wówczas żadnej współpracy być nie może. To jest klimat zimnej, a potencjalnie gorącej wojny domowej.

Jesteśmy w sytuacji, w której zadajemy sobie pytanie, czy jesteśmy w stanie ponad głosami pisowskiej szczujni w TVP i partii rządzącej (ale i Konfederacji), której wizją na utrwalanie władzy jest czynienie wrogów z przeciwników politycznych, porozmawiać bezpośrednio z popierającymi ich Polakami. Którzy wcale nie muszą tych poglądów w stu procentach podzielać, ale mają wiele powodów, żeby głosować na PiS: podniesienie standardu jakości życia, poczucie dowartościowania ich światopoglądu. Także tego, że tamta strona potrafi dobrze grać tymi wspólnotowymi, tradycyjnymi emocjami, mówić o patriotyzmie. Tylko ta wspólnotowość została zawłaszczona i wielu z niej wykluczają. Tutaj nie może być kompromisu, to nie jest sprawa, do której można z nimi usiąść i spotkać się w pół drogi.

Jest pytanie, czy możemy tak zmienić rozmowę na temat tej wspólnoty, żeby uwzględnić w niej wyborców PiS, ale wykluczyć ten język, który powoduje, że jesteśmy na granicy wojny domowej, mając prawdziwą wojnę u granic Ukrainy, naszego najbliższego sąsiada.

Co byłoby potrzebne do zjednoczenia ponad podziałami?

B.L.: Na pewno musiałaby się pojawić inna narracja łącząca. Mam wrażenie, że będąc w tych naszych bańkach, za rzadko patrzymy na poglądy ludzi, którzy nie żyją polityką i debatą publiczną. Uważam, że dużo częściej trzeba ich słuchać – ich problemów, trosk, tego, co jest dla nich ważne. I na tej podstawie budować wspólnotę, bo jeśli będziemy to robić tylko na wyobrażeniach klasy zaangażowanej w spór polityczny, nic się nie zmieni.

L.J.: To, co my możemy robić, to starać się przekonywać osoby, do których mamy dostęp – z większymi zasięgami i możliwościami oddziaływania – żeby próbować w trochę inny sposób prowadzić tę opowieść. Osoby niefunkcjonujące w kontekście czysto politycznym – influencerzy z Instagrama, youtuberzy czy aktorzy – które niekoniecznie są zadeklarowanymi wojownikami przeciwko PiS, ale mówią wprost o swoich troskach i problemach. Najlepiej wyjeżdżając z Warszawy.

To jest też, myślę, fajna rzecz, że my robimy Igrzyska Wolności w Łodzi. Co widać na wielu zdjęciach – prawdziwe miasto, nie wymuskany świat ze stali i szkła. W tym sensie Łódź ma dużo bliższy kontakt z Polską powiatową, bo to jest miasto z problemami, których wiele przezwyciężyło, ale nie wszystkie.

Przyjeżdża też tu wiele osób spoza Warszawy, spoza bańki. To jest chyba największa rola, żeby przekłuwać te balony i naprowadzać tę rozmowę na coś, co może być konstruktywne. I być może w jakiejś szerszej perspektywie, pewnie nie w czasie kampanii wyborczej, ale z myślą o przyszłości, tkać nici porozumienia.

Lista prelegentów tegorocznych Igrzysk jest ogromna: intelektualiści, twórcy kultury, dziennikarze, pisarze. Co dla was będzie szczególnie interesujące?

B.L.: Na pewno spotkanie z Markiem Galeottim, intelektualistą, który pisze o Rosji, Putinie i jego początkach.

Polecam też spotkanie z prof. Deirdre McCloskey, która stara się w dzisiejszym świecie bronić wartości związanych z wolnym rynkiem i kapitalizmem. A jednocześnie jest osobą transpłciową, której bardzo bliskie są również progresywne wartości związane z tolerancją i prawami LGBT. To połączenie ideowe będzie interesujące zarówno dla ludzi lewicy, liberałów, jak i libertarian. Wszystkie strony mogą się wiele nauczyć, przede wszystkim wzajemnej wrażliwości i otwartości.

L.J.: Ciekawy będzie wątek ukraiński i najbardziej topowe nazwiska: Jarosław Hrycak czy Oksana Zabużko. A także dyskusja o źródłach odporności Ukrainy z udziałem ekspertek ukraińskich organizowana przez Fundację Batorego.

Osobiście lubię uczucie, które towarzyszy mi na Igrzyskach, trochę jak na festiwalu muzycznym: jadę na trzech headlinerów, a przy okazji odkrywam zespoły, których wcześniej nie słuchałem.

W kontekście Igrzysk to np. rozmowa o odpowiedzialnym rodzicielstwie, prawach najmłodszych obywateli – z Instytutem Praw Dziecka im. Janusza Korczaka, czy dyskusja o etyce rządzenia, animowana na podstawie jednego z naszych raportów przez Magdalenę M. Baran z udziałem istotnych polityków opozycji. Ich zainteresowanie świadczy, mam nadzieję, o pewnej potrzebie odnowy moralnej standardów życia publicznego wśród partii opozycyjnych. Nie wspomnę już o rozmowie z udziałem Jarka Kurskiego o przyszłości wolnych mediów w Polsce.

To jest niezwykłe doświadczenie – poczucia mocy wynikającej z faktu, że nie jesteśmy sami, że to, co robimy, kogoś interesuje. Mam takie wrażenie, że czasem to jest nawet ważniejsze niż konkretny postulat, jaki zostaje poruszony. To jest to poczucie, że zmiana jest możliwa, że jest nas wielu. Że może być lepiej, może być inaczej i że jest na to pewien pomysł. To dodaje energii na wiele tygodni do przodu. Nie tylko nam, organizatorom, ale myślę, że też wszystkim uczestniczkom i uczestnikom. ●

Rozmawiała Katarzyna Stefańska

IGRZYSKA WOLNOŚCI

Za dwa tygodnie dowiemy się, co dalej

• Siedem scen i niemal 500 prelegentów, z tak gorącymi nazwiskami jak **Jonathan Littell** czy **Anne Applebaum** – największy festiwal idei w Europie Środkowo-Wschodniej odbędzie się w łódzkim Centrum Nauki i Techniki EC1 między 15 a 17 września. Hasłem 10. edycji Igrzysk Wolności jest „Punkt zwrotny", bo – jak mówią organizatorzy – właśnie on „zbliża się dla całego regionu, demokracji, praworządności oraz modelu kapitalizmu". A zawiera się w nim wiele: nadchodzące wybory, wojna w Ukrainie czy kryzys klimatyczny i ekonomiczny.

• Do Łodzi zjeżdżają intelektualiści ze świata nauki, kultury, polityki i biznesu. **Mark Galeotti**, czołowy ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa, opowie o Putinie i przyszłości geopolityki. Ekonomistka prof. **Deirdre Nansen McCloskey** o tym, jak przekonać ludzi do wolnego rynku. **Michael Ignatieff** wskaże głównych wrogów wolności. **Anne Applebaum** zastanowi się, czy środek ciężkości Unii przesuwa się na wschód i co dalej z sojuszem transatlantyckim. Spotkamy się również – między innymi – z najważniejszą literacką rzeczniczką Ukrainy **Oksaną Zabużko** i z **Jarosławem Kurskim**, autorem najgłośniejszej tegorocznej książki biograficzno-historyczno-eseistycznej „Dziady i dybuki". Zapraszamy!

Joanna Żarnoch-Chudzińska
redaktor naczelna „Gazety Wyborczej Łódź"

eprasa.pl 1f49962744

ILUSTRACJA BARTOSZ T. WIELIŃSKI

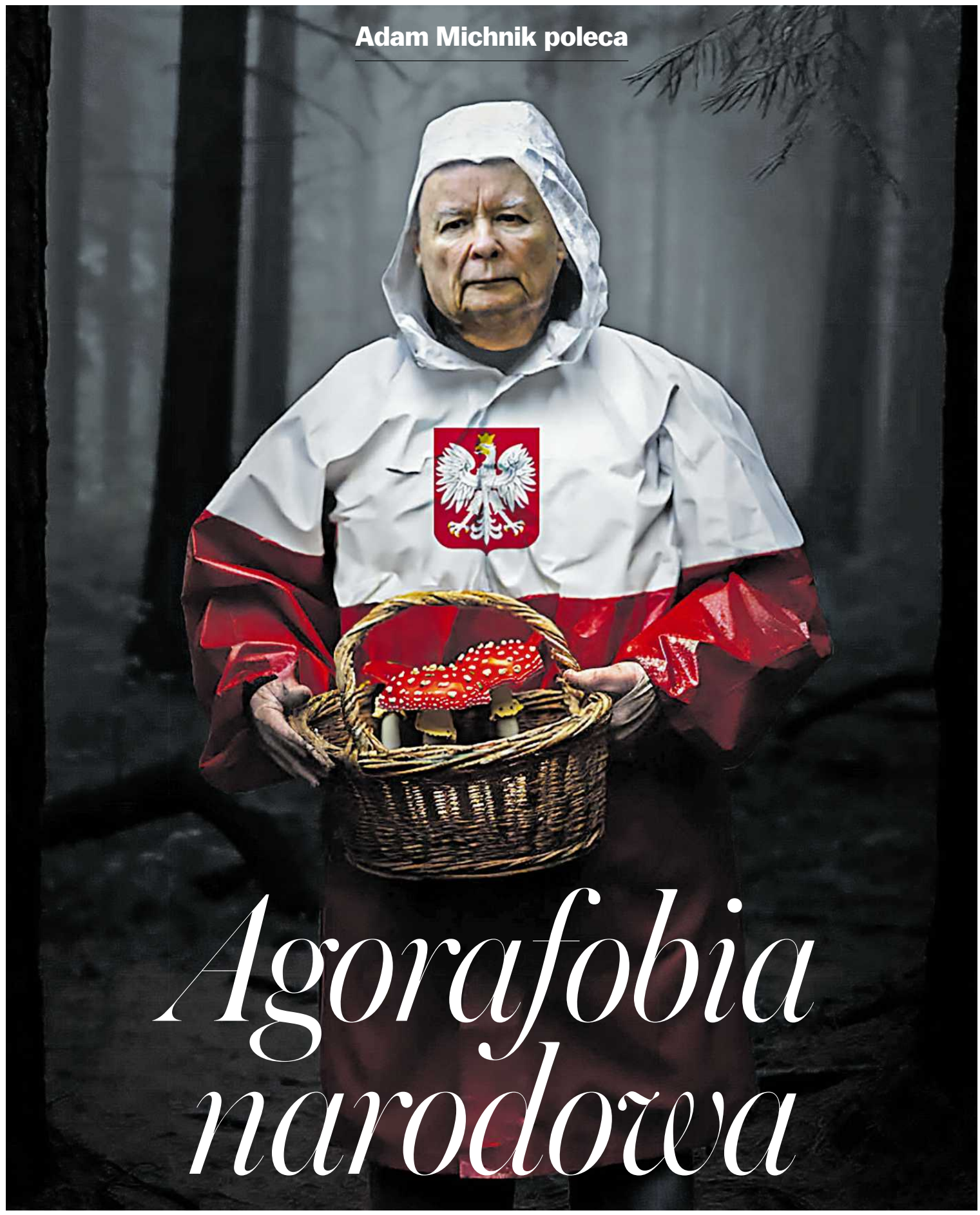

Agorafobia narodowa

To nie knowania Kaczyńskiego podzieliły Polaków, tylko ich przeciwstawne postawy w obliczu wyzwań modernizacyjnych. ***A te sięgają czasów stanisławowskich.***

JAROSŁAW BRATKIEWICZ*

„Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina...". Ten głupawy, w duchu patriotyzmu pisowskiego, wers z piosenki disco polo będzie stanowić motto do rozgoryczenia, które rodzi kondycja polskości w obliczu wyzwań modernizacji i ponowoczesności.

Od dobrych kilku lat przez świat zachodni przetacza się populizm, nacjonalistyczny i z religianckim kadzidłem. Jest to osobliwy odzew na kres zimnej wojny.

Już w latach 90. zaczęto zauważać, że polityka w Europie banalnieje. W miarę jak łapczywie konsumowano wolność od zimnowojennego strachu, nasilało się poczucie, że nie ma ograniczeń i można obejść się bez merytokracji: wybitnych polityków, dyplomatów i ekspertów, że i bez nich „wszystko wiadomo".

Wtedy to świadomość zbiorową – zwłaszcza umysłowości dziewiczo nierozgarnięte (a jak wiadomo, Pan Bóg stworzył w przytłaczającej większości ludzi głupich, upodobawszy ich sobie) – nawiedzają mądrości siermiężne, które najchętniej wykwitają w maglu, w piwiarni czy przy grillu. Kiedy demokratyczne pojmowanie wolności akcentuje świadomą odpowiedzialność jednostki za własne słowa i postępki w przestrzeni publicznej, prostactwo i przaśny osąd polityki ryją pod ideą i praktyką życia obywatelskiego drugie dno. Gdzie wolność przemienia się w dowolność, w swawolenie. Zatraca atrybut odpowiedzialności, irracjonalizuje się.

Teraz w tej bezdni nieodpowiedzialności i irracjonalizmu hula nacjonalistyczny populizm. Także w Polsce. Jego sukces zależy od tego, jak dalece roztaczane przezeń pokusy tradycjonalizmu – „powrotu do wieku złotego" – mogą magnetyzować wyobraźnię tzw. prostych ludzi (czyli znaczącej części elektoratu). Oraz od tego, w jakiej mierze populiści mogą powaby tradycjonalizmu zagospodarować, objawiwszy się jako rzecznicy porządków „naszych", odwiecznych, polskich. I rozrysować alternatywę cywilizacyjną dla współczesnej cywilizacji Zachodu.

Na przykład w Anglii i Francji nie ma już takiej tradycjonalistycznej schedy, która mogłaby dzisiaj być porywającą alternatywą dla współczesności. Rewolucje mieszczańskie w Anglii (1640-89) i we Francji (1789-1871) na dobre odgrodziły kulturowo społeczeństwa brytyjskie i francuskie od schedy przednowoczesnej. Marine Le Pen oraz brexit to zawirowania i poślizgi na drogach demokratycznego wyboru, niekiedy pokrętnych i, co się zdarza, gorzej oznakowanych.

W Niemczech tradycjonalizm objawiał się w kulcie świętego Cesarstwa Rzymskiego – czyli Rzeszy Niemieckiej. Skulminowało się to w paneuropejskich roszczeniach „tysiącletniej" Trzeciej Rzeszy. I w jej hucznej klęsce w 1945 r. Racjonalizujący przesiew, jaki w Anglii i Francji przeprowadziły rewolucje burżuazyjne, w Niemczech został w istotnej mierze dokonany przez czynnik zewnętrzny – okupacyjny nadzór zwycięskich aliantów zachodnich nad trzema strefami pokonanych Niemiec (z których później wyłoniła się republika federalna), gdzie rygorystycznie i skutecznie przysposobiono ludność niemiecką do demokracji i pokojowego współżycia z innymi narodami Europy.

Proces ten przyspieszyła i utwierdziła integracja europejska, w której Niemcy – aktywny członek Wspólnot Europejskich/UE, a także NATO – ugruntowały swą nowoczesną tożsamość. Słowem, reżim okupacyjny oraz integracja europejska zastąpiły Niemcom niedokończoną po 1848 r. rewolucję mieszczańską.

Inaczej rzecz się ma w trzech przynajmniej krajach.

W USA rewolucja mieszczańska dokonywała się wraz z wojną o niepodległość. Logika zaś tej ostatniej w jakiejś mierze zmajoryzowała walkę o ideały burżuazyjno-oświeceniowe, co z kolei wykoślawiło niektóre przyrzeczenia z deklaracji niepodległości (np. w kwestii niewolnictwa). To z kolei rzutowało na dalszy rozwój Stanów Zjednoczonych i osobliwości stanowienia narodu amerykańskiego.

Wielkość Stanów oraz narodotwórstwo wynikające z napływu imigracyjnego i związane z tym wieloetniczność i wielokulturowość utrudniały uspójnienie się w jeden naród amerykański. Zrazu funkcjonalnym rozwiązaniem okazał się system kolonii, później stanów, które grupowały ludność napływową według pewnych wyznaczników etnokulturowych.

W 1789 r. wolne już stany utworzyły federację pod nazwą United States of America. Jednak jej dalszy rozwój nie zapobiegł zasadniczemu rozejściu się dróg rozwoju między amerykańską Północą a Południem. Północ skupiła ludność o wyraźnych preferencjach modernizacyjnych, którą motywowała protestancka etyka przedsiębiorczości i sukcesu biznesowego; Południe oparło się na gospodarce latyfundyjno-niewolniczej, hołdowało tradycjom życia prowincjonalnego, bogobojnego, choć niestroniącego od zwady i awantury.

Obie grupy ludności, wyrosłe z dziedzictwa rewolucji amerykańskiej, w połowie XIX wieku zaczęły się postrzegać jako odrębne narody. Konsekwencją tego stała się wojna domowa w USA w latach 1861-65. Zderzyły się w niej dwa narody pobratymcze, anglo-

eprasa.pl 1f49962744

językowe, reprezentujące wszelako różne kultury.

W Rosji rewolucja (prawie) mieszczańska w 1917 r. obaliła carat i niczym Pandora otworzyła pojemną puszkę z chaosem i wojną wszystkich ze wszystkimi. W tym zamęcie po władzę skutecznie sięgnęli bolszewicy. I poskromili chaos – który w Rosji synonimizował demokrację – bez mała w taki sam sposób, jak to niegdyś czynili moskiewscy i petersburscy samodzierżcy.

Dogłębny podział, który w 1917 r. ostatecznie przełamał Rosję, zaczął się 200 lat wcześniej za sprawą cara Piotra I. Który szarpnięciami swej woli, dyrektywami samowładczymi i uderzeniami knuta pchnął Rosję ku Europie.

Elita państwowa, dworianstwo, otrzymała w 1785 r. prawa szlacheckie, potwierdzające zarazem nieograniczone władztwo nad chłopstwem, przyciśniętym srogą pańszczyzną (porównywalną z niewolnictwem w południowych stanach amerykańskich). Chłopi rosyjscy zaś poczuwali się do schedy po Rusi Moskiewskiej – rdzennej i swojskiej wschodniej despocji, „państwie-rodzinie", gdzie wszyscy (również dworianstwo) byli równi w braku wolności i praw w odniesieniu do samodzierżcy.

Mentalność chłopska w Rosji odwoływała się do prymitywnie i koślawo przyswojonej spuścizny bizantyńskiej oraz mongolskiej (złotoordyńskiej). I jako taka ustawiała się w kontrze do europeizującego się dworianstwa, oświeconego i gdakającego w językach „niechrześcijańskich", a przy tym niewyrzekającego się samowoli pańszczyźnianej wobec chłopów.

Właśnie konflikt kulturowy między zeuropeizowanym gospodinem (panem) a głęboko tkwiącym w eurazjatyzmie mużykiem bolszewicy wykorzystali do swego projektu rewolucyjnego, rozkręcając wojnę domową w Rosji w latach 1917-21.

Polska w istocie nie doświadczyła rewolucji mieszczańskiej, bo mieszczaństwa godnego tej nazwy nie miała. Co więcej, nie istniała jako państwowość w XIX-wiecznej epoce stanowienia nowoczesnych państw narodowych. Walka o niepodległość przytłumiła dylematy modernizacyjne, które były alfą i omegą każdej rewolucji mieszczańskiej. Przeziera tu niejakie podobieństwo do rewolucji amerykańskiej, której przesłanie zdominowała wojna wyzwoleńcza.

W Polsce początki konfliktu wewnątrzkulturowego przypadają na czasy stanisławowskie, kiedy próby obozu oświeceniowego skupionego wokół Stanisława Augusta, aby wydźwignąć Rzeczpospolitą z anarchii sejmokratycznej, z obskurantyzmu sarmackiego i zacofania cywilizacyjnego, zderzyły się w dwoma responsami tradycjonalistycznymi. Z konfederacjami: barską i targowicką. Chyba wtedy konflikt wewnętrzny w Polsce najbardziej zbliżył się do modelu wojny domowej.

Jednak po rozbiorach, przez ponad 120 lat, wyzwanie modernizacyjne wynaturzało się w warunkach niewoli i ustępowało przed imperatywem niepodległościowym. Z kolei II RP zachłysnęła się swoją niepodległością. I wmówiła sobie mocarstwowość, zaniedbawszy zadania budowy cywilizacyjnej czy po prostu nie poradziwszy sobie z antynomiami, jakie Polska międzywojenna – marna kopia niewydarzonej Rzeczypospolitej przedrozbiorowej – z natury rzeczy nie była w stanie rozwiązać. Ów węzeł antynomii rozcięła katastrofa cywilizacyjna 1939 r. I w takiej pochlastanej postaci węzłowe problemy unowocześnienia Polski wiły się przez kolejne 50 lat.

Komunistyczna „władza ludowa" trywializowała modernizację, sprowadzając ją do uprzemysłowienia, powszechnej edukacji, wzrostu urbanistycznego. Bez wątpienia są to atrybuty modernizacji. Ale obok nich występują inne jej fundamentalne wyznaczniki: własność prywatna środków produkcji, demokracja oraz prawa człowieka i obywatela, kultura obywatelska z jej zmysłem racjonalnym i krytycznym, wreszcie prymat umysłowości otwartej, krytycznej, innowacyjnej.

Tąpnięcie historyczne przyniosła Polsce dopiero „Solidarność". Rewolucję solidarnościową, zapoczątkowaną w 1980 r., forsowała młoda, nie najgorzej wykształcona i podatna na ideały cywilizacji europejskiej część robotników. Z niej wywodzili się tacy młodzi działacze „S" jak Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak, Bogdan Lis, Zbigniew Janas.

Ówczesny uczestnik zrywu solidarnościowego prof. Tadeusz Łepkowski odnotowywał, że obok europejsko nastawionych robotników w „Solidarności" nie brakowało „roboli" o mentalności „wschodniej", którzy wroga widzieli głównie w „żydokomunie" (w jej różnych, fantazyjnie wyobrażanych upostaciowieniach). Owa „patriotycznie", a więc antyinteligencko i antysemicko nastawiona część robotników antycypowała dzisiejszy PiS.

Rewolucja solidarnościowa podjęta przez „lud pracujący miast i wsi" (wedle nomenklatury peerelowskiej) trochę po omacku podążała, chybocząc się, tropem rewolucji mieszczańskiej. W zasadzie zmierzała ku demokracji zachodniej i gospodarce rynkowej. Tyle że nie wiodła ją burżuazja świadoma swych celów, bo takowej nie było. Chorążymi tej rewolucji była merytokracja solidarnościowa: co światlejsi przywódcy i eksperci.

Jej sukces zapewniło – obok determinacji reformatorskiej ekipy solidarnościowej i kolejnych rządów po 1989 r. – wydatne wsparcie świata zachodniego. W tym włączenie się Polski do NATO, a zwłaszcza członkostwo w Unii Europejskiej. Dzięki unijnej polityce spójności i funduszom strukturalnym Polska po raz pierwszy od ponad 300 lat poszybowała gospodarczo ku wyżynom, zadając kłam „odwiecznej" polskiej siermiężności i łachmaniarstwu w ekonomice. Wtopiła się w struktury integracji zachodniej, uzyskując najpewniejszą osłonę dla swego rozwoju.

W „Solidarności" nie brakowało „roboli", którzy wroga widzieli głównie w „żydokomunie".
To oni zapowiadali dzisiejszy PiS

W Polsce walka o niepodległość przytłumiła dylematy modernizacyjne,
które były alfą i omegą każdej rewolucji mieszczańskiej

A zarazem, w miarę postępów rewolucji modernizacyjnej („mieszczańskiej") w Polsce, którą – podobnie jak w przypadku Niemiec po 1945 r. – stymulowały i wspomagały czynniki zewnętrzne, zwłaszcza Unia, uaktywniła się tradycjonalistyczna kontrrewolucja. Przyświecało jej zawołanie, że nowoczesność i europejskość są „niepolskie". Że kolidują z suwerennością Polski, której kształt ustrojowy i zamysł strategiczny tradycjonaliści – czyli PiS – chętnie upodobniliby do autorytarnej II RP.

Przy tym pisowcy z lubością wprowadzili do swojego instrumentarium politycznego wiele sztuczek peerelowskich. I po objęciu władzy w 2015 r. wykonali strategiczny piruet, odchodząc od orientacji europejskiej ku jagiellońsko-sarmackiemu eurazjatyzmowi.

W czasach I RP, opartej na prawach i przywilejach stanowych, wykształcił się „naród szlachecki", który narodem w rozumieniu nowoczesnym nie był (przedstawiał raczej osobliwy elitarny „kontrnaród"). Choćby dlatego, że w warunkach podziałów stanowych opacznie pojmował swoje prawa i obowiązki obywatelskie, co skutkowało anarchicznym sejmikowładztwem, które rozsadzało i tak wątłą integralność państwa. Z kolei II RP po 1926 r. przepoczwarzała się w państwo autorytarne, co komplikowało proces narodotwórstwa, który i bez tego utrudniała wieloetniczność Rzeczypospolitej międzywojennej.

Ułomności demokracji (w I RP) czy jej zawężenie (w II RP) lub zgoła brak (w PRL-u) powodowały, że współzależny od porządku demokratycznego proces modernizacji w Polsce od czasów stanisławowskich buksował przez dwa stulecia. Toteż struktura i funkcje państwa grzęzły w tradycjonalizmie i przednowoczesności.

Dopiero rewolucja solidarnościowa uaktywniła czynniki narodotwórstwa, a zarazem uzewnętrzniła – zwłaszcza w fazie późniejszej, po 1989 r. – charakterystyczne dla tego procesu antagonizmy społeczno-kulturowe. Czyli typową dla rewolucji modernizacyjnej konfrontację między orędownikami unowocześnienia: dominacji wolnego rynku, demokracji i wolnej myśli, a obrońcami tradycjonalnego ładu, żeby „żyć po naszemu".

A przecież w PRL-u na co dzień „żyło się po naszemu". Przytłaczająca część Polski prowincjonalnej upodobała sobie nakazowo-rozdzielczy (redystrybucyjny) system realnego socjalizmu. Rozwinął on sieć nieformalnych powiązań klientalno-korupcyjnych. Na mocy redystrybucji socjalistycznej wytworzone produkty, z reguły mało atrakcyjne i o niskich parametrach, były komasowane przez władzę ludową i następnie rozdzielane przez nią między poddanych PRL-u.

Problem, jaki doskwierał tradycjonalistycznie nastawionej ludności polskiego interioru, to nie bylejakość peerelowskiej produkcji i niewydajność ekonomiki typu sowieckiego. Ludność tę nękało podejrzenie, że wyprodukowaną tandetę racjonują ludzie z „kacapskiego" nadania, indywidua niepolskie i niekatolickie, jakaś przez Boga wyklęta „żydokomuna". Wiadomo tedy, że dzielą niesprawiedliwie.

W porywach protestu ludność owa domagała się „sprawiedliwości", którą pojmowała jako oddanie dźwigni redystrybucji w ręce patriotyczne, polsko-katolickie: może to księża dobrodzieje winni rozdawać wśród wiernej trzódki zasób wyprodukowany w Polsce?

Nie dziwota więc, że pisowcy nie bez sentymentu patrzą na peerelowską „jedność moralno-polityczną" za Gierka (komplementowanego przez samego Prezesa). A zarazem kanwę peerelowską doktrynalnie okraszają znacznikami „naszej" II RP. Tradycjonaliści, jak wiadomo, plwają na przyszłość i wszystkie siły oddają ulepszaniu przeszłości.

Wobec II RP PiS uprawia „symulakrum plus", doskonaląc dziś to, co w niej było niedoskonałe. A więc równając na budowę Gdyni, przekopuje Mierzeję Wiślaną; wznosi elektrownię w Ostrołęce i następnie ją demontuje; w szczerym polu planuje zbudować „wszecheuropejski" Centralny Port Komunikacyjny; o takiej facecji jak samochód elektryczny krajowego wyrobu nie wspomnę. Nadto PiS sroży się na niwie międzynarodowej w stosunku do historycznych krzywdzicieli: Niemiec i Rosji, jakby chciał obrzędami komemoracyjnymi klęskę Polski w 1939 r. i w powstaniu warszawskim wyretuszować na zwycięstwo.

Zważywszy na fakt, że II RP dogasała płomieniem I RP, niewyartykułowanej jako nowożytna państwowość, nad dziejami Polski międzywojennej zalegało fatum tradycjonalizmu. Zwłaszcza rytuał powtarzania błędów historycznych. Już sam kształt II RP wyglądał jak skarlała wersja Rzeczypospolitej jagiellońsko-sarmackiej; nadto obciążał ową II RP jagiellońsko-sarmacki przednowoczesny, agrarny balast. A do tego szablonu RP tradycjonalnej przymierza się dziś Polska pod rządami PiS.

Polityczna doktryna pisowska nosi wyraźnie paseistyczny, tradycjonalistyczny charakter. Znakomicie utrafia w polską parafiańszczyznę i obskurantyzm, bojaźń przed zglobalizowanym światem i zaściankową agorafobię. Czyli w to wszystko, co z gruntu obce jest nieendeckiemu nowoczesnemu Polakowi.

Tutaj rozchodzi się w wymiarze kulturowym polska wspólnota etniczna. Bo Polska oświecona, przedsiębiorcza, europejska nie poczuwa się do więzi kulturowej z ludźmi o średniowiecznej mentalności. Którzy tłoczą się tam, gdzie władze pisowskie szczodrze sypią mamonę socjalną (500+ itp.). I chętnie odwdzięczają się PiS, stając do nagonki przeciw proeuropejskim elitom.

Pod koniec kwietnia w „Kropce nad i" Monika Olejnik załamy-

IGRZYSKA WOLNOŚCI

Za dwa tygodnie dowiemy się, co dalej

• Siedem scen i niemal 500 prelegentów, z tak gorącymi nazwiskami jak **Jonathan Littell** czy **Anne Applebaum** – największy festiwal idei w Europie Środkowo-Wschodniej odbędzie się w łódzkim Centrum Nauki i Techniki EC1 między 15 a 17 września. Hasłem 10. edycji Igrzysk Wolności jest „Punkt zwrotny", bo – jak mówią organizatorzy - właśnie on „zbliża się dla całego regionu, demokracji, praworządności oraz modelu kapitalizmu". A zawiera się w nim wiele: nadchodzące wybory, wojna w Ukrainie czy kryzys klimatyczny i ekonomiczny.

• Do Łodzi zjeżdżają intelektualiści ze świata nauki, kultury, polityki i biznesu. **Mark Galeotti**, czołowy ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa, opowie o Putinie i przyszłości geopolityki. Ekonomistka prof. **Deirdre Nansen McCloskey** o tym, jak przekonać ludzi do wolnego rynku. **Michael Ignatieff** wskaże głównych wrogów wolności. **Anne Applebaum** zastanowi się, czy środek ciężkości Unii przesuwa się na wschód i co dalej z sojuszem transatlantyckim. Spotkamy się również – między innymi – z najważniejszą literacką rzeczniczką Ukrainy **Oksaną Zabużko** i z **Jarosławem Kurskim**, autorem najgłośniejszej tegorocznej książki biograficzno-historyczno-eseistycznej „Dziady i dybuki". Zapraszamy.

Joanna Żarnoch-Chudzińska
redaktor naczelna
„Gazety Wyborczej Łódź"

eprasa.pl 1f49962744

wała ręce, że „Polska jest bez sensu podzielona”. Jeszcze więcej osób opiniotwórczych wskazuje na PiS jako sprawców tego podziału.

Jednak nie tyle knowania partii tradycjonalistycznej podzieliły ludność Polski, ile przeciwstawne postawy Polaków w obliczu wyzwań modernizacyjnych. A przeciwstawienia te sięgają czasów stanisławowskich. I uaktywniły się po 1989 r., kiedy Polska zaczęła potwierdzać swój inicjalny, wytyczony za Piastów proeuropejski wybór. Co wyraziło się w przystąpieniu Polski do Unii. Integracja europejska przyspieszyła proces nowoczesnego narodotwórstwa w Polsce.

Wtedy polski tradycjonalizm przecknął się, wypowiedział „walkę klasową” twórcom i profitentom sukcesu transformacyjnego Polski, a w kolejnych latach podjął zmagania ze „zgniłą Europą”. PiS skonsolidował wyrazicieli tego tradycjonalizmu: sieroty po PRL-u, nieudaczników i obskurantów, na gruncie alternatywnej, antyeuropejskiej kultury „naszości”, „swojskości”.

Z kolei modernizacyjnie nastawiona część Polaków nie wyprze się europejskiego wyboru Polski. Daje on bowiem, dzięki udziałowi w instytucjonalnych przejawach cywilizacji Zachodu, zwłaszcza w Unii, możliwość unowocześnienia i ucywilizowania Polski w sensie dowartościowania jej europejskich rudymentów. Które zaniedbano przez stulecia sarmatyzmu i jego popłuczyn: krzykliwości, tandety, bigoterii, bylejakości, fuszerki.

Głęboki podział, który przeorał substancję etniczną polską, znamionuje czasy rewolucji modernizacyjnych. Co więcej, podział ten wskazuje, że w Polsce postępuje proces kształtowania nowoczesnego narodu. Ten bowiem z reguły zaczyna się od bifurkacji dwunarodowej: wyodrębnienia się części społeczeństwa optującej za przyspieszonym unowocześnieniem oraz wyłonienie się równie pokaźnej części, która opowiada się za utrzymaniem lub przywróceniem czasów (zmitologizowanej najczęściej) glorii i chwały sprzed wieków.

Dla owej drugiej części ludności „świetna” (i „święta”) tradycja ma być spoiwem wspólnoty, niepoprawnie nazywającej się narodem. Jej orędownicy, tradycjonaliści, oczekują, że podległa ich zawołaniom zbiorowość wcieli się w staroświeckie role i rekwizyty i w zbiorowym rytuale odtworzy jakąś przegraną z dziejów polskich, teraz wszak w wersji zwycięskiej. Na przykład dzięki obrzędom patriotycznym wygra wojnę obronną 1939 r. lub powstanie warszawskie. Praktyki te jednak uwstecznią zbiorowość poddaną rytuałowi, wyłania się ona z niego nie jako naród, lecz jako przednarodowa chmara: polskojęzyczna, katolicka, „patriotyczna”.

Nowoczesnego narodu nie spajają ani kwękanie o niezasłużonych cierpieniach w historii, ani obnoszenie stygmatów w imię odwetu i zadośćuczynienia, ani dewocja i ciemnogród. Naród zespala wielka idea rozwojowa w skali tak zbiorowości, jak i – co najważniejsze – jednostki ludzkiej. To z jej swobód i praw obywatelskich wywodzi się wszelka suwerenność. W tym suwerenność narodu i państwa.

Narodu nie stanowi masa ludzka, gawiedź – nawet jeśli odprawia huczne misteria patriotyczno-religijne i nosi znaki przynależności etnicznej. Naród konstytuują świadomi swych praw i obowiązków obywatele, egzekwujący te prawa oraz sumiennie wypełniający powinności obywatelskie. Dokonuje się to tylko i wyłącznie w warunkach demokracji. W systemie autorytarnym, a już tym bardziej totalitarnym, nie ma narodu, istnieje tylko ciżba poddanych. Lękliwych, ale gdy padnie rozkaz naczalstwa: ujadających, rozjuszonych, czyli „wzmożonych patriotycznie”.

Orientacje kulturowe dwóch dużych odłamów społeczeństwa polskiego nadal się rozchodzą. Dziś w Polsce nie tyle toczy się zajadła walka polityczna, ile przetacza się przez nią konflikt cywilizacyjny. Rozstępy w tkance etnicznej są zbyt głębokie i bolesne, by wystarczyło je zasmarować miodem jedności moralno-politycznej Polaków. Czekają nas losotwórcze dla Polski wybory. ●

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jarosław Bratkiewicz**

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Działał w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny ministerstwa

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Hanna Szumańska-Grossowa*

****

Strzelili – trafili – w końcu tak musiało być...
Po obrusie wędruje dym z papierosa, czepia się nitek płótna –

I potrafię jednak dalej żyć
I nawet nie jestem smutna.

Cyka zegar, stuka szkiełko,
Trzask zapałki, nikły blask –
Pijmy sobie, palmy sobie,
Rzućmy pamięć, los i czas.

Nikt nie kocha, nikt nie cierpi,
Pijmy wódkę, gryźmy dym.
Nie dotykaj żadnych myśli,
Nie przecieraj oczu złem.

Na stoliku – bęc! – obrączka...
Co obrączka? Kółko. Nic.
Złote kółko – biała rączka.
Kółku trwać – a rączce zgnić.

Z domu, z bramy, ulicami
Pójdą duchy w noc i w maj.
Ile nas będzie, kochani,
Troje? – czy tylko wy dwaj?

Czy zostanę przy stoliku –
W foteliku, palić, pić –
Czy rozbiję okno krzykiem,
W waszą pustkę skoczę, w nic?

***Hanna Szumańska-Grossowa** – 1919-73, tłumaczka literatury francuskiej, literatka. Po Marcu ‘68 na emigracji. Matka Jana Tomasza Grossa.

Utwór za: Jan T. Gross, „Hanna Szumańska-Grossowa. Wiersze i inne fragmenty”, Wyd. Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2022.

OGŁOSZENIA

MICHELLE OBAMA
O TYM, JAK OBUDZIĆ SWOJĄ MOC

“

Nie macie komu się zwierzyć, z kim podzielić się obawami? Przeczytajcie tę książkę. Michelle Obama w prostych słowach opowiada o swoich doświadczeniach kobiety, matki, pierwszej damy. Jej książka inspiruje, dodaje siły i wiary. Każda z nas chciałaby mieć przyjaciółkę taką jak Michelle.

JOLANTA KWAŚNIEWSKA, PIERWSZA DAMA RP W LATACH 1995-2005

W nowej książce Michelle jest taka jak my. Czasami bardzo silna, a czasami pełna obaw. Pokazuje nam, jak sobie dawać radę, co jest ważne, co można zmienić. I nie ma w tym nic z poradnikowego słodkiego ględzenia o budowaniu pewności siebie. Jest życie. Wzmacniająca lektura na trudne dla kobiet czasy.

DOROTA WELLMAN, DZIENNIKARKA I PREZENTERKA TELEWIZYJNA

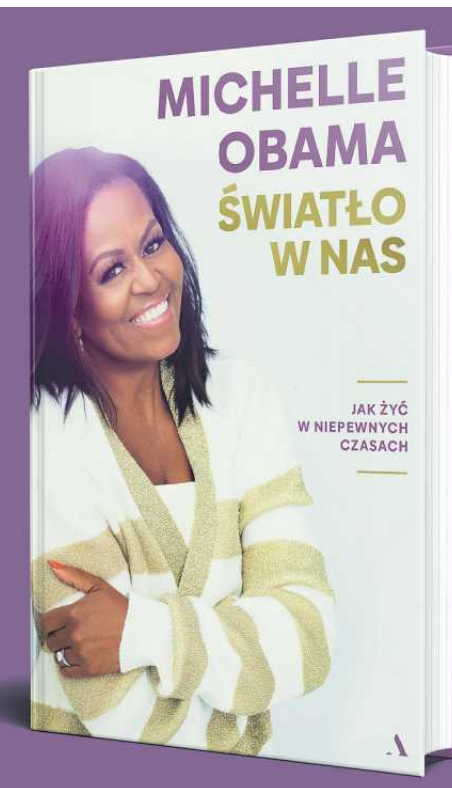

TŁUM. DARIUSZ ŻUKOWSKI

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

REKLAMA 34248365 1 RP

eprasa.pl 1f49962744

JEDYNY NAGO NA PLAŻY NUDYSTÓW

Najbardziej bała się, że wojna zastanie ją bez makijażu

Janusz Rudnicki

Nie pomagają zaciągnięte kotary i zamknięte od rana okna, kończy się sierpień, a mieszkanie jak patelnia, a ja jak na niej tłuszcz, skwierczę, przypalam się, jest źle, no źle jest.

Moczę koszulę i wychodzę na chwilę na balkon, po placu Trzech Krzyży jeździ wóz strażacki i gasi upał, polewa chodniki i pojedynczych zbłąkanych przechodniów.

Na przejście dla pieszych wchodzi nieopatrznie para z dzieckiem, dziecko zaraz przystaje i nie może iść dalej, asfalt jak lawa, ciągną je za ręce, nie pomaga, przeciwnie, dziecko coraz bardziej się zapada, ciekawe, ale wyschła mi już koszula, wracam do środka.

Próbuję się ratować, otwierając drzwi na klatkę schodową, trochę pomaga, ale słyszę ludzi przy windzie, szczęk kluczy, rozmowy, ktoś nawet zawołał mi do wnętrza „halo?”, z obawy, zrozumiałe, widok otwartych drzwi przyprawia o niepokój, zamknąłem, bo uczucie takie, jakby mieszkać na plaży nudystów jako jedyny nagi, cała reszta ubrana.

Zostało jedno proste, w miarę skuteczne wyjście, w postaci wentylatora, mogłem od razu na to wpaść, jasne, skróciłbym sobie te męki, ale, z drugiej strony, nie napisałbym tego, co wyżej.

Wentylator więc, dostałem w spadku po ojcu, przekażę moim synom, żeby się chłodzili tym samym powiewem ulgi, tak, są ulgi tak ogromne, że opłacało się cierpieć, niechże to zdanie będzie dla nich moim spadkiem, co ja mam oprócz zdań, pytam się.

Trochę się zapędziłem, pieszochłonna ta ulga, a to dlatego, że wentylator ten nie chce mi nagle pracować „na sztywno”, obraca się tylko, w miejscu nie ustoi, więc kiedy powiew pada na mnie, można żyć, kiedy mnie opuszcza, bo obrót jego 360 stopni, nie można, więc nie ma innego wyjścia, muszę chodzić za nim jak koń w kieracie.

I tak to z nadania słońca staję się człowiekiem drogi, wędrowcem, którego wędrówka wisi na włosku, którym jest prąd, bo przecież stanąłbym, gdyby go zabrakło.

Prąd jest światłem, energią i jest niewidzialny, on nagradza, wiadomo, ale i karze, człowiek popełni błąd, człowieka kopnie, wtedy powiedzieć można: „prąd cię pokarał”, tak, prąd to Bóg, jego powinno się pisać wielką literą, więc jeśli ludzie muszą już do czegoś się modlić, bo jarają ich cuda na kiju, to powinni do niego.

Więc może poprawię, może będzie trafniej, jeśli napiszę, nie chodzę jak koń w kieracie, ale jak sztuczny satelita wokół Ziemi, tak czy inaczej, do dupy jest być człowiekiem drogi, pisać nie można ani czytać nie można, jeszcze nigdy nie zrobiłem tylu kilometrów, ile teraz we własnym pokoju, dobrze, że cel tej mojej wędrówki już tuż-tuż, bo chłodniej, bo wieczór zapada, inaczej padłbym na tym maratonie pokojowym na pysk.

Chłodniej tam, na balkonie, ale nie w mieszkaniu, nawet kiedy noc zapada, człowiek jak kromka w tosterze, więc się przenoszę, koc, poduszka i kładę się pod gwiazdami, ale pod nimi też nie idzie, wszyscy lokatorzy wpadli na to samo, więc jest tak, jakby cała ściana bloku była ścianą płaczu i śmiechu.

Słychać wszystko, ludziom się wydaje, że noc to jest taka gruba kołdra, spod której nic nie wystaje, tylko oni.

Na balkonie pode mną on do niej: Wiesz przecież, miłość to nie rower, że można napompować i jechać dalej. Ona: No tak, ale trochę można pomóc, zobacz, jak ty chodzisz po mieszkaniu i ulicy, byle co na byle kim. On: Ciebie to trudno utrzymać w temperaturze pokojowej. Coraz głośniejsze te wzajemne wyrzuty, aż on: Kobieta musi wiedzieć wszystko, ale nie obchodzi jej nic. Potem jeszcze głośniej i ona: Ja ciebie ze schroniska wzięłam, kundlu jeden, a ty mi się tak odwdzięczasz?! Ucisza ich ktoś, milkną.

> Na balkonie pode mną on do niej: Wiesz przecież, miłość to nie rower, że można napompować i jechać dalej

Na balkonie nade mną on do niej: Powiem ci tak, to jest dyktatura nowego proletariatu, i tyle. Milknie, ona nie reaguje, cisza.

Po mojej jednej stronie ktoś sam do kogoś też samego za nim: No bo to jest tak, sąsiedzie, jak weźmiemy świat jako jedną wielką pizzę, to ludzie dzielą się na tych, którzy raczą się jej środkiem, i tych, którzy podgryzają jej brzegi, my jesteśmy brzegowi, nic pan nie poradzisz.

Rozmowy balkonowe nocą przy Trzech Krzyży placu cichną, milkną wszyscy jeden za drugim, i kiedy już wreszcie zasypiam, głos z drugiej mojej strony, nowa sąsiadka, jeszcze nie wie, że między nami akurat cienka ścianka, i chociaż mówi przyciszonym głosem, słychać każde słowo.

Mówi do telefonu, zaczyna tak: Masz tak? Otwierasz książkę, to tak, jakbyś raz jeszcze otwierał otwarte już oczy, nie?

Nie zasnę, co robić, powiedzieć jej, że tu jest tak, jakby mówiła do mnie? Sen mi przeszedł, a to jej otwarcie niezłe, włączam dyktafon...

Ty, audiobooka w mojej osobie sobie znalazłeś? Tak ogólnie ci opowiem, epilog trochę taki... hm, wzniosły, podniosły, lot górny, a ja naziemna, to niekoniecznie moja rampa. No i wcześniej trochę z tym finałem czaruje, zapowiada go jako wydarzenie i urywa, żeby wiesz, napięcie rosło, takie ciągnięcie czytelnika za ciekawość, co będzie dalej, czaruje, zwodzi, a nie musi...

No i trochę szczegółów za dużo, ale tak już proza ma, ktoś bierze jedną paczkę z zakupami do lewej, a drugą do prawej ręki, a potem to nie ma znaczenia, jaką do której, albo mi uciekło. Lub w kuchni, autorka wymienia wszystko, co robi postać, wyciera palnik, podłogę itede, nawet jak zdejmuje pranie, to pada, że trzy pary majtek, co ja mam z tym robić, że trzy? Dlaczego akurat trzy? No ale to ginie w tym, co się dzieje...

Dobry ten sam początek, pierwszy bohater idzie bulwarem i zostawia po sobie ślady dobrych butów, nie, że ma dobre, tylko że ślady zostawia, a potem wraca do domu i nie widzi się w przedpokoju w lustrze, nie widzi, bo lustra nie ma, mebli też nie ma, firanek, dywanu, nic, kran tylko w łazience sterczy donikąd, bo wanny też nie ma, i myśli o kąpielach, bo upał tam, ta powieść dzieje się w ciągu jednego dnia i, nie uwierzysz, jest niemiłosierny upał, jest dokładnie trzydzieści pięć stopni, dokładnie tyle, ile miałam dziś na balkonie w cieniu, jak to czytałam. Ona pisze: „po nas choćby susza”, niezłe, co? I on sobie wspomina, jak leżał w tej wannie w chłodnej wodzie z gazetą i z jedną nogą na krawędzi i jak poruszał palcami stopy i coś sobie nucił, a teraz nic, pustka taka, że po mordzie nią dostaje...

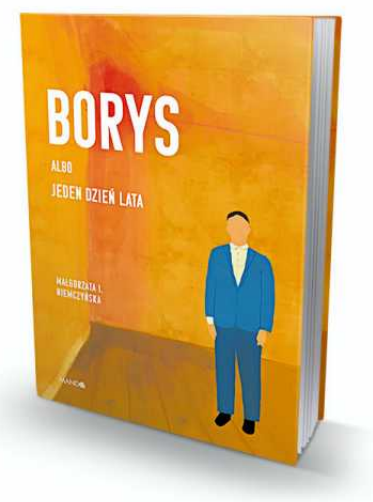

„Borys albo jeden dzień lata”, powieść reporterki i eseistki „Wolnej Soboty” i magazynu „Książki” Małgorzaty L. Niemczyńskiej, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Legimi.pl.

A potem wychodzi i widzi sąsiadkę, zaśmiałam się, bo... poczekaj, znajdę to, karteczki przyklejam, wiesz, o, tu: „dawał jej jakieś sześćdziesiąt pięć lat, chociaż ona pewnie i tak by nie wzięła”. No widzisz, tak samo reagujesz. I potem gubi portfel do tego, wyobrażasz sobie? Okradają ci mieszkanie i potem, idąc na policję, gubisz portfel...

Dobre pytanie, kiedy się dzieje, telefony tylko stacjonarne, stan wojenny jest, do którego każdy się przyzwyczaił, wybuch jakiejś wojny grozi, godzina policyjna, plaża, na którą nie wiadomo dlaczego zakaz wstępu, no i to, padają nazwy ulic, ale miasto nienazwane...

Jest dwanaście rozdziałów i dwanaście postaci, syn, matka, mąż, żona, córka, policjant, barman, dzieci, ich drogi się krzyżują i każda ma swój osobny występ, dwanaście reflektorów na tą samą scenę obrotową. Oni są jak ząbki zamka błyskawicznego i ta autorka suwakiem, czyli wiesz, linią fabularną, z każdym rozdziałem zapina kolejne ząbki, powiem ci tak, ta powieść zaczyna się jak otwarty rozporek, a kończy jak zamknięty...

Znasz serial „From”? „Stamtąd”? No to wiesz, do tego miasteczka tam można wjechać, ale nie można z niego wyjechać, ta rodzina na początku, pobłądzili i chcieli wyjechać, ten szeryf im mówi, że cały czas prosto do głównej drogi, no to tak jadą cały czas prosto i znowu są w tym miasteczku, no wiesz, i tu, wyobraź sobie, podobnie! Ktoś jest na głównym placu, wyjeżdża z niego i znowu wjeżdża na plac, i chce się uszczypnąć, bo to niemożliwe. Ulice się przesuwają, a ten plac się obraca wokół własnej osi, to jest coś! Mało, fryzjer zamienia się na miejsce z cukiernią, a jakiś tam sklep z apteką, topografia pierdolca dostaje. Ona pisze, poczekaj, znajdę, o, tu: „Wyjechać z miasta? W zasadzie niemożliwe. Niejednokrotnie próbowali z nudów, stając na tylnych zderzakach tramwajów i jadąc tak na gapę, chwyciwszy się plansz z numerami, dlatego odgadli, że labirynt zabudowań przemieszcza się, tworząc koncentryczne kręgi. Tylko raz przedarli się za bodaj ostatni, najbardziej zewnętrzny, i zobaczyli tam drewniany płot. Za płotem świat się urywał...”.

Co? A, też tak masz po pijaku, przestań, ja tu chyba nie mogę się tak głośno śmiać...

No mam trochę tych karteczek, z tą dziewczynką dobre, milczy, nie chce mówić i takie zdanie: „Zamknęła się w ciszy i połknęła klucz, popijając go oranżadą”. Albo takie fajne, jak dla dzieci: „słońce zamienia się w twarz smutnego klauna, ale na krótko, nie dłużej niż”, uważaj, „trzy kichnięcia”. A tu, jedna z kobiet martwi się o innych, żeby nie martwić się o siebie, to chyba ja, posłuchaj: „Zużywała na bliźnich cały zapas troski, nie chcąc się za nic roztkliwiać nad sobą”. I jest matka, która jak była w ciąży, to się czuła tak, jakby nosiła w sobie jakiegoś pasożyta, i jest dziadek, któremu do trumny nie wkładają butów, tylko zaszywają mu nogawki, okropne, a na sobie ma przymały mundur harcerski, no i to zdanie, to byłoby świetne zdanie otwierające: „Najbardziej bała się, że wojna zastanie ją bez makijażu”.

A znasz, ty znasz, są w ogóle żółte komary? Bo tam one występują...

Poczekaj, bo sąsiad z boku coś mówi, Jezu, chyba jestem za głośno...

Powiedział, że tu słychać... No muszę szeptać, że tu słychać tak, jakbym mówiła do niego, i zapytał, o jaką książkę chodzi, nawet ciekawy gość, powiem ci, cholera, w mieszkaniu źle, bo jak w piecu, na balkonie źle, bo słychać, wszędzie źle, a w domu najgorzej. No dobra, zaraz ptaki będą te swoje japy drzeć, nie cierpię tego, czuję się jak padlina, kończymy, pa. ●

eprasa.pl 1f49962744

FOT. COVER IMAGES VIA AP IMAGES

KOLEKCJONERZY ULIC

Stają się naszym jedynym mieszkaniem, bo to, co kiedyś nazywaliśmy domem, stało się miejscem pracy

Krzysztof Katkowski

Flâneur błąka się po mieście, będąc kolekcjonerem własnych wrażeń i obserwacji, wychodząc poza obecne struktury społeczne. Jest symbolem spacerowania, do którego zmuszają nas zarówno dobra pogoda, jak i obecna władza.

„Byłem człowiekiem, który się przechadza/ wciągając nosem powietrze/ I prowadząc pieska z nosem nad ziemią", pisał parędziesiąt lat temu francuski surrealista Paul Éluard. Aż trudno się dziwić, że tak dawno, prawda?

My, ludzie, spacerujemy od zawsze. Chodziliśmy na polowania, na pola, wreszcie do świątyń, banków czy miejsc pracy. Chcąc nie chcąc, staliśmy się w ten sposób również obserwatorami. Nawet kiedy w biegu przemykamy z pracy na lunch, z lunchu do pracy, jesteśmy zmuszeni na chwilkę przystanąć i czemukolwiek się przyjrzeć. A to zobaczymy jakieś zniżki w ulubionej piekarni, a to jakąś znajomą twarz w tłumie (przed którą zaraz uciekniemy), a to, wreszcie – samochody, na które nas nie stać, a które zaraz, przy odrobinie naszej nieuwagi, mogą nas potrącić.

Pandemia zmieniła wszystko. Nawet kiedy już byliśmy na mieście (bo tak, niektórzy wciąż musieli pracować w centrum!), to staraliśmy się przemykać, unikając tłumu i jego zabójczych oddechów. Proces wracania do życia społecznego, tak naprawdę, trwa. Bo to, że podczas pandemii ucierpiały nasze relacje, to nie tylko truizm, ale też naukowy fakt, potwierdzany przez badania.

Dalej będzie tylko gorzej. Katastrofa klimatyczna, kolejne pandemie i narastające nierówności społeczne. Nie będziemy już „wciągać nosem powietrza", tylko zapach płonących lasów, a piesków (zresztą tak jak i ludzi) może już w ogóle nie być. Jak w takim razie spacerować? Z pomocą przychodzi nam flâneur – koncept człowieka, który żyje, spacerując.

PASAŻE, ŁABĘDZIE I DUŻO, DUŻO KAWY

W czasach rewolucji przemysłowej i końca wielkich monarchii, czasów feudalizmu Paryż stał się jednym z centrów nowo tworzącego się społeczeństwa. Miasto, pełne nowych rozwiązań architektonicznych i przemysłowych, cechowało się też niespotykaną wcześniej ruchliwością. Człowiek spacerujący, wcześniej zamknięty w czterech ścianach swojej lokalnej wspólnoty, nagle doznał szoku zetknięcia się z wszechogarniającym go tłumem.

Z takiego doświadczenia szoku zrodziła się poezja pewnego Francuza, dla którego tym razem to właśnie przeżycie stało się podstawą nowej sztuki – flâneurie. Sztuki, która miała polegać na spacerowaniu.

Artysta ten nazywał się Charles Baudelaire i po raz pierwszy o pasji spacerowania pisze w swoim tomie „Kwiaty zła", który w samej Francji okazał się skandalem. W wierszu „Łabędź" możemy zaobserwować pasję chodzenia, bezcelowego błąkania się po mieście. „Starego Paryża już nie ma (tak się zmienia/Kształt miasta, prędzej jeszcze niż serce człowieka)", narzekał poeta. Miasto było dla niego przeżyciem, pięknym snem – a poznawał je dopiero poprzez spacerowanie. Jego ideałem jest tytułowy łabędź, którego kiedyś zauważył, kiedy ten wygramolił się z klatki. Utaplany w błocie-mieście patrzył rozmarzony, w niebo.

Kimś takim dla Baudelaire'a miał być właśnie flâneur. Człowiek, który na chwilę wydostaje się z brudnego, pełnego nierówności miasta. I o tyle, o ile u Baudelaire'a dużo w tym elitaryzmu – nie jest to jednak ostatni głos, który pomoże nam dobrze flâneurować.

Tę myśl rozwija jeden z najwybitniejszych badaczy nowoczesnego miasta – Walter Benjamin. To dla niego flâneur, którego nazywa również „próżniakiem", staje się głównym punktem wyjścia do obserwacji nowo powstających zjawisk społecznych. Odróżnia go wyraźnie od człowieka tłumu i człowieka pracy. Flâneur błąka się po mieście, będąc kolekcjonerem własnych wrażeń i obserwacji. Zdecydowanie wyróżnia się z dwóch pozostałych; człowiek tłumu poddany jest pewnej manii, flâneur – spokojowi. O zestawieniu flâneur – człowiek pracy Benjamin notował: „doświadczenie jest owocem pracy, przeżycie jest fantasmagorią próżniaka".

Mieszkaniem flâneura, według Benjamina, jest właśnie ulica – „mury są dla niego pulpitem, o który opiera swój notes; kioski z gazetami służą mu za biblioteki, a kawiarniane tarasy to wykusze, z których po zakończeniu pracy spogląda na swój dobytek". To próżniak, który przechadza się raz tłumną ulicą – innym razem zaś pasażem, czyli nowoczesną świątynią konsumpcji, poprzedniczką współczesnych galerii handlowych.

Kawiarnie, gdzie godzinami przesiadywali ci myśliciele, są często zamknięte, bo podczas pandemii upadły. Praca czy nauka dla wielu z nas przestała być przeżyciem – jest to raczej wegetacja przed ekranem komputera czy telefonu albo praca po godzinach na kiepskich warunkach umowy-zlecenia (autor tego tekstu ma poniżej trzydziestki, więc coś o tym wie). Flâneur Benjamina to też postać zaangażowana, będąca raczej badaczem otaczającej go rzeczywistości. To dlatego, na co zwracał uwagę Adebayo Williams, flâneur może być nawet inspiracją dla teoretyków myśli postkolonialnej.

Bo błotem, w którym się taplamy, nie jest już szok, jakim dla paryżan było po-

eprasa.pl 1f49962744

wstanie nowoczesnego społeczeństwa masowego, tylko warunki, w jakich żyjemy: wojenek prawicy, pandemii, katastrof klimatycznych i migracji. Na Europejczyków wpłynęła tutaj zresztą zwłaszcza pandemia. Naszym jedynym mieszkaniem ponownie staje się ulica, bo to, co kiedyś nazywaliśmy domem, stało się miejscem pracy, a więc, według Benjamina, miejscem, gdzie zdobywamy doświadczenie. Dopiero na ulicy możemy się stać wolni, spokojni. To jest nasze przeżycie, to jest nasza „fantasmagoria próżniaka".

Ma to jednak drugie dno. Najlepiej widać to w książce „La ciudad infinita" (Nieskończone miasto, niestety jeszcze nieprzetłumaczonej na polski) hiszpańskiego poety i reportera Sergia C. Fanjula. W książce tej Fanjul obwołuje się „oficjalnym spacerowiczem miasta" i udaje się na kilka spacerów po swoim mieście. Nie są to jednak piękne rozmarzenia i patrzenie w niebo. Świetna książka Fanjula to także opowieść o rosnących nierównościach społecznych – jak, na przykład, obserwowanych przez niego nielegalnych eksmisjach w Madrycie. Jego kolejna książka, tegoroczna „España invisible" (Niewidzialna Hiszpania) to także opowieść spacerowicza – tym razem jednak do ekspertów. Reporter „El País" pisze w niej wprost o biedzie, która w Hiszpanii od czasów kryzysu 2008 r. jest coraz bardziej widoczna. Widoczna, ale przede wszystkim właśnie dla flâneurów – bo to oni umieją dobrze czytać, patrzeć i, przede wszystkim, widzieć.

Fanjul przy tym nie tylko obserwuje, ale też walczy, angażuje się, rozmawia z ludźmi. Jest flâneurem, któremu chce się chcieć, przez co nadaje jakiś sens tej figurze. Sens tu głębszy niż sunięcie po pasażach, bo Fanjul to także aktywista. Jest w tym wszystkim jednak pewien spokój, daleki od manii rzucającego się w tę i we w tę człowieka tłumu.

ZAWRÓT GŁOWY, ROWERY I UTRACONA MIŁOŚĆ

Jest też nowela Georgesa Rodenbacha „Bruges-la-morte". Jej bohater, Hugues, dostaje miejskiego zawrotu głowy. Rozpaczając po śmierci żony, ucieka ze swojego dotychczasowego mieszkania, wybierając błąkanie się po ulicach. Rodenbach, silnie zainspirowany Baudelaire'em, tworzy własną koncepcję flâneura. Nie jest to już badacz, lecz człowiek pogrążony w melancholii, może nawet depresji. Tytułowa Brugia staje się dla niego reinkarnacją utraconej miłości. Brugia staje się jego żoną, zawrotem głowy: tak samo jest też obumarła. Hugues gubi się w uliczkach, wpatruje w kościoły i katedry, próbując znaleźć jakikolwiek sens własnego... spaceru.

Znajduje go w spacerowaniu – obłędnym, przyprawiającym o zawrót głowy. Jest to więc flâneur maniak, spacerowicz poszukujący sensu. Nie jest to już znudzenie na ławce, kiedy przyglądasz się niebu i ludziom wchodzącym i wychodzącym ze sklepu. Hugues rzuciłby się za jednym z nich, próbując w jego rysach znaleźć kolejny wstrząs, który pomoże mu wyjść z żałoby.

Takim flâneurem może być wiele postaci z postpandemicznego życia: internetowy troll maniak, człowiek wyniszczony nerwowo przez lockdown albo szalony rowerzysta podróżnik, który brak kontaktu z innymi ludźmi wynagradza sobie jeżdżeniem rowerem do swojego dawnego miejsca pracy, w tę i z powrotem. Dla flâneura maniaka miasto umarło: zarówno życiowo, jak i politycznie czy religijnie (stąd też ta fascynacja starymi kościołami, do których od dawna już nikt nie chodzi). Idzie on jednak w jakimś celu, bo też poszukuje w swoim absurdalnym życiu jakiegoś głębszego sensu. Jest to również obserwacja śmierci, która towarzyszy mu tak naprawdę przez cały czas.

FLÂNEUR(KA) NA WOJNIE

Ostatnie lata pokazały nam jednak, że spacer może być też zaangażowaniem społecznym – i to przeciwko śmierci. Tak było podczas protestów po wyroku TK w sprawie przerywania ciąży... Spacer może być też więc manifestacją! I to dalej zgodne ze sztuką flâneurie.

Wbrew pozorom spacer może również służyć czemuś innemu niż obserwacji czy poszukiwaniu sensu. Pisze o tym w jednym ze swoich esejów amerykańska publicystka i eseistka Rebecca Solnit: „Skorupa domu stanowi swego rodzaju więzienie. (...) Spacer ulicami może stać się formą społecznego zaangażowania, a nawet działania politycznego: idziemy razem podczas powstań, demonstracji i rewolucji". Solnit skupia się jednak, na marginesie lektury esejów kolejnej feministki spacerowiczki – Virginii Woolf – na twórczym i aktywistycznym aspekcie spacerowania. Flâneurka, jaką proponuje, to kobieta, która nie boi się wyjść z przeznaczonej sobie roli społecznej. Spacerowanie staje się więc wyłamaniem ze swojej płci kulturowej, przekroczeniem pewnego stereotypu. Podobnie zresztą ma być z mężczyznami: to chodzenie, włóczęga, pozwalają im wydostać się z roli ojca i zostać nomadą.

Chodzi więc tutaj nie tylko o rewolucje czy demonstracje: Solnit uczy nas, jak poprzez spacer tak przekraczać samych siebie, jak i tworzyć. Włócząc się po ulicach, mamy czas na chwilę refleksji. Takiej, od której zaczyna się wszystko. To ona daje nam siłę, żeby potem iść protestować albo żeby napisać tekst o tym, dlaczego spacerowanie jest takie ważne.

Podczas gdy inni flâneurzy obserwują bądź rozpaczają, flâneurki Solnit proponują, jak z ich podróży po miastach wyciągnąć ogólną podstawę do jakiejś zmiany. Podkreślają przy tym, że we flâneurie nie chodzi tylko o pojękiwanie nad swoim losem. Nie jest to już ani genialny poeta, ani detektyw Benjamina, tylko ktoś, komu zależy na czymś więcej. W tym sensie nic dziwnego, że francuski filozof Frédéric Gros przedstawia swoją „filozofię chodzenia" jako radykalną. W chodzeniu jest przecież pewien radykalizm. Nie bez powodu, obok Kanta, Nervala czy Rousseau, Gros w swojej książce pisze o Gandhim.

Chodzenie, także to uważne, to akt protestu.

PRZEKROCZYĆ SELF-CARE

W innym swoim wierszu, bardziej mieszkaniowo-domowym, ten sam Paul Éluard pisze: „wychodzi się przez okno/ więźniu przez okno/ dociera się do innego świata". Jego pragnienie wyjścia na spacer chyba niekoniecznie wyszło, bo, po kilku przepięknych linijkach, całość podsumowuje krótko: „twoje pragnienia mają kolor wiatru".

Nie musimy być jednak jak Éluard: zaprawdę warto wychodzić z domu i gubić się w mieście. Możemy obserwować, walczyć, rozpaczać lub się uspokajać. Jeśli ktoś nie może wyjść, niech spaceruje po przepaściach internetu albo niech jeździ w kółko na rowerze. Każdy z nas jest, w pewnym sensie, flâneurem. Nie ma już wprawdzie pasaży czy romantycznych mężczyzn i kobiet w płaszczach. Jesteśmy raczej zagubieni w różnych strukturach, których nie rozumiemy, ale które – przez założenie odpowiednich soczewek czy też okularów – możemy w końcu poznać i zrozumieć. Ba, może nawet wtedy – zmienić.

Pojawiają się raczej inne pytania. Czy żyjemy w czasach, w których możemy sobie w ogóle pozwolić na spacerowanie? Katastrofa klimatyczna, wojna w Ukrainie, pandemie, ograniczanie praw kobiet czy szerząca się prekaryjność zmuszają nas raczej tylko do aktywnej walki. Parafrazując jednak słynne zdanie Marksa, aby świat zmieniać, trzeba go wcześniej dobrze zrozumieć i opisać. Flâneur to postać, która wymyka się zdrowemu rozsądkowi, ba, zdrowy rozsądek podważa. Pozwala sobie na twórcze lenistwo. Zwalcza manię pracy, aby wyjść i przejść się na spacer. Ma w sobie coś z „wolałbym nie" Bartleby'ego. Flâneur to pracownik, który uparcie nie przychodzi do pracy, mimo że powinien.

Flâneur jest więc także rewolucjonistą. Kłóci się to więc z całą ideologią self-care, którą można pod niego łatwo podciągnąć; nie reklamuje zrzucenia winy za cały świat na jednostkę i próby naprawienia go, „zaczynając od siebie". Flâneur przekracza samego siebie i patrzy na to, jak funkcjonuje system, który wreszcie może zmienić. Flâneur zawsze stoi w poprzek, niezależnie od tego, czy będzie to poeta Baudelaire'a, rewolucjonistka Solnit, czy też detektyw porządku społecznego Benjamina. Flâneur buntuje się, popadając w spokój, może nawet melancholię. Jest trochę szalony, bo nie daje się łatwo „uJArzmić", trzymając się raczej zasady bezkompromisowości. Wreszcie, nie ma formy płciowej, bo spacerować może każdy. Ba, jak widać, samo spacerowanie także nie ma jakiejkolwiek formy.

Wreszcie, we flâneurze jest coś ryzykownego. Flâneur stawia wszystko na jedną kartę, mówiąc, że spaceruje bez celu. Bo, owszem, zaczyna rozumieć to, jak działa świat – otwiera się jednak na pewną potencjalność, na utopię. Postanowienie o otwarciu się na nieznane jest w obecnym świecie na tyle absurdalne, co godzące w zdrowy rozsądek. W czasach, kiedy każdy krok musi być zmierzony przez aplikację, flâneur uparcie spaceruje raz w tę, raz we w tę. Raz skręci w ulicę Kościelną, a raz w Katedralną. Innym razem w Warszawską, a później – w Jana Pawła II.

Flâneurie to ryzyko. Ale warto po nie sięgać. ●

> Ostatnie lata pokazały nam, że spacer może być zaangażowaniem społecznym – i to przeciwko śmierci

OGŁOSZENIA

1 RP REKLAMA 34271994

eprasa.pl 1f49962744

weekendówka 69

FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

NA STRAŻY POLSKIEGO

Autorem wielu haseł jest **Jan Miodek**

„Żółta żaba żarła żur, piórnik porósł
mnóstwem piór,
rzęsa w rzece rzadka rzecz, słówka
w głowie – błędy precz!
Halo, Hela, w hucie huk! Żółw ma czwórkę
krótkich nóg.
Żuraw żubra żwawo żgnął, aż się dziób
w ósemkę zgiął”

Tak śpiewał nieodżałowany Jacek Skubikowski, w kapitalnym duecie z Maciejem Januszką z grupy Mech. Utwór „Żółta żaba żarła żur” to kwintesencja mąk (pamiętajcie – w żadnym wypadku nie męk!), jakie przeżywają uczniowie – rzecz jasna nie wszyscy – podczas dyktanda, bo w dyktandach zwykle aż roi się od wszelakich pułapek i min. Jedni wychodzą z tego obronną ręką, innych zasadzki języka polskiego usidlą. O czym zresztą słyszymy potem od Skubikowskiego i Januszki:
„Janek poznał wyjątki, i dostał dwie piątki,
a Ola ma gola i powód do łez”.

Dlaczego zaczęliśmy dziś tak słówkowo-językowo? Ano wszystko dlatego, że 9 września 1996 roku powołana została, decyzją Prezydium Polskiej Akademii Nauk, Rada Języka Polskiego. Członkowie tej Rady to tacy strażnicy mowy ojczystej, którzy pilnują i dbają, by nikt nie zrobił językowi polskiemu krzywdy.

RJP rozstrzyga wszelkie wątpliwości odnośnie do słownictwa, gramatyki, ortografii, wymowy i interpunkcji, ustala zasady ortografii i interpunkcji czy opiniuje nazwy oraz ich formy gramatyczne i ortograficzne proponowane dla nowych towarów lub usług (za https://rjp.pan.pl). Robi jeszcze mnóstwo rzeczy i upowszechnia wiedzę o języku polskim.

Nic dziwnego, że skład Rady to niezwykle szacowne grono wybitnych ekspertów z dziedziny językoznawstwa, literaturoznawstwa, logopedii, socjologii czy dziennikarstwa.

I właśnie jednego z tych ekspertów poprosiliśmy o pomoc w układaniu dzisiejszej „Weekendówki”, którą uczcimy urodziny tak zasłużonej instytucji. „Weekendówki”, którą – jak się okazało – nasz gość co tydzień rozwiązuje! Prof. dr hab. Jan Miodek, bo o nim mowa, zasiada w RJP od pierwszej kadencji w 1996 roku, czyli od początku jej istnienia. W Radzie odpowiada m.in. za uchwały ortograficzne, ale my znamy go z telewizji (któż nie obejrzał choć raz w życiu „Ojczyzny polszczyzny”?) czy z rozlicznych książek i publikacji.

Co tu dużo mówić – rozmowa z panem profesorem, choć krótka, była szalenie zajmująca. A z efektami jej zaraz się zmierzycie. Wiwat język polski! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

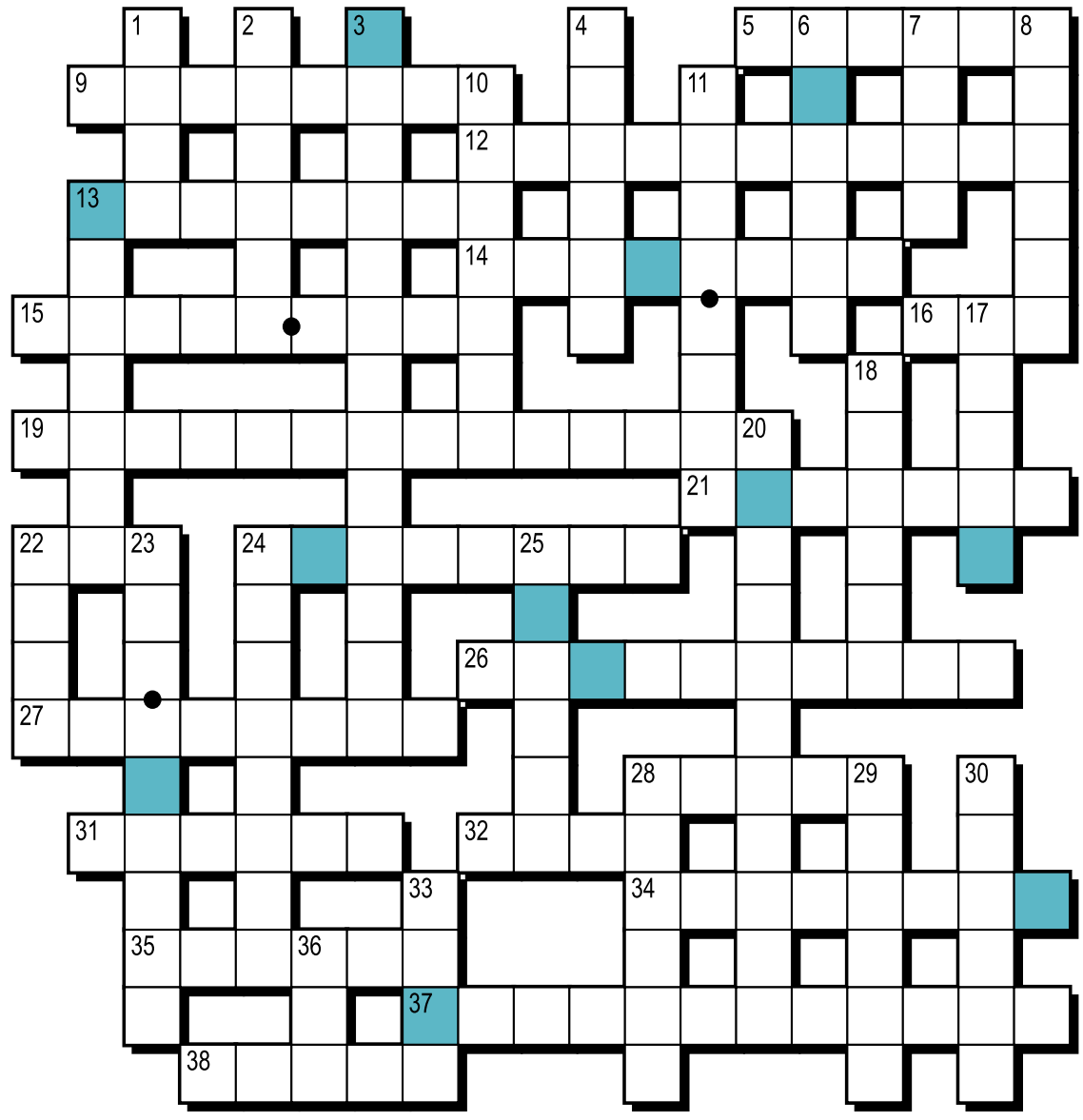

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 68 z 2.09:

Poziomo:
4) zebranie 8) szkoła życia 10) Spartakus 11) sekretariat 12) rada 13) nowy rok 14) puchy 15) trója 16) klasa 19) pierwiastki 21) kakao 25) Adrian 26) wuefista 27) przedmioty 28) bakałarze 30) metodycy 32) wywiadówka 33) nerwówka 34) lista 35) kujony 36) Ryder

Pionowo:
1) dziennik 2) poprawka 3) wybryki 4) zastępstwo 5) Bladaczka 6) autorytet 7) edukacja 9) autorka 17) lektura 18) gegra 19) podstawówka 20) korki 22) Kofta 23) karteczki 24) egzaminy 25) audytorzy 27) pedagog 28) bryki 29) kwiaty 31) dwóje

HASŁO:
LEKCJA FIZYKI

POLSZCZYZNA

Hasła profesora Jana Miodka oznaczono inicjałami (J.M.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) czasami przy „a” i „e” (J.M.)
9) Jerzy, językoznawca, autor licznych publikacji o języku polskim
12) bada i układa słowniki (J.M.)
13) „...polszczyzna”, program telewizyjny prowadzony przez 23 pionowo
14) język lub poeta (J.M.)
15) polski dla Anglika, angielski dla Polaka
16) litera na nieznajomego
19) hobby kojarzące się z krzyżówkami, rebusami, zabawą polszczyzną
21) np. wyraz „incepcja” względem słowa „pacjenci”
22) autor słów: „A niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”
24) nasza – wcale nie najtrudniejsza (J.M.)
26) formy żeńskie (J.M.)
27) wyrazy o takiej samej wymowie, lecz różnej pisowni, np. „hoży” i „chorzy”
28) mowa – srebro, milczenie – ?
31) „A to ...właśnie” (cytat z „Wesela”)
32) ze słowami „będziem Polakami”
34) przestarzale o alfabecie
35) wykaz błędów dostrzeżonych w wydrukowanym tekście
37) językowe zapożyczenia, obce wtręty
38) litery i cyfry

Pionowo:
1) co on, to obyczaj
2) mówi godką
3) miasto z czterema dwuznakami i chrząszczem
4) przystanek na trasie magister – profesor
6) najmniejsza jednostka fonetyczna języka
7) tendencja w literaturze lub bieg Wisły
8) cząstka słowotwórcza wyrazu; wrostek
10) ponadczasowe dzieła literatury, muzyki, sztuki
11) język potoczny, pełen kolokwializmów
13) perora prezydenta
17) pływa w tę i we w tę
18) są one, są też i wyjątki
20) wyraz dźwiękonaśladowczy, np. brum!
22) niestatystyczny Kowalski (z „Potopu”)
23) ceniony językoznawca, wieloletni propagator wiedzy o języku polskim
24) tytuł 9 poziomo lub 23 pionowo
25) kraj, od którego przejęliśmy m.in. szlafrok, urlop i weterynarza
28) ekspert, specjalista
29) wybitny, utalentowany mówca
30) przypadek z „o!”
33) polonistka dla uczniów
36) dziewczynka z „Elementarza” Mariana Falskiego

Leszek Rydz

OGŁOSZENIA

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34225722

eprasa.pl 1f49962744